U SZCZYTU POTĘGI

STR. 7

W POPRZEK SYBERII

STR. 8

KUŹNIA KADR

STR. 13

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

STR. 16

MAGAZYN

STR. 16

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 48 (938) 27 LISTOPADA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Wynalazki, innowacje techniczne, za którymi stoją oczywiście konkretne rozwiązania i osiągnięcia naukowe stanowią dziś najbardziej poszukiwany, chodliwy oraz intratny towar. Nic więc dziwnego, że dynamika światowych obrotów handlu innowacjami technicznymi jest niesłychanie wysoka, osiągając wartość pięciu miliardów dolarów rocznie. Na ten temat pisze w bieżącym numerze „Odgłosów" red. K. Pogorzelec.

Polecamy również ciekawe pozycje: „Stać nas na więcej" pióra płk mgr Władysława Honkisza oraz „Wielki potencjał i wielkie zadania" prof. dr. hab. rektora AM w Łodzi Antoniego Kotełki delegata na VII Zjazd partii.

Zmarł ostatni dyktator w Europie. O tym jak doszedł do władzy i jak ją sprawował dowiedzą się Czytelnicy z drugiej części relacji Andrzeja Blajera pt. „U szczytu potęgi".

„Trzymam w ręku swój bilet lotniczy do Nowosybirska. Wypisano na nim trasę 3191 km i czas rejsu 4 godziny 50 minut. Mnie się wydaje, że to daleko. Ale rozmawiam właśnie z przypadkowo poznanym komandorem floty wojennej Oceanu Spokojnego, który leci do Petropawłowska Kamczackiego. 18 tysięcy kilometrów, 21 godzin lotu. W zestawieniu z tą trasą moja się nagle kurczy i karleje..." — to tylko fragment ciekawego reportażu Władysława Orłowskiego z podróży na Syberię.

Andrzej Blajer kontynuuje swój pasjonujący cykl „Centrum tajnego frontu" mówiący o walce wywiadów w czasie drugiej wojny światowej.

W bieżącym numerze „Odgłosów" znajdą oczywiście Czytelnicy wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz interesujący „Magazyn".

POLSKA – 75

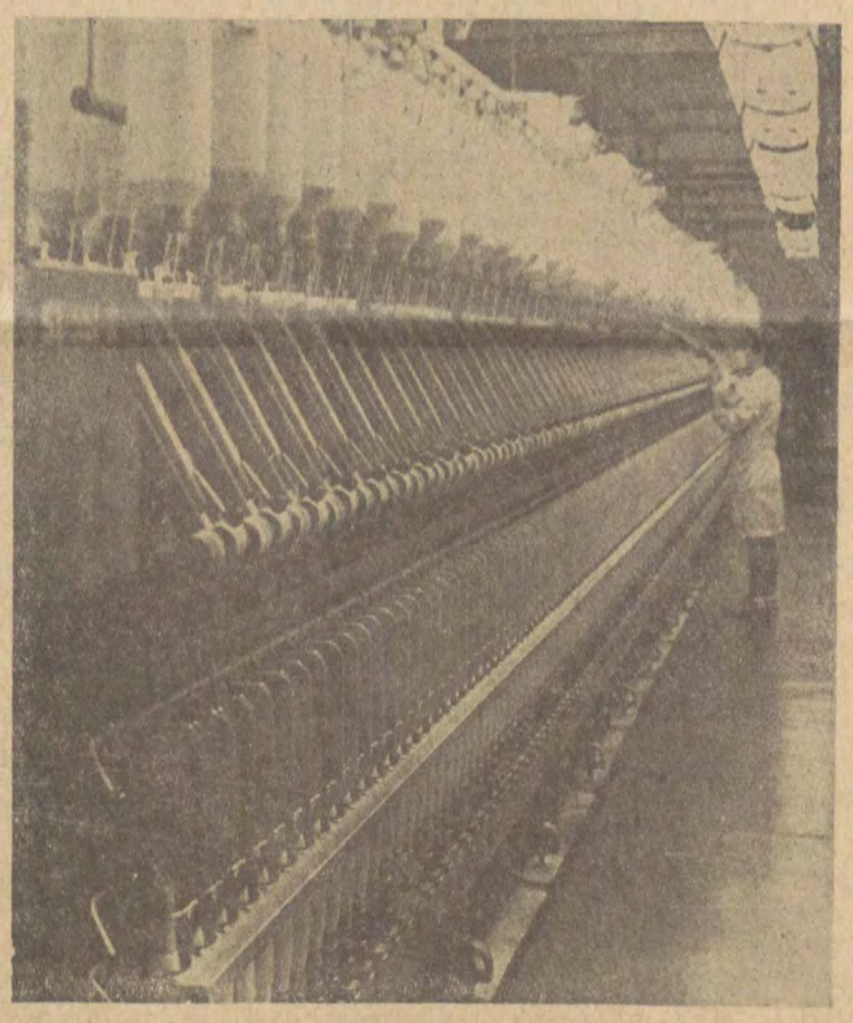

KRZYSZTOF POGORZELEC

WYŚCIG MÓZGÓW

Wydawało się, że tutaj nic nowego nie da się już wymyślić i każda budowana w świecie prasa działała na takiej samej zasadzie jak za czasów mistrza Leonarda da Vinci. Trudno też się dziwić, że wybuchła prawdziwa bomba, kiedy pojawił się pierwszy egzemplarz prasy pomysłu inżyniera Marciniaka oparty na zupełnie odmiennych założeniach, a co najważniejsze — wielokrotnie sprawniejszy, bardziej wydajny, nie wymagający w dodatku dużych powierzchni co też się bardzo liczy, jako że koszt każdego metra fabrycznej hali potrafi iść w miliony. Potem przyszła obrabiarka — też pomysłu inż. Marciniaka — której walory „ustawiły" od razu naszą myśl konstrukcyjną w światowej czołówce. Przędzarka typu „Wir" rodem z Łodzi zrobiła prawdziwą furorę na wystawie w Mediolanie: widzewska „Wifama" — jej producent nie będzie mogła zapewne narzekać na brak zamówień. Metoda wytwarzania tzw. czynnego białka, nad którą do tej pory pracują największe światowe instytuty badawcze, została wynaleziona nie gdzie indziej tylko w Polsce i jest dziełem gdańskich naukowców.

Ale czemu przypominamy te fakty?

Nikt już dziś nie wątpi, że ogniwami wielkiego wyścigu o pozycję społeczną i ekonomiczną danego kraju w świecie są nauka i technika umiejętnie sprzężone z produkcją. Nikt też nie śmie kwestionować opinii wyrażonej jeszcze w latach trzydziestych przez Johna Bernala, który już wtedy twierdził, że rolę leadera w tym wyścigu „trzyma" nauka.

ŚWIAT HANDLUJE WIEDZĄ

Wynalazki, innowacje techniczne, za którymi stoją oczywiście konkretne rozwiązania i osiągnięcia naukowe stanowią dziś najbardziej poszukiwany, chodliwy oraz intratny towar, przy czym międzynarodowa wymiana w tej dziedzinie ma niezwykle wielokierunkowy charakter. Dziś żadne państwo nie może sobie pozwolić — choćby z racji na stale zwiększający się rozmiar kosztów — na samodzielne rozwijanie wszystkich dziedzin nauki i techniki — to z jednej strony, a z drugiej — nikt nie chce pozostawać w tyle, pełnić roli outsidera w tym wyścigu. Trudno więc się dziwić, że dynamika światowych obrotów handlu innowacjami technicznymi jest niesłychanie wysoka, rośnie w tempie dwa, trzy razy szybszym aniżeli wymiana nazwijmy je tak — klasycznymi towarami osiąga-

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPOSÓB MYŚLENIA

Kilka dni temu usłyszałem taki oto dowcip:

„Rzecz dzieje się na zebraniu w dużej fabryce. Dyskusja toczy się wokół węzłowych problemów zakładu pracy i miasta. Nagle o głos prosi Kukuła.

— My tu tak sobie — mówi Kukuła — o tym i o tamtym, a przecież rzecz jest prosta. Trzeba zapytać, co dla nas jest najważniejsze? A najważniejsza dla nas jest praca, jest produkcja. Więc mówmy o tym, jak pracować lepiej, jak więcej produkować. I dlatego ja występuję z wnioskiem o zniesienie wolnych sobót, bo to jest tylko marnowanie naszego cennego czasu pracy. Dziękuję.

I usiadł. A na sali zrobiła się cisza. Ktoś zaklaskał, ktoś zakaszlał, ktoś zachrząkał, ktoś nerwowo zachichotał. W prezydium konsternacja. Nie wiadomo, co z tym fantem zrobić. Wniosek został zgłoszony.

Ale oto rękę podnosi Pietrzak. Przewodniczący z ulgą, ale i z niepokojem udziela mu głosu. Z ulgą, bo skończy się żenująca cisza, z niepokojem, bo nie wiadomo, z czym znów wyskoczy Pietrzak.

— Ja się chwilę zastanowiłem nad tym, co tu mówił Kukuła i myślę, że byłoby dobrze pójść dalej i popatrzeć, co my na przykład robimy w niedzielę...

„Masz ci los!" — pomyślał z niepokojem przewodniczący, a ten znów zaczyna o niedzielach...

— ...Wstajemy późno — ciągnął swą myśl Pietrzak — łazimy po naszych mieszkaniach rozmamłani, nie golimy się najczęściej, patrzymy w telewizję żremy przez dzień cały, popijając wódą. Pójdzie taki jeden z drugim do kumpla lub do rodziny, albo rodzina czy kumple przyjdą do niego. Znów żrą i wódę piją. Wieczorem popatrzą w telewizor, do łóżka z żoną położy się jeden z drugim, odwali co swoje i co mu obowiązki małżeńskie nakazują, a za dziewięć miesięcy urodzi się taki idiota jak nasz Kukuła..."

Gdyby leżało to w mojej mocy i gdybym znał autora tego dowcipu, to zgłosiłbym go do nagrody za najlepszy dowcip roku. Jest to bowiem dowcip mądry, dowcip wyśmiewający głupotę, schematyzm myślenia, a właściwie doskonałą niemal bezmyślność. Gdybym bowiem miał wartościować ujemne czynniki, które przeszkadzają nam w podejmowaniu skuteczniejszego działania, gdybym miał tworzyć hierarchię przyczyn rodzących codzienne niedogodności, zahamowania i napięcia, to na jednym z czołowych miejsc postawiłbym **bezmyślność**.

Bezmyślność nie jest to jednak całkowite niemyślenie. Bezmyślność jest myśleniem najłatwiejszym, bo idącym utartym torem, posuwającym się wyżłobioną koleiną, bez zastanowienia się nad skutkami, nad tym, co działanie oparte na takim „myśleniu" przyniesie? Bezmyślność — to po prostu mechaniczne reagowanie na bodźce. Przychodzi sygnał i natychmiast powstaje utarta reakcja, odzywa się stereotyp, bez czynności podstawowych, bez analizowania warunków, bez szukania różnic i zastanawiania się nad skutkami.

1.

Jeśli przyjmiemy, że bezmyślność jest mechanicznym posługiwaniem się stereotypem, to zaliczyć tu wypada też **myślenie partykularne**, brak szerokiego spojrzenia, umiejętności wiązania lokalnej działalności z całością spraw kraju. I aby tak myśleć, wcale nie trzeba mieszkać koniecznie w małej zapadłej dziurze, w jakimś Pipidówku, bo dziś — po przeoraniu dawnej struktury administracyjnej — owe lekceważone Pipidówki awansowały do rangi ośrodków, gdzie przyszło myśleć w skali państwa, gdzie właśnie najsilniej przełamuje się nawyk myślenia partykularnego. Natomiast w wielu dużych ośrodkach, gdzie przemiany strukturalne zachodzą wolnej, ludzie myślą często jeszcze kategoriami swego zakładu, miasta, dzielnicy, nie uświadamiając sobie być może do końca, że dawno już zmieniła się skala, a oni nie potrafią posługiwać się nią.

Z przykładami takiego myślenia spotykamy się niemal każdego dnia. Jeśli na przykład decydujemy się kupić sobie buty na zimę i w tym celu wybieramy się do sklepu, to stwierdzamy z przerażeniem, że butów w sklepach nie brakuje, ale akurat takich, jakie by nam pasowały nie ma. A przecież przemysł skórzany pracuje pełną parą, wypuszczając co dzień tysiące par butów. A przecież — jak donosili wysłannicy na giełdy organizowane przez przemysł skórzany — projekty były i

Dalszy ciąg na str. 3

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

ZATWIERDZENIE SPRAWOZDANIA NA VII ZJAZD

W gmachu KC PZPR odbyło się 21 bm. plenarne posiedzenie Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR. Plenum rozpatrzyło i zatwierdziło sprawozdanie CKR Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na VII Zjazd partii.

ODZNACZENIE BREŻNIEWA

Sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew został odznaczony przez Światową Radę Pokoju „Złotym Medalem Pokoju" imienia Fryderyka Joliot-Curie.

RZĄD PORTUGALSKI ZAWIESIŁ DZIAŁALNOŚĆ

Rząd portugalski ogłosił w ub. piątek w Lizbonie zawieszenie swej działalności ze względu na to, że sytuacja w siłach zbrojnych uniemożliwia mu wykonywanie swych zadań.

Komunikat dodaje, że rząd podejmie swą działalność dopiero, gdy prezydent da Costa Gomez będzie w stanie zagwarantować warunki dla sprawnego funkcjonowania władz Portugalii.

ZMARŁ OSTATNI DYKTATOR EUROPY

W dniu 20 bm. w szpitalu La Paz w Madrycie zmarł dyktator Hiszpanii, gen. Francisco Franco. Na wspólnej sesji Kortezów (parlament) i 17-osobowej Rady Królestwa, 37-letni książę Juan Carlos został zaprzysiężony jako XXVI król Hiszpanii.

ZREZYGNOWAŁ Z NAGRODY

Tegoroczny laureat francuskiej nagrody literackiej Goncourtów 34-letni Paul Paviovitch piszący pod pseudonimem Emile Ajar oświadczył, że rezygnuje z niej. Po ujawnieniu jego nazwiska opuścił on miejscowość Cagnac du Causse (Francja środkowa) i udał się z rodziną w nie znanym kierunku.

OSKARŻENIE AGENTÓW CIA

W Waszyngtonie opublikowano 346-stronicowy raport o działalności Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), opracowany przez specjalną komisję senacką. Raport potwierdza wysuwane poprzednio zarzuty, iż agenci CIA opracowywali plany działania, mające na celu pozbawienie życia kilku znanych polityków zagranicznych. Z raportu wynika, że plany takie opracowywano podczas kadencji 4 prezydentów: Eisenhowera, Kennedy'ego, Johnsona i Nixona.

NOWE BANKNOTY 50-ZŁOTOWE

Od 25 listopada br. Narodowy Bank Polski rozpoczyna stopniowe wprowadzanie do obiegu czwartego z kolei banknotu nowej emisji, tym razem o wartości nominalnej 50 zł. Przednia strona banknotu zawiera wizerunek popiersia gen. Karola Świerczewskiego a odwrotna — Krzyża Grunwaldu. Nadal ważne są oczywiście dotychczasowe banknoty 50-złotowe.

PIĘTNASTE WYDANIE „MATKI" GORKIEGO

Na półkach księgarskich ukazało się już piętnaste wydanie powieści Maksyma Gorkiego „Matka". Książkę opublikował PIW w wysokim 50-tysięcznym nakładzie w serii „Biblioteka lektur szkolnych". Łączny nakład powieści „Matka" osiągnął wysokość 633 tys. egzemplarzy.

„NAGRODA EUROPY" DLA POLSKICH PRZYRODNIKÓW

Krajoznawczą „Nagrodę Europy" otrzymali dwaj polscy naukowcy prof. dr Stefan Myczkowski, inicjator ochrony przyrody i planowania parków narodowych w Polsce oraz dr Tadeusz Skawina, dyrektor Instytutu Kształtowania i Ochrony Środowisk w Krakowie.

Oficjalne wręczenie nagród odbędzie się w kwietniu przyszłego roku w siedzibie fundacji na wyspie Mainau, na Jeziorze Bodeńskim.

PIERWSZE ZDJĘCIA „SATURNA"

Amerykańska automatyczna stacja międzyplanetarna „Pionier 11" zdążająca w kierunku planety Saturn, której okolice ma osiągnąć w 1979 r., przekazała na Ziemię pierwsze zdjęcie planety.

Rzecznik NASA oświadczył, że zdjęcie zostało dokonane pod takim kątem, który jest nieosiągalny na Ziemi.

W JAPONII JEST 2 MLN BEZROBOTNYCH

Według danych Rady Generalnej Związków Zawodowych Japonii liczba bezrobotnych w kraju wynosi obecnie 2 mln osób, co dwukrotnie przewyższa liczbę podawane przez oficjalne statystyki.

SUBSTANCJE TOKSYCZNE WYWOŁUJĄ RAKA

W listopadowym numerze czasopisma Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) ukazał się artykuł Waltera Davisa, przedstawiciela Międzynarodowej Agencji Badań nad Nowotworami. W artykule pisze on, że większość chorób nowotworowych jest spowodowana wchłanianiem toksycznych substancji przy oddychaniu, piciem alkoholu i spożywaniem pokarmów które są szkodliwe dla zdrowia. Nadal jednak pozostaje tajemnicą w jaki sposób i dlaczego niektóre substancje wywołują te choroby.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

FILM OŚWIATOWY

ANDRZEJ ZALEWSKI

KINO W SZKOLE

29 i 30 października br. odbyło się posiedzenie Rady Programowo-Artystycznej łódzkiej WFO poświęcone sprawom filmu szkolnego. Film szkolny od dawna skupiał na sobie uwagę wytwórni, zaś ostatnio stał się terenem badań kompleksowych, zmierzających do podjęcia inicjatyw bardziej zdecydowanych niż to miało miejsce dotychczas. Przedsięwzięciem nadrzędnym patronującym tym wysiłkom jest dążenie do stworzenia w Łodzi **Centralnego Ośrodka Filmu Szkolnego.** W ramach tej generalnej wytycznej istnieją cele bardziej konkretne, a najważniejszym spośród nich jest programowanie treści i zadań tego filmu w oparciu o szeroką konsultację pracowników wytwórni z nauczycielami-praktykami oraz przy współudziale Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

Tak szeroki front działań przyczyni się, miejmy nadzieję, do silniejszego niż dotąd nasycenia współczesnej polskiej szkoły filmami omawianego zakresu, a z drugiej strony, do związania szkolnej produkcji WFO z centralnymi wskazaniami programowymi i postulatami samych nauczycieli. Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, że przymierze na linii: szkoła — wytwórnia nie istnieje; wysiłki podejmowane przez obie strony jakoś dziwnie się rozmijają. W szkołach film oświatowy jest na ogół towarem nie znanym, a jego producenci stoją tym samym w sytuacji dostawców kierujących swe wyroby wprost ku zacisznym, przestronnym magazynom. Poza specjalistycznymi przyczynami natury ekonomiczno-administracyjnej w trakcie obrad podkreślano często brak korelacji między filmem dydaktycznym a programem szkolnym oraz nierespektowanie możliwości percepcyjnych ucznia. Obie te sprawy są w niemałym stopniu źródłem trudnej egzystencji filmu szkolnego. Oczywiście przyczyną złego stanu rzeczy w tej dziedzinie jest również brak zainteresowania ze strony samej szkoły bazującej na tradycyjnych formach przekazu i upowszechniania wiedzy. O ile jednak przyczyna pierwsza i trzecia mogą być w wyniku bardziej operatywnych posunięć stopniowo eliminowane, o tyle druga wymaga namysłu znacznie głębszego. Jej żywotność wiąże się bowiem nie z mniej czy bardziej doraźnymi pociągnięciami natury administracyjnej, lecz z mentalnością samych twórców. Innymi słowy: jak powinien wyglądać film dydaktyczny, by swym poziomem nie odstraszał, ale oferował skuteczną pomoc w nauczaniu?

Częściowej odpowiedzi na to pytanie udzieliło łódzkie spotkanie, którego zasadniczą częścią był przegląd szkolnego dorobku WFO z ostatniego okresu. Przedstawiane filmy, zgodnie z założeniem organizatorów, reprezentowały dość różny poziom, ilustrując w ten sposób obiektywne możliwości wytwórni w tej dziedzinie. Oczywiście trudno jest nad utworami zgrupowanymi w kilku odmianach tematycznych (filmy przyrodnicze, humanistyczne, popularnonaukowe) rozpostrzeć jednolitą siatkę kryteriów i ocen. Każda z tych odmian wymaga zastosowania innych środków i przyjęcia innej zasady widzenia. Pewne jednak wnioski nasuwają się same.

Podczas generalnej, podsumowującej debaty w wypowiedziach dyskutantów świadomie lub podświadomie przewijał się postulat równowagi czynnika wizualnego i słownego w filmie dydaktycznym (postulat ten był zresztą artykułowany na różne sposoby). W tradycyjnym filmie szkolnym komentarz słowny przyjmował na siebie zasadniczy ciężar informacji; obraz był statyczny, ilustrujący, jego nośność informacyjna była niewielka. Dziś jedynie struktura obrazowo-słowna może być nośnikiem znaczenia konstruowanego na użytek szkoły oraz instrumentem jego sublimacji. Odblokowanie wizualnego kanału informacyjnego w filmie dydaktycznym może przybierać różne formy w zależności od tego, z jaką tematyką mamy do czynienia. Dla przykładu w filmie poruszającym problemy z zakresu fizyki możliwość wizualnej prezentacji sensu daje budowanie odpowiednio przejrzystych, dynamicznych modeli przestrzeni, wyjaśniających rzeczywistość na poziomie zjawisk elementarnych.

W filmie przyrodniczym szansę taką stwarza poczyniona pod kątem problemu obserwacja makro- i mikrostruktur organicznych. Np. duże poruszenie widzów wywołał film **„Ptaki naszych wód"**, który znakomite, celne obserwacje ptasiego środowiska podbudował interesującym, bogatym pod względem faktograficznym komentarzem. Co nie znaczy, że nie zdarzały się wypadki żenujących wręcz dysonansów między obrazem a słowem. Dysonans taki stał się m.in. udziałem filmu **Edwarda Czurki o Janie Kochanowskim.** Nie dość, że wygłaszaniu utworów tego poety towarzyszył pokaz starych płócien malarskich raczej nie korespondujących z zawartością tych pierwszych, to jeszcze byliśmy świadkami reżyserskiej próby uwspółcześnienia twórczości mistrza Renesansu. I tak np., gdy zza ekranu padają słowa: „Orszulko moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała", na ekranie widzimy małą pulchną dziewczynkę karmiącą gołębie na rynku; ta sama myśl śmiało uniwersalizująca treści naszej kultury każe zgrzybiałej, niedołężnej babci przechodzić przez jezdnię w chwili, gdy komentator recytuje wiersz Kochanowskiego o starości. A w ogóle to tam, gdzie jest to możliwe, starają się filmowcy inscenizować wydarzenia realne, konstruować zalążki akcji, wtapiać oschłą informację merytoryczną w tzw. nurt życia potocznego.

O ile jednak prawdziwy jest pogląd, że dzieci nienawidzą kłamstwa, wyczulone są na fałsz, i z miejsca wychwytują obłudę, to drogę tych filmów do ich, mówiąc patetycznie, serc i sumień, trudno określić inaczej niż jako cierniową. Ot, chociażby „pani doktor" z filmu **Zygmunta Skonieczego** jest reinkarnacją słynnej doktor Ewy z telewizyjnego serialu Henryka Kluby, zmontowaną na użytek przedszkolny. Pani doktor formalnie zatrudniona jest przez polską służbę zdrowia, faktycznie zaś — przez Kółko Żywego Plakatu. Pani doktor rozpływa się w czułościach, szczebiocze, każdy problem potrafi ująć w dziecinnej gwarze ple-ple i tiu-tiu, zatracając przy okazji autentyzm własnej postawy.

W podobnej konwencji zrobiony jest film **Tadeusza Stefanka „Mama Krysi jest włókniarką".** O włókniarskiej proweniencji Krysinej mamy wiadomo z tytułu; na ekranie mama ta oddaje się higienicznym zabiegom rekreacyjnym w miejscu bliżej nieokreślonym. Praca jako szlachetne i twórcze przekształcanie materii jest w tym filmie nieobecna. „Ku pokrzepieniu serc" zostało też pokazane życie rodzinne Krysi. Oto mama po powrocie z pracy omiata córkę miłosnym spojrzeniem, ta zaś natychmiast pada jej w ramiona, wkłada na nogi bambosze, nastawia herbatę, po czym, wraz z mamą ogląda szkolne zeszyty. Uwiedzionemu przez prawdę elementarza autorowi należałoby przypomnieć, że oprócz niej istnieje także trudno definiowana, ale łatwo wyczuwalna „prawda życia" — prawda zjawisk społecznych i reakcji psychologicznych. O tym nie można zapominać, nawet tworząc filmy dla najmłodszej widowni.

Jakby na przeciwnym biegunie tej skali sytuuje się bardzo dobry trzyczęściowy utwór **Wiesława Drymera „Zbiory"**, przystosowany do nowego programu matematyki dla klas pierwszych. Na przykładach konkretnych (np. z życia klasowej społeczności) potrafił autor przekonywająco wyjaśnić tak trudne przecież i abstrakcyjne pojęcia, jak: zbiór, element zbioru, podzbiór itp.

To, o czym napisałem jest oczywiście tylko częścią tego, co pokazywano i o czym mówiono w trakcie obrad. Obrad wytyczających perspektywy filmu szkolnego, toczących się w atmosferze nowych decyzji, jakie w tej dziedzinie podjęto. Można zatem oczekiwać, że w niedalekiej przyszłości, jak to wyraził jeden z organizatorów spotkania **„film szkolny przestanie być okazjonalnym kinem w szkole, a stanie się pełnoprawnym elementem procesu dydaktycznego.**

ZAPAMIĘTAJCIE!

JUŻ 18 GRUDNIA 1975 roku

ŚWIĄTECZNY NUMER „Odgłosów"

TELEWIZJA

Czwartek 27. XI. 75 r. — program I

18.30 — SPRAWY POLAKÓW — program publicystyczny mający na celu zaprezentowanie organizatorów przemysłu oraz przedstawienie osiągnięć przemysłu w ostatnich 4 latach.

20.25 — TEATR SENSACJI — „Epidemia zbrodni" cz. II, reż.: Jan Bratkowski.

Program II

17.40 — MIESZKAŃCY ANDÓW — reportaż filmowy o życiu i pracy mieszkańców Wyżyny Boliwijskiej.

18.05 — SPIEWA BARRY RYAN — występ angielskiego piosenkarza, któremu towarzyszy aktorka francuska, Francoise Pascal.

20.40 — U PROGU KARIERY MUZYCZNEJ — wystąpi Ewa Bukojemska, absolwentka PWSM w Krakowie.

21.30 — BUDKA SUFLERA — recital grupy wolno-instrumentalnej.

Piątek 28. XI. — program I

18.05 — FORUM — spotkanie min. administracji gospodarki terenowej i ochrony środowiska, Tadeusza Bejma z dziennikarzami.

21.30 — ŻYWOTY INSTRUMENTÓW — „Co wiecie o klarnecie" — monograficzny program o klarnecie przygotowany przez Janusza Cegiełłę.

Program II

20.50 — OJCOWIZNA — współczesny dramat obyczajowy TV jugosłowiańskiej — o dramacie starego rolnika przywiązanego do ziemi.

Sobota 29. XI. — program I

18.10 — WSZYSTKO ZA WSZYSTKO z prof. dr. Jerzym Grzymkiem.

20.20 — TEATR KOMEDII — „Pod jednym dachem" — współczesna komedia radziecka w reż. Józefa Słotwińskiego.

21.20 — IGRASZKI MIŁOSNE — francuska komedia sentymentalna zrealizowana w 1959 r. w reż. Philippe de Broca.

Program II

21.10 — GODZINA ZOFII GERLACH — lekarki przebywającej 10 lat w Algierii.

Niedziela 30. XI. — program I

10.55 — z cyklu „PASJA, PRZYGODA, RYZYKO" — „Karakorum" — film dokumentalny o wyprawach w Himalaje.

15.25 — MINIATURA DRAMATYCZNA — „Piąte wesele" reż. Wojciech Siemion. Tematem jest awans społeczny, ekonomiczny i kulturalny współczesnego pokolenia Polaków.

21.20 — VARIETE NA DWA FORTEPIANY — program rozrywkowy z udziałem m. in. Urszuli Sipińskiej, Ireny Jarockiej i Elżbiety Igras.

Program II

16.10 — z cyklu „Filmy Jana Rybkowskiego" — ALBUM POLSKI — dramat społeczno-historyczny z Barbarą Brylską w roli głównej.

21.00 — „BĘDZIEMY NASZE KONIE PŁAWIĆ WE KRWI" — program filmowo-dokumentalny demaskujący pozorne zmiany, jakie zachodzą w Republice Południowej Afryki.

Poniedziałek 1. XII. — program I

20.20 TEATR TV — „UCIECZKA Z BETLEJEMU" — Edmunda Niziurskiego wg scenariusza i w reżyserii Janusza Kondratiuka. Jest to opowieść o budowniczych wielkich inwestycji. Wśród wykonawców: Barbara Wrzesińska i Tadeusz Fijewski.

21.30 — FORUM — spotkanie min. zdrowia i opieki społecznej Mariana Śliwińskiego z dziennikarzami.

W **programie II** gościć będzie TV Jugosłowiańska, prezentując ciekawe programy dokumentalne, filmowe i rozrywkowe. Początek programu o 16.50.

Wtorek 2. XII. — program I

16.25 — SPOTKANIA W DRODZE — cykliczny program reportażowy, tym razem z woj. tarnobrzeskiego.

20.25 — CZTERDZIESTOLATEK — 9 odc. seryjnego filmu TVP (II seria) pt. „Rodzina, czyli obcy w domu" — reż. Jerzy Gruza.

Program II

20.20 WTOREK MELOMANA — grać będzie laureatka Konkursu Chopinowskiego, Diana Kasco z Brazylii.

21.55 — KLUB FILMOWY — wyświetlony zostanie dramat psychologiczno-obyczajowy „BERNT I ANITA" — prod. szwedzkiej w reż. Lennarta Hjulstroema.

Środa 3. XII. — program I

15.55 — TRANSMISJA AKADEMII Z OKAZJI DNIA GÓRNIKA.

16.30 — DYRYGUJE KRZYSZTOF PENDERECKI — reportaż filmowy z nagrania „Magnificat" dokonanego w lutym 1975 r. w Katowicach.

16.55 — FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY — tym razem mowa będzie o „Węglu, chemii i megawatach".

20.20 — Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI DLA GÓRNIKÓW — program muzyczno-baletowy przygotowany przez Jerzego Michotka z udziałem m. in. Haliny Kunickiej, Urszuli Sipińskiej i gości zagranicznych.

21.45 — ROZBROJENIE — PROBLEM NASZYCH CZASÓW — program z cyklu „Czym żyje świat" — o odprężeniu politycznym, które w konsekwencji pociągnie za sobą odprężenie militarne.

ZDRADLIWY UROK TV

A jednak się kręci... Bywają w telewizji wydarzenia kulturalne, które mimo iż są niewydarzone wywołują ferment opinii i mieszają w mrowisku. Oto bowiem wypada mi wrócić na chwilę do sprawy nieszczęsnego występu Niemena w telewizji, o czym pisałem dwa tygodnie temu. Tak się złożyło że tamten felieton wywołał w gronie moich znajomych, a są to ludzie, o czym niniejszym zapewniam, światli i kulturalni, pewne zaskoczenie. Niemen im się podobał, a mój felieton nie. Nie piszę ja po to, aby podobać się znajomym, ale po to, aby wyrazić swój pogląd. Jednakże jeśli wracam do tamtego wieczoru, to tylko dlatego, że podejrzewam w całej historii wymiar szerszy. I oto w ostatnich „Odgłosach" z nieoczekiwanym sukursem przyszedł mi Jerzy Wilmański, który w felietonie „Niemen, czyli niedźwiedzia przysługa" trafnym piórem próbuje oddać Niemenowi sprawiedliwość. Wilmański pisze, że tę niesmaczną farsę zgotowano Niemenowi na pohybel, bowiem miast pozwolić mu śpiewać, kazano mu odgrywać salonowca, w której to roli „artysta wielkiego formatu" — jak go określa Wilmański — nie błysnął, a wprost przeciwnie.

Jednakże sukurs Redaktora W. okazał się połowiczny, bowiem do końca zgodzić się z nim nie mogę. Nie dlatego, że nie uważam Niemena za „artystę wielkiego formatu", ponieważ to temat na inną okazję, ale dlatego, że „artysta wielkiego formatu" winien być ex definitione, człowiekiem myślącym, a nie manekinem w łapach telewizyjnego molocha. A takim właśnie przedstawia go Jerzy Wilmański, który, mimo iż jest człowiekiem dowcipnym i inteligentnym, posiada zdolność błyskotliwej riposty, a także buduje zgrabne zdania, słowem — na causeura wychodzi, jednakże nigdy — jak przypuszczam — nie zgodziłby się wystąpić w telewizji z recitalem piosenkarskim, choćby na zasadzie działania instynktu samozachowawczego. A Niemen zgodził się wystąpić w roli causeura, bowiem jako zadufany bufon ten instynkt utracił i chociaż, jak sam się zastrzegał, „nie chce wyjść na głupka" to jednak — niestety...

Może nie warto byłoby wracać do takiej historii, nie pierwszej zresztą i nie ostatniej, gdyby nie to, że jak każdy ludzki upadek posiada ona znaczenie głębsze i pouczające. Działanie telewizji sprowadza się przede wszystkim do tego, że pokazuje ona różnych ludzi. Jej kusicielska siła, jej syreni śpiew sprawia, że ludzie pchają się w mały ekran jak muchy do miodu. TV oferuje krótką może, ale jakże dziś cenną chwilę popularności, błysk sławy. Pojawienie się w telewizji staje się miarą najwyższego sukcesu życiowego i zaczyna funkcjonować w potocznej świadomości na zasadzie kryterium wartości. I tak oto mamy wybitnych naukowców, literatów, muzyków, aktorów i krytyków tylko dlatego, że od czasu do czasu pojawiają się w telewizji. Są znani, a więc wybitni. Nietrudno wyobrazić sobie, jakie deformacje w obrazie kultury polskiej występują u tego odbiorcy, który poza telewizyjny ekran nie wygląda.

Jednakże z tą sytuacją można się jeszcze, choć z wielką trudnością, pogodzić. Pół biedy, gdy ludzie pokazywani w telewizji polegają na swojej, jakże często rzekomej, atrakcyjności profesjonalnej, jednakże prawdziwy dramat, istna nędza kulturalna zaczyna się wówczas, kiedy niektórzy z nich zaczynają wierzyć w atrakcyjność swojej osobowości i na oślep zdążają — jak to określił jeden z amerykańskich psychologów społecznych — „do szczebla swojej niekompetencji". Jest to chęć grzeszna i dlatego bywa straszliwie pokarana. W tym procederze część winy ponosi telewizja, która organizuje i prowokuje żałosne kompromitacje. Człowieka z zawodowych względów zasługującego na uznanie wpuszcza w pułapkę i bezlitośnie wystawia na widok publiczny. Pamiętam głębokie zażenowanie, z jakim oglądałem kiedyś występ Józefa Nalberczaka w cyklu „Spotkań z X Muzą". Nie będę na podstawie tego programu charakteryzował Nalberczaka, który jest dobrym aktorem i za to go cenię przede wszystkim, ale cóż z tego, kiedy wspomnienie tamtego programu przeszkadza mi w odbiorze jego ról i automatycznie degraduje ich wartość.

Zdradliwy urok telewizji jest przemożny, lecz miarą wartości człowieka jest również jego samokrytycyzm i orientacja w granicach swoich możliwości. Bezwolne poddanie się TV, która zwabia człowieka do siebie w celach rozrywkowych jest dowodem braku tych ważnych dla ludzkiej osobowości cech. Czesław Niemen wykazał ich brak absolutny — nie zrażony porażką „Sukcesu", z której doskonale zdał sobie sprawę, po raz drugi postawił na tę samą kartę i nieszczęsny znów przegrał. Oby ku przestrodze innych!

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI

Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYNSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

KRZYSZTOF POGORZELEC

WYŚCIG MÓZGÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

jąc wartość pięciu miliardów dolarów rocznie.

Jest interesujące, że w wymianie międzynarodowej innowacjami czołowe miejsca należą do państw najbardziej rozwiniętych. Jeśli chodzi o kraje kapitalistyczne, to największymi importerami licencji oraz „know – how" są Japonia, RFN oraz Włochy i Francja.

Na tym międzynarodowym targu najnowocześniejszych rozwiązań technicznych, wynalazków i udoskonaleń widoczna jest również obecność naszego kraju, co choć dziś wydaje się oczywiste — jeszcze nie tak znowu dawno — bo ledwie przed pięcioma laty, było kwestionowane i wartościowo deprecjonowane. Rezultat? W latach 1966—1970 wydawaliśmy na zakup licencji około 0,05 proc. wytwarzanego dochodu narodowego, to znaczy kilkakrotnie mniej aniżeli rozwinięte kraje kapitalistyczne. Inny charakterystyczny przykład: jeśli opłaty licencyjne w przypadku państw Europy zachodniej w tamtych latach stanowiły 5—10 proc. wartości dokonywanego przez te kraje importu maszyn i urządzeń, to u nas ten sam wskaźnik nie przekraczał 2 proc. Powiedzmy sobie jednak szczerze, iż taki stan rzeczy miał miejsce przed rokiem 1971 nie tylko w Polsce, ale właściwie we wszystkich krajach socjalistycznych Ich udział w światowym handlu zdobyczami nauki, techniki, był oceniony na jakieś 7 proc. co oczywiście było wielkością nieproporcjonalnie małą w stosunku do potencjału ekonomicznego i naukowego znajdującego się w dyspozycji tych krajów. Jeśli więc dziś możemy powiedzieć, że i w tej dziedzinie dokonaliśmy zasadniczego zwrotu, to oznacza to coś więcej aniżeli operację, nazwijmy ją tak, „administracyjną". Fakty są tutaj niezwykle wymowne, bowiem tylko do końca roku 1972 Polska nabyła od krajów najbardziej rozwiniętych około 300 licencji, a biorąc pod uwagę całą mijającą właśnie pięciolatkę — zakupy tego typu były dwa razy większe, aniżeli w poprzednim... dwudziestoleciu.

Wszystko to bardzo piękne, ale — być może zauważyć w tym miejscu — **tyle więcej kupowaliśmy, a ile sprzedawaliśmy, eksportowaliśmy** naszej naukowej i technicznej myśli? Gospodarka tyle samo otwarta co nowoczesna musi bowiem uwzględniać te dwie strony wymiany, dyskontując swój rozwój i zdobywając nowe środki, siły napędowe.

A no właśnie, to jest ciągle problemem dla Polski lat 70, gdyż jak to zwykle bywa — start w każdej, nie mówiąc już o tak trudnej dziedzinie, nie jest łatwy. Na poparcie tej tezy — kilka liczb: otóż udział Polski w światowym handlu w ogóle oscyluje wokół 1,4 proc., natomiast w samych tylko obrotach licencjami — nie przekracza 0,5 proc. Popatrzmy teraz na to zagadnienie daleko wybiegające poza sferę zainteresowań eksporterów: w początkach lat siedemdziesiątych kraje należące do RWPG zarabiały na sprzedaży licencji około 30 mil. dolarów rocznie.

CSRS zajmuje wśród krajów socjalistycznych czołowe miejsce jako eksporter licencji. Do roku 1971 Czechosłowacja sprzedała krajom wysoko rozwiniętym ponad 380 licencji. Tuż za CSRS w tej dziedzinie idą: NRD oraz ZSRR.

No, a my, czyli Polska?

W owych 30 milionach dolarów mieszczą się takie transakcje jak sprzedaż licencji na wlewnice z ciekłej surówki wielkopiecowej, metodę kucia wałów korbowych, próżniomierz, produkcję ekstraktu dymu wędzarniczego, proszki poliestrowe i żywiczne, ferrytową głowicę pamięci. Okrągło licząc — 7 milionów dolarów, za 39 naszych rodzimych wynalazków, z których tylko niektóre oczywiście wymieniliśmy.

Powiadacie — nie tak znowu wiele?

Ja też tak uważam.

Mówicie:

— **No, a co z tymi najnowszymi osiągnięciami polskiej nauki?**

W tym właśnie jest problem, który warto i trzeba podjąć kiedy szykujemy się do nowego etapu rozwoju społeczno-ekonomicznego naszego kraju już w latach 1976—1980, ale patrzymy przy tym w dalszą perspektywę.

O CZYM MÓWI STATYSTYKA

Kiedy rozmawiamy tak sobie o możliwościach zrealizowanych i potencjalnych, które mogą przyczynić się do dynamizacji gospodarki naszego kraju, zmienić wewnętrzne relacje polskiego eksportu i postawić rodzimą wytwórczość przemysłową na znakomicie wyższym poziomie, to warto uświadomić sobie pewne fakty, gdyż bez nich — jak się to mówi — ani rusz. No więc przyglądnijmy się na początek takim liczbom: W roku 1973 (tylko takimi danymi dysponujemy) w zestawieniach statystycznych przy haśle „Polska" i pod pozycją „zgłoszenia patentowe w kraju" figurowała liczba 5.693, natomiast w rubryce „Polska — zgłoszenia patentowe za granicą" tylko 719. Te dwie liczby nie wymagają specjalnego komentarza i ograniczę się do owych 719 zgłoszeń. Znaczą one, że właśnie tyle patentów na nasze wynalazki obwarowaliśmy poza granicami PRL. Jak to wygląda w innych krajach? A no — Japonia: 115,221 zgłoszeń w kraju, u siebie, a 11.391 za granicą, RFN — odpowiednio: 31.909 i 12.743, CSRR — 55.984 i 2.246, Węgry — 1.170 i 1.320.

Miejsce Polski pod względem liczby patentów zgłoszonych: w kraju — 8, za granicą — 28.

Co z tych liczb wynika?

Sporo i są to ciekawe wnioski mogące być podstawą dla pewnej reorientacji naszej nie tylko polityki patentowej. No ale ad rem — czyli co się za tą statystyką kryje? Otóż po pierwsze uprawnia mnie ona do wyrażenia poglądu, że potrafiliśmy, szczególnie w ostatnich latach, dorobić się wcale przyzwoitej liczby wynalazków zgłaszanych w naszym Urzędzie Patentowym. Po drugie jednak temu procesowi nie towarzyszył równie duży dynamizm wychodzenia, a przede wszystkim ekonomicznego dyskontowania zdobyczy polskiej myśli twórczej, nauki, poza rodzimymi opłotkami, co znajdowało swój wyraz właśnie w bardzo ostrożnym jeśli wręcz nie niechętnym patentowaniu polskich wynalazków poza granicami. Jaki jest efekt tego rodzaju stanu rzeczy? W roku 1975 poza krajem tylko 560 polskich wynalazków chronionych było 1.850 patentami. Niech nikogo nie zmylą te liczby. Są one bardzo skromne i stąd użyłem tutaj słowa „tylko".

O co mi jednak chodzi, kiedy tak uparcie kruszę kopię o zdynamizowanie naszej polityki gospodarczej i społecznej również w tej dziedzinie?

No cóż, chciałbym — a jest to zapewne nie tylko moje prywatne „chcenie" — wpisać w panoramę Polski roku 1975 wysoką rangę nauki, twórczej inicjatywy funkcjonującej nie tylko na użytek wewnętrzny, ale równie dającej się dyskontować w skali międzynarodowej. Chodzi o umocnienie i zmaterializowanie przekonania, że właśnie to jest dziedzina dająca obok dużych ekwiwalentów ekonomicznych taki sam, jeśli nie większy jeszcze prestiż procentujący z nawiązką i to całkiem wymiernie. Nietrudno zresztą wykazać że istnieje prosta zależność choćby między liczbą patentów uzyskanych przez dany kraj za granicą a sprzedażą licencji. W roku 1974 na światowej liście zgłoszeń patentowych figurowały kolejno: ZSRR, Japonia, USA, RFN, W. Brytania, Francja, Kanada, CSRS, NRD, Polska, Węgry, Rumunia, Jugosławia i Bułgaria. Natomiast czołówka światowych eksporterów licencji wyglądała następująco: USA, RFN, W. Brytania, Japonia, Francja, Kanada, ZSRR, NRD, CSRS, Polska, Węgry, Rumunia, Bułgaria i Jugosławia.

W porządku, ale czy tylko do tego sprowadza się problem lepszego wykorzystania już teraz twórczego potencjału, zdolności i umiejętności, których to cech naszemu społeczeństwu nie brakuje?

Gdyby tylko o to chodziło.

NIKT NIE POCZEKA

W tym miejscu pozwolimy sobie przypomnieć fakty właściwie już historyczne. Otóż jak to w swojej głośnej książce „Wyzwanie amerykańskie" stwierdza francuski ekonomista — J. J. Servan — Schreiber: „...od wynalezienia do zastosowania technicznego maszyny parowej upłynęło 80-90 lat, telefonu — 56 lat, radia — 35 lat, silnika spalinowego — 20 lat, radaru — 15 lat, tranzystorów — 5 lat, obwodów scalonych — 3 lata". Tak więc, jeśli chodzi o czas, jaki upływa od pomysłu do przemysłu, to się on bardzo we współczesnym świecie kurczy, a równocześnie mamy do czynienia z innym niezmiernie charakterystycznym zjawiskiem, krótko mówiąc — ze wzrostem nakładów na badania naukowe. W roku 1973 — takimi danymi dysponujemy — kraje Europy zachodniej przeznaczyły na ten cel około 2,5 proc. swojego dochodu narodowego, Japonia — 2 proc., ZSRR i USA — po około 4,5 proc., Węgry i NRD — po 2,2 proc. Polska — 1,8 proc. Ten materialny wysiłek dawał określone skutki w postaci ilości wynalazków, a to znowu w liczbie zgłoszonych w poszczególnych krajach patentów. Według Międzynarodowego Biura Informacji Patentowej w omawianym tutaj czasie w ZSRR zgłoszono 118.998 wynalazków do opatentowania, w Japonii — 106 tysięcy, USA — 102 tysiące, RFN — 76 tysięcy, CSRS — 8.620, NRD — 7.858.

Powiedzmy sobie jednak szczerze, iż wymowa tych liczb byłaby nieco inna, gdybyśmy zadali sobie trud i znaleźli odpowiedź na pytanie, ileż to wynalazków opatentowanych w każdym roku przypada na 100 tysięcy mieszkańców różnych krajów. Nie ukrywajmy tego: czołówka — tak właśnie oceniając inicjatywę i prężność wynalazcza, przedstawia się dziś w taki sposób, że na czele kroczy mała Szwajcaria, za nią Japonia, dalej idą — Wielka Brytania, Francja, Szwajcaria, ZSRR, CSRS, USA, Austria, NRD. Niestety, Polska ze wskaźnikiem 15,1 plasuje się w tej klasyfikacji na dalekim miejscu, daliśmy się nawet wyprzedzić — nic im przez to nie ujmując — Bułgarom.

Nie będziemy rozmijali się z prawdą, jeśli powiemy tutaj, że ten wyścig mózgów to składowa część rywalizacji państw i całych struktur społeczno-politycznych. Jest to również niewyczerpane źródło pomnażania dochodu narodowego, z którego ten wysiłek naukowy jest subsydiowany, finansowany w rozmiarach takich, na jakie tylko dany kraj może sobie pozwolić. Ten wyścig mózgów nie jest więc swoistą sztuką dla sztuki ale ma na celu konkretne, nakreślone rezultaty. W USA zyski ze sprzedaży patentów, licencji i tzw. knowhow czyli „przyswajania umiejętności" wzrastały średnio rocznie o 32 procent, gdy wpływy z tradycyjnie pojmowanego eksportu towarów o 27 procent. Różnica i tendencja wyraźnie zarysowana.

Słowem — nauka to potężny czynnik dynamizujący gospodarkę i trzeba wyzwolić nowe inicjatywy w środowiskach naukowych, wyprostować i skrócić ścieżki wiodące od pomysłu do przemysłu, słowem — lepiej wykorzystywać materialne i techniczne możliwości dynamizacji ekonomiki, tkwiące korzeniami w środowiskach naukowo-badawczych, w rezultatach ich pracy. Temu celowi mają służyć zarówno reformy organizacyjne, rozwój placówek naukowo-doświadczalnych, jak i nadanie szczególnej społecznej rangi dobrej robocie w tej dziedzinie, zachęcanie — również przez bodźce materialne — do zwiększonego wysiłku.

Dobrym wsparciem dla takich wysiłków i dążeń będzie zapewne owych 220 mld złotych, które chcemy wydać w przyszłej pięciolatce na rozwój badań naukowych, ale w ostatecznym rachunku...

No cóż, w ostatecznym rozliczeniu o wszystkim zdecyduje człowiek, jego postawa, zaangażowanie, upór. Tak jak to było i w przypadku prasy Marciniaka, przędzarki „wir", czy białka rodem z Gdańska.

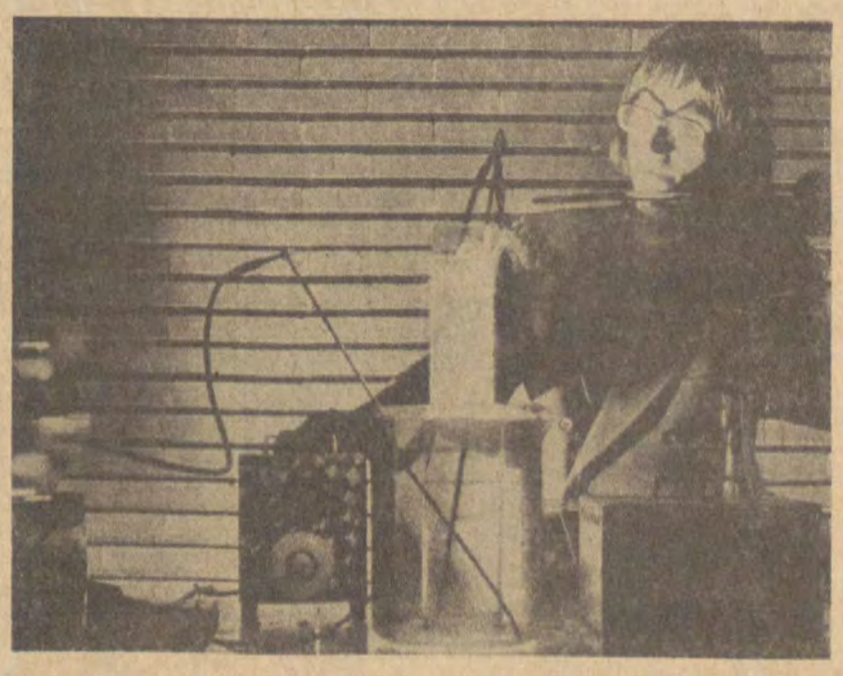

Fot. Archiwum

SPOSÓB MYŚLENIA

Dalszy ciąg z str. 1

ładne i modne. Gdzie więc podziały się takie buty, jakie się wszystkim podobały?

Kilka jest powodów tego, że ładne projekty nie docierają do klienta w takiej samej postaci i na czas. Ale mnie interesuje **jeden** tylko z tych powodów. A jest nim właśnie myślenie o własnym interesie, w rezultacie myślenie partykularne.

„Jest w magazynach parę milionów bubli — stwierdził nasz „myśliciel" — i ludzie te buble muszą kupić, bo muszą w ogóle kupić buty. Zamiast więc rzucić na rynek nowości obuwnicze, pchną nową partię butów — bubli. Ludzie je wykupią, bo nie będą mieli innego wyjścia. A wtedy ja im podrzucę nowości, które też wykupią i tak przechytrzę rynek"

Tylko, że nasz „myśliciel" nie wziął pod uwagę pewnej drobnostki: nieuchronności przemijania. Zapomniał o banalnej prawdzie, że czas nie stoi w miejscu, a specjaliści od mody też myślą. I tworzy się taka sytuacja, że nim ludzie z musu wykupią buble, to nowości w magazynie zamieniają się ponownie w buble, bo moda w tym czasie też lansuje już zupełnie coś innego.

Taki sposób myślenia reprezentują — niestety — nie tylko ludzie zajmujący się handlem butami. Reprezentują go również niektórzy wytwórcy, którzy stawiają sobie za cel, nie tyle zaspokajanie potrzeb rynku, ile wykonanie i przekroczenie wskaźników planu, jaki został dla ich fabryki ustalony. Brak waty, papieru toaletowego, ładnych guzików i innych drobnostek, niezbędnych przecież do życia, wynika między innymi właśnie z tego, że niektórym producentom łatwiej robić rzeczy wielkie i drogie, liczące się w skali planu, a „duperele" zostawić na później. Tylko, że te „duperele" w skali rynku ważą więcej niekiedy niż owe rzeczy wielkie. **I myślenie o fabryce bez liczenia się z rynkiem i jego potrzebami staje się w istocie myśleniem partykularnym, szkodliwym.**

Jedna z instytucji użyteczności publicznej poddana została krytyce. Odpowiedź krytykowanych była zadziwiająca. Zamiast merytorycznego ustosunkowania się do krytyki, przeanalizowania sygnalizowanych nieprawidłowości, odpowiedzieli oni oskarżeniem środków masowej informacji o.. nagonkę. Przekazali wyrazy oburzenia załogi, która poczuła się dotknięta na honorze. W instytucji tej rozumują widać, że nie wadliwa praca uwłacza honorowi załogi, ale mówienie o niej, krytykowanie złej pracy, publiczne roztrząsanie niedomagań. Taki sposób myślenia jest tylko inną odmianą partykularyzmu. Przy takim sposobie myślenia, zapomina się bowiem, że nie społeczeństwo zostało powołane, aby tolerować instytucję użyteczności publicznej, ale odwrotnie: ona została powołana po to, aby s ł u ż y ć społeczeństwu i ma ono prawo w y r a ż a ć swoją opinię o pracy tej — jak i każdej innej — instytucji.

Poświęciłem tyle miejsca sprawom pozornie drobnym, ale tylko dlatego, że w momentach p r z y ś p i e s z a n i a w każdym mechanizmie, a więc i w społecznym drobiazgi nabierają szczególnego znaczenia i zaczynają przeszkadzać w sposób więcej ważący niż wtedy, kiedy mechanizm pracuje tylko na ćwierć — lub półobrotach.

2.

„Wytyczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR" precyzują wyraźnie cel naszych wysiłków:

„...kraj nasz wstąpił w nowy etap historycznego rozwoju, podejmując stopniowo zadania budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

Charakteryzując społeczeństwo rozwiniętego socjalizmu **„Wytyczne"** stwierdzają między innymi:

„Będzie to społeczeństwo... dysponujące nowoczesną nauką, przodującą techniką wytwarzania..."

Dostając do rąk nowoczesne narzędzia pracy człowiek musi też zmieniać swój sposób myślenia. Musi nauczyć się wybiegania myślą w przyszłość i widzenia swojej działalności na tle celów społecznych. **Nowoczesne warunki produkcji wyma-**

Dalszy ciąg na str. 4

SPOSÓB MYŚLENIA

Dalszy ciąg ze str. 3

gają nowoczesnej organizacji pracy i nowoczesnego myślenia. Niezbędne staje się przewartościowanie wielu schematów i stereotypów. Współczesny człowiek musi już nie tylko być dobrym fachowcem, ale musi też orientować się w prawidłowościach rozwoju społecznego, rozumieć prawa ekonomii, polityki, poznać podstawy naukowej organizacji pracy i zarządzania.

Obecnie — jak pisze o tym w 11 numerze **„Nowych Dróg" Waldemar Stelmach** — technika i technologia wymaga, aby w przemyśle jedną trzecią stanowili robotnicy niewykwalifikowani lub nisko wykwalifikowani, a około dwóch trzecich — robotnicy wysoko wykwalifikowani oraz technicy i inżynierowie. W niedalekiej już przyszłości połowę będą stanowili robotnicy i pracownicy ze średnim wykształceniem, a patrząc jeszcze dalej — odsetek wysoko wykwalifikowanych robotników, techników i inżynierów będzie rósł nadal. Ciężar pracy i jej skuteczność będą się nieustannie przenosić z mięśni na mózg. Ten proces już się zaczął, ale jeszcze nie zawsze potrafimy go dostrzec i docenić. Jeszcze za bardzo tkwimy w stereotypach, które uformowały się w zupełnie odmiennych warunkach.

Przed ludzką myślą stają otworem coraz to nowe rejony życia: społecznego, gospodarczego, politycznego, kulturalnego. Postęp techniki, możliwość a czasem konieczność poruszania się po większym odcinku działalności zmusza do obserwacji większej ilości zjawisk, rozszerza kontakty, powoduje konieczność widzenia spraw w szerszym kontekście. Rosnący — choć powoli — czas wolny ludzi pracy trzeba widzieć nie tylko w kategoriach jego wypełnienia, ale też w kategoriach pozwalających na perspektywiczne myślenie. Tego myślenia trzeba się uczyć.

W nowoczesnej fabryce na 2 400 pracujących w ciągu roku odeszło 1 800 osób, a wśród nich blisko tysiąc po prostu porzuciło pracę. Kierownictwo fabryki załamywało ręce nad ludzką bezmyślnością, brakiem odpowiedzialności i nad lekkomyślnością. Porzucanie pracy jest zjawiskiem społecznie negatywnym.

— A ile wyście przyjęli ludzi, którzy gdzie indziej porzucili pracę? — zapytał ktoś zupełnie a'propos.

Na to pytanie nikt nie potrafił dać odpowiedzi. Po prostu nikomu nie przyszło do głowy, aby się tym zainteresować, ludzie którzy podjęli się odpowiadać za nowoczesność produkcji nie potrafili jeszcze widzieć spraw swojej fabryki na szerszym tle społecznym. I tego też trzeba się uczyć.

Musimy kształtować taki sposób myślenia, który pozwalałby śmielej patrzeć w przyszłość, stawiać sobie ambitniejsze cele i który pozwalałby na najskuteczniejsze organizowanie warunków dla ich spełniania. Ale aby tak mogło być, **musimy uczyć się widzenia spraw najprostszych w szerokim społecznym kontekście, uczyć się przewidywania skutków każdej naszej działalności, nawet tej najdrobniejszej.**

W telewizyjnej **„Panoramie"** zapytano studentów SGGW i rolnika o wizję polskiej wsi. Studenci przyszłość widzieli niezwykle wąsko, pragmatycznie, właściwie w zasięgu dzisiejszych już możliwości. Rolnik sprezentował zdumionej widowni telewizyjnej śmiałe, perspektywiczne widzenie. Jego wizja wsi, to wizja wsi nowoczesnej, zmechanizowanej, uprzemysłowionej. Są już tacy rolnicy, tylko my czasem ciągle jeszcze patrzymy na polską wieś z punktu widzenia, jaki typowy był dla początku lat sześćdziesiątych.

Niestety, czasem w taki sam sposób patrzymy na przyszłość nie tylko wsi. Uczmy się więc myśleć śmielej, szerzej, odważniej. Wzorem dla nas powinien być nie anegdotyczny Kukuła z cytowanego na wstępie dowcipu, nawet nie Pietrzak, który potrafił go wykpić, nie ci, których czasem od myślenia zwalniają funkcje i naukowe tytuły, ale tacy jak ów rolnik z telewizyjnej „Panoramy", jak wielu innych, którzy potrafią patrzeć dalej swego nosa. W przeszłości i dziś mamy wiele wzorów do naśladowania. **Naśladownictwo w nowoczesności myślenia jest nie tylko dozwolone, ale wręcz wskazane.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WŁADYSŁAW HONKISZ

STAĆ NAS NA WIĘCEJ

Kiedy dziś bilansujemy drogę przebytą od VI Zjazdu, kiedy zastanawiamy się nad wypracowaniem programu, który przyjmie VII Zjazd PZPR — godzi się zauważyć, że w powojennych dziejach naszej państwowości nigdy jeszcze kierownictwo partii, władza ludowa i cały naród nie okazywały tak wiele serdecznej troski o swoje siły zbrojne, jak to ma miejsce w ostatnim pięcioleciu. Nigdy też nie otrzymaliśmy tak wysokiej oceny za żołnierski trud, jaką zawiera Uchwała Sekretariatu KC w związku z 30-leciem LWP, w związku z 30-leciem Polski Ludowej i 30-leciem zwycięstwa nad faszyzmem hitlerowskim, pozytywnej oceny, jaką w imieniu Komitetu Centralnego i swoim własnym prezentował Edward Gierek przy wielu okazjach.

Za sprawą partii nastąpił świadomy, pogłębiony związek wysiłku zbrojnego z polityczną i ekonomiczną działalnością wojska. Dziś, jak nigdy dotąd, nasz trud żołnierski był i jest najściślej związany z tym co dzieje się w bogatej panoramie życia politycznego i gospodarczego kraju. Dziś sylwetka żołnierza — obywatela głębokim, konkretnym i trwałym śladem odciska się na mapie ogólnonarodowych dokonań.

Nietrudno w tym miejscu o odpowiedź, gdzie tkwią przyczyny, jakie są siły sprawcze tak zasadniczych przewartościowań, tak korzystnych zmian. Przyjęty przez VI Zjazd PZPR jakościowo nowy program socjalistycznego wychowania społeczeństwa, szersze i bardziej gruntowne upowszechnianie teorii marksistowsko-leninowskiej w wojsku w myśl zasady: „każdy oficer wykształconym marksistą", konkretny program socjalistycznego wychowania wojska ujęty w dyrektywach, rozkazach ministra i wytycznych Głównego Zarządu Politycznego — oto, m.in. wartości i czynniki składające się na próbę odpowiedzi na postawione pytanie.

Dziś centralne miejsce w naszej działalności ideologicznej zajmuje krzewienie zasad marksizmu-leninizmu. W programach szkolenia słuchaczy kursów zawodowych i rezerwy najrozleglejszą dziedzinę nauczania stanowi problematyka ideowo-polityczna. Składają się na nią zagadnienia teorii i praktyki marksistowsko-leninowskiej, wybrane problemy polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, zagadnienia polityki międzynarodowej, a także wybrane problemy życia politycznego w kraju i w wojsku. W realizacji tego programu pomaga nam m.in. łódzkie środowisko naukowe.

Jako człowiek, którego wychowała organizacja młodzieżowa, pragnę wyrazić moją satysfakcję, radość, zadowolenie z faktu, że w ostatnim okresie czasu sprawy wychowania ideowo-politycznego młodzieży, jej postawy i zaangażowania w budownictwie socjalizmu stanowiły ważny nurt pracy łódzkiej instancji partyjnej. Sprawy kształtowania i wychowania młodzieży — jak stwierdziliśmy to w toku XVIII Konferencji — były kilkakrotnie przedmiotem plenarnych posiedzeń Komitetu Łódzkiego PZPR, szeroko podejmowały je komitety dzielnicowe, rady narodowe, organizacje partyjne w zakładach i szkołach. Jest to w naszym przekonaniu najbardziej prawidłowy kierunek działania, boć przecież w każdą lukę, w każdą szczelinę, w każdy niedopowiedziany problem czy temat w pracy z młodym pokoleniem wciska się nasz przeciwnik ideowy. Nietrudno zauważyć, że toczy się wciąż wielka batalia o serca, o umysły ludzi — zwłaszcza o serca i umysły młodego pokolenia. Tę walkę musimy wygrać.

Z bogatych treści „Wytycznych na VII Zjazd PZPR" wyciągamy praktyczne wnioski dla siebie, dla kadry dydaktycznej i dowódczej naszej partyjnej uczelni — jako że edukuje się tu młodzież ze wszystkich uczelni humanistycznych w kraju, zaś nastroje społeczeństwa, a środowisk studenckich i akademickich zwłaszcza, odbijają się jak w soczewce. Stąd, m.in., tak wiele uwagi poświęcamy działalności organizacji partyjnych i młodzieżowych, która jest również skorelowana z cyklem zajęć, obejmujących praktykę pracy partyjno-politycznej w wojsku. Atmosfera partyjności sprzyja doskonaleniu wiedzy marksistowsko-leninowskiej tak potrzebnej pracownikom frontu ideologicznego, a jednym z jej mierników jest stały wzrost szeregów partyjnych.

Motywacje ideowe i patriotyczne podchorążych wyraża również ambicja równania do najlepszych w ramach przodownictwa i współzawodnictwa. Potwierdza to daleko większa liczba przodowników, drużyn i plutonów służby socjalistycznej, wzorowych żołnierzy i kierowców.

Nowy, odmienny jakościowo charakter naszych sił zbrojnych sprawił, że szkolimy dziś dla potrzeb wojska pracowników frontu ideologicznego średniego szczebla dowodzenia, że przygotowujemy do zawodu oficera politycznego rezerwy, pokaźną liczbę absolwentów wyższych uczelni humanistycznych z całego kraju. W murach naszej Szkoły podwyższa swoje kwalifikacje w zakresie znajomości języków obcych kadra zawodowa wszystkich rodzajów i specjalności wojskowych. Godzi się w tym miejscu wspomnieć, że w ciągu ostatnich 2—3 lat wnieśliśmy istotne, merytoryczne zmiany do programów szkolenia. Poszerzono znacznie problematykę odnoszącą się do naukowego komunizmu, wprowadzono do programu tematy odnoszące się do szeroko pojętych problemów kultury.

Sygnalizuję powyższe zmiany, by skonstatować, że tylko pozornie każdy dzień, miesiąc czy rok w naszej uczelni wydają się być podobne do poprzednich. W rzeczywistości są inne, niepodobne do siebie, głównie z powodu wciąż nowych treści, nowych zadań i nowych rozwiązań metodycznych. Nasza uczelnia o profilu na wskroś humanistycznym reaguje na wszystkie zachodzące w życiu kraju zmiany polecznopolityczne i ekonomiczne niczym najczulszy barometr.

Pragnę zauważyć, że naszemu środowisku imponuje konsekwencja i upór kierownictwa partii, które w codziennej działalności z coraz lepszymi efektami atakuje wiodący dziś temat: jakości, wydajności, wysokiej dyscypliny i rytmiczności pracy. Postulat prymatu kryteriów jakościowych nad ilościowymi bierzemy również coraz konkretniej na warsztat naszej działalności, odnosi się on bowiem zarówno do rozległej sfery procesu dydaktycznego, jak i całej sfery naszego gospodarowania.

W procesie dydaktyczno-wychowawczym z dużym pożytkiem sięgamy do bogatych tradycji rewolucyjnych Łodzi. Znajomość historii, zwłaszcza ostatniego stulecia, pogłębiają słuchacze kursów zawodowych i podchorążowie m.in. z autopsji w czasie zwiedzania łódzkich zakładów pracy. Kilka tematów z historii realizujemy w łódzkich muzeach. Wielce pouczające są spotkania z robotnikami, weteranami ruchu robotniczego, m.in. byłymi członkami SDKPiL, KPP, KZMP, dzisiejszymi członkami PZPR i Budowniczymi Polski Ludowej.

Merytoryczna konfrontacja sytuacji społeczno-politycznej Polski lat międzywojennych, ocena i porównania dotyczące położenia klasy robotniczej „wczoraj i dziś" przez ludzi, którzy całe swe życie poświęcili walce o dzisiejszy kształt Polski Ludowej, stanowi najlepszą lekcję historii, dostarcza inspirujących, twórczych refleksji. Z rewolucyjnych tradycji i bohaterskiego wysiłku ludzi pracy czerpiemy najlepsze doświadczenia, hart ideowy, zaangażowanie do realizacji bieżących zadań polityki partii. Tą, m.in., drogą uczymy najmłodsze pokolenie pracowników partyjno-politycznych szacunku dla klasy robotniczej, uczymy poznawać dzień wczorajszy i dzisiejszy miasta, które wpisało swoje piękne karty w historię polskiego ruchu robotniczego, w historię budownictwa socjalistycznego w naszym kraju. Posiadamy w tym zakresie dość istotny dorobek, dobre doświadczenia, których ilustrację stanowić mogą m.in. setki spotkań kadry z młodzieżą szkolną, wspólna z młodymi robotnikami praca na rzecz miasta (w br. wartość czynów żołnierskich na rzecz miasta przekroczyła 100 tysięcy złotych), dziesiątki litrów honorowo oddanej krwi, tysiące młodzieży i starszych, którzy zwiedzili nasze obiekty szkoleniowe.

Za przykładem klasy robotniczej konsekwentnie upowszechniamy w świadomości członków partii idee i zasady przodownictwa i współzawodnictwa socjalistycznego, hasła „stać nas na więcej", „nie zgadzamy się z przeciętnością", „równamy do najlepszych". Wyrażają nasz styk z miastem wielorakie związki w przedmiocie kultury — bo jak słusznie wielokrotnie akcentowano — Łódź to nie tylko przemysł. Łódź nie tylko na włóknie stoi.

Jako jeden z wielotysięcznej rzeszy pedagogów, którego los związany jest z tym miastem od 25 lat, uważam, że podołamy wszystkim zadaniom, jeśli jeszcze głębiej i wszechstronniej niż dotychczas korzystać będziemy ze wskazanych w Wytycznych źródeł, inspirujących naszą działalność dydaktyczno-wychowawczą.

Nasza żołnierska społeczność przyjmuje „Wytyczne KC na VII Zjazd PZPR" z ogromnym zaufaniem. Każdy człowiek w żołnierskim mundurze wiąże z tym programem kształt własnego jutra i swoich najbliższych. Znajdujemy bowiem w programie miejsce na każdą twórczą inicjatywę, na każdy dobry pomysł, na jeszcze bardziej ambitne zadania związane z umacnianiem gotowości bojowej wojsk oraz pracę na rzecz gospodarki narodowej.

Płk mgr **WŁADYSŁAW HONKISZ** — Komendant Ośrodka Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi.

ANTONI KOTEŁKO

WIELKI POTENCJAŁ I WIELKIE ZADANIA

Chciałbym przede wszystkim przypomnieć, że w ciągu trzydziestolecia PRL, wychodząc ze stanu zerowego, dorobiła się Łódź siedmiu wyższych uczelni, które mogą się pochwalić wykształceniem wielu tysięcy fachowców z różnych dziedzin życia gospodarczego i społecznego. Około jedna dziesiąta kadry specjalistów z wyższym wykształceniem, pracujących w kraju została wychowana w Łodzi, co jest dobitnym wyrazem osiągnięć naszego środowiska naukowego. Łódzka Akademia Medyczna w tym czasie wykształciła więcej lekarzy, farmaceutów i stomatologów, niż było ich przed wojną w całej Polsce.

Podsumowując naszą dotychczasową pracę, a zwłaszcza osiągnięcia ostatnich pięciu lat, stawiamy sobie pytanie, czy w pełni jesteśmy zadowoleni z tego, co zrobiliśmy. Osiągnięcia ilościowe nie mogą nam przesłaniać całego szeregu słabych stron naszego działania. Mankamenty te wynikają przede wszystkim, jak sądzę, z niedostatków pracy wychowawczej w naszych uczelniach.

Przekazując młodzieży fachową wiedzę musimy równocześnie myśleć o przygotowaniu tych młodych ludzi do pracy w społeczeństwie XX i XXI wieku. Jak dotąd nie potrafimy w sposób w pełni przekonywający przedstawić tej młodzieży modelu życia, odmiennego od tego, które starają się kształtować pewne koła, będące kontynuacją mentalności drobnomieszczańskiej. Dla młodego człowieka kończącego wyższe studia nie może być jedynym celem osiągnięcie pewnego standardu materialnego, który można umownie ująć jako posiadanie samochodu, domku weekendowego czy możliwości spędzania wakacji za granicą. Nie chcemy wychowywać naszej młodzieży na anachoretów, ale powinniśmy przedstawiać im i wpajać te wartości, które cechują członka społeczeństwa socjalistycznego, jak zadowolenie z własnej pracy, umiejętność samokształcenia, korzystania z dóbr kulturalnych, satysfakcja ze współdziałania z otoczeniem, jak chęć poznania własnego kraju, jego historii i kultury. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że ci młodzi ludzie będą za dwadzieścia lat decydować o losach naszego kraju i jego dalszym rozwoju.

Młodzież akademicka oczekuje od nas pewnych wzorców, których my jesteśmy obowiązani im dostarczyć. Jednym z najważniejszych elementów wychowawczych jest stawianie młodzieży, w tym również młodzieży akademickiej, wysokich wymagań. Młodzi ludzie mają swoje prawa, ale mają też swoje obowiązki, z których powinni się rozliczać. W odniesieniu do młodzieży akademickiej, która jest pod specjalną opieką państwa, mamy prawo oczekiwać takiej samej odpowiedzialności za naukę, jak od pozostałej młodzieży robotniczej i chłopskiej, w stosunku do której nikt nie stosuje taryfy ulgowej poza zwykłą ludzką życzliwością. Nauka w wyższej szkole jest przywilejem dla najzdolniejszych, ale nie azylem. Większa część młodzieży rozumie to dokładnie, natomiast z tymi, którzy nie chcą tego przyjąć do wiadomości, musimy się rozstawać.

Najważniejszym elementem wychowawczego oddziaływania na młodzież jest przykład zespołu nauczającego. Do zespołu dydaktycznego angażujemy młodych ludzi, bezpośrednio po studiach, studentów o najlepszych postępach w nauce, legitymujących się osiągnięciami w pracy społecznej. Tym młodym ludziom stawiamy określone zadania w czasie.

W ciągu dwóch lat stwierdzamy, czy przyjęty kandydat ma odpowiednie kwalifikacje na pracownika naukowo-dydaktycznego. Jeśli nie, musi on przejść do innej pracy, bardziej odpowiadającej jego osobowości. Pozostali pracownicy powinni w ciągu około pięciu lat uzyskać stopień doktora, a jeżeli posiadają odpowiednie predyspozycje, w ciągu następnych pięciu lat doktora habilitowanego. W ten sposób stopień doktora uzyskiwany być może w wieku około 30 lat, a doktora habilitowanego w wieku lat 35. Większość tych specjalistów nie może na stałe pozostać w uczelni. Ludzie ci powinni znaleźć odpowiednie miejsce w życiu gospodarczym i społecznym kraju. W takim ujęciu wyższa uczelnia staje się instytucją przygotowującą specjalistów o coraz wyższym poziomie fachowym.

Praca naukowa wyższych uczelni powinna być związana, zgodnie z zaleceniami partii, z potrzebami gospodarki narodowej. Wydaje się, że łódzkie wyższe uczelnie spełniają ten dezyderat. Łódzkie środowisko naukowe uczestniczy w pracach nad postępem łódzkiego i krajowego przemysłu, administracji, współdziała w budowie Zagłębia Bełchatowskiego. Akademia Medyczna wespół ze społeczną służbą zdrowia województwa chroni zdrowie społeczeństwa, kładąc przy tym duży nacisk na specyficzne problemy łódzkie, takie jak opieka nad matką i dzieckiem, choroby układu oddechowego, krążenia. Powstał zintegrowany system opieki zdrowotnej, obejmujący wszystkie instytucje służby zdrowia. Sądzę, że ten system będzie w dalszym ciągu ulepszany.

Mimo dużych osiągnięć jeszcze nie wszystkie wewnętrzne rezerwy łódzkiego środowiska naukowego zostały wykorzystane w jego pracy. Zadaniem najbliższych lat będzie pełne uruchomienie rezerw dla potrzeb gospodarki narodowej i nauki. Od pracowników nauki będzie zależało, w jakim stopniu potrafimy wykorzystać olbrzymie nakłady finansowe, które przyszły plan pięcioletni przeznacza na cele badawcze.

Warto jeszcze zastanowić się nad tym, w jakich warunkach pracują łódzcy naukowcy i co jest potrzebne, aby mogli wypełnić stawiane przed nimi zadania? Chodzi tu o bazę materialną, bazę, której w Łodzi przed trzydziestu laty w ogóle nie było. W ciągu trzydziestolecia zrobiono w tym zakresie dużo, w ostatnich latach bardzo dużo, ale czeka nas jeszcze wiele pracy nad tym, aby zaspokoić potrzeby i aspiracje drugiego co do wielkości miasta w Polsce. Jesteśmy pewni, że dalsze lata przyniosą jeszcze szybszy rozwój zarówno Uniwersytetu Łódzkiego jak i Politechniki Łódzkiej. Czekamy na zakończenie budowy Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, na stworzenie lepszych warunków pozostałym wyższym uczelniom. Przystąpiliśmy w bieżącym roku do realizacji wielkiej inwestycji przeznaczonej dla Akademii Medycznej: Centrum Kliniczno-Dydaktycznego wyposażonego w szpital kliniczny na 1300 osób. Będzie to inwestycja, z której korzystać będą nie tylko studenci i pracownicy Akademii Medycznej, ale również wszyscy mieszkańcy miasta i województwa.

ANTONI KOTEŁKO — profesor doktor habilitowany, rektor Akademii Medycznej w Łodzi, delegat na VII Zjazd PZPR.

PORTRETY

ARAM CHACZATURIAN

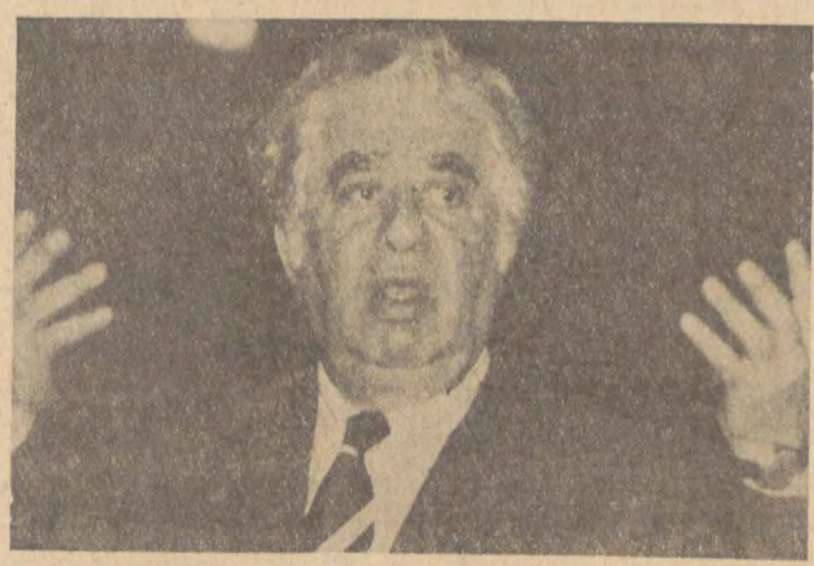

Aram CHACZATURIAN (ur. 1903), kompozytor armeński, jeden z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów radzieckich. Od 1951 roku profesor Konserwatorium w Moskwie. W jego indywidualnym stylu charakterystyczna jest melodyka przepojona motywami folkloru armeńskiego, gruzińskiego, a także tureckiego, żywa rytmika, barwna instrumentacja. Skomponował balety: „Gajane" (1942, II wersja 1952), ze słynnym „Tańcem z szablami", „Spartakus" (1954), muzykę do dramatu M. J. Lermontowa „Maskarada" (1941) dzieła orkiestrowe (suity, symfonie, koncerty, „Rapsodię" na skrzypce z orkiestrą 1961), fortepianowe, pieśni, muzykę do filmów, hymn państwowy Armeńskiej SRR (1944).

FOTOGRAFOWAŁ:

WŁODZIMIERZ PARYS

TYDZIEŃ KSIĄŻKI

DLA WSZYSTKICH

Dekada książki społeczno-politycznej: CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA trwa tylko do końca listopada Ludzie zainteresowani książkami traktującymi o sprawach naszej przeszłości, teraźniejszości, polityki, gospodarki, życia społecznego, a także losami jednostek opisywanymi czy to w powieściach, czy też we wspomnieniach będą szukali tych książek nadal. Chcąc im przyjść z pomocą, łódzka księgarnia „WSPÓŁCZESNA" organizuje od **27 listopada do 4 grudnia 1975 roku** TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ.

Na ten okres księgarnia „WSPÓŁCZESNA" sprowadziła wiele interesujących pozycji wydawniczych, od dawna poszukiwanych przez czytelników. TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ — organizowany przez księgarnię „WSPÓŁCZESNA" — pokrywa się częściowo z dekadą książki społeczno-politycznej i jest jakby tej dekady przedłużeniem. Dlatego też wśród wielu pozycji, jakie znajdą się w dniach od **27 listopada do 4 grudnia 1975 roku** na ladzie księgarni „WSPÓŁCZESNA", będą książki dotyczące historii, polityki, filozofii marksistowskiej, socjologii. Obok nich Czytelnik znajdzie książki dla dzieci, naukowe, wspomnienia, powieści.

Co można będzie w tym czasie znaleźć na półkach księgarni „WSPÓŁCZESNA"?

Oto kilka propozycji:

„JEDNOŚĆ I WIELOŚĆ"

Pełny tytuł książki **Zdzisława Cackowskiego** brzmi: **„Jedność i wielość. Działanie i poznanie. Wykłady z materializmu dialektycznego."** Wydawcą tej pozycji jest **„Książka i Wiedza"**. Rok wydania. **1975.**

Zdzisław Cackowski jest absolwentem Uniwersytetu im. Michaiła W. Łomonosowa w Moskwie, profesorem Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Filozof z zamiłowania i wykształcenia jest autorem wielu książek poświęconych materializmowi dialektycznemu. **„Jedność i wielość..."** jest ostatnią książką tego autora, która ukazała się na półkach księgarskich, ale niewątpliwie nie ostatnią, która wyszła spod jego pióra.

Książka składa się z 15 wykładów, poświęconych podstawowym problemom materializmu dialektycznego. Oto niektóre tylko tytuły wykładów: **„Narodziny filozofii i jej powołanie", „Leninowskie pojęcie materii", „Pierwotność działania wobec poznania", „Przedmiot ludzkiego poznania", „Istota prawdy i jej kryteria".**

Wykłady skonstruowane są przejrzyście, sformułowane precyzyjnie i dostępnie. Problemy materializmu dialektycznego autor traktuje w świetle najnowszych osiągnięć nauki. Książka powinna zainteresować nie tylko tych, którzy zajmują się filozofią, ale też tych wszystkich, którzy chcieliby lepiej i głębiej zrozumieć nasz świat, skuteczniej posługiwać się dialektyką w ocenie tego wszystkiego, co dzieje się wokół nas.

„OBYCZAJE STAROPOLSKIE"

Inną dziedzinę wiedzy prezentuje książka **Zbigniewa Kuchowicza.** Wydawcą tej poszukiwanej niewątpliwie pozycji jest **„Wydawnictwo Łódzkie".** Rok wydania: **1975.**

Zbigniewa Kuchowicza Czytelnicy **„Odgłosów"** znają z publikowanych na naszych łamach fragmentów przygotowywanej w **„Wydawnictwie Łódzkim"** książki o słynnym romansie i małżeństwie Barbary Radziwiłłówny i Zygmunta Augusta. Zbigniew Kuchowicz jest profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, historykiem, specjalizującym się w dziejach obyczajów z XVI—XVIII wieku. Jest autorem wielu prac historycznych, a w tym popularnej już książki pod tytułem: **„Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI—XVIII wieku".** Na rynku księgarskim rozeszły się już dwa wydania tej książki, pierwsze z 1972 roku i drugie z 1974 roku.

Zbigniew Kuchowicz w **„Obyczajach staropolskich"** pisze o tym jak dawniej jadali bogaci i biedni Polacy, jak się bawili, kochali. Pisze o czarownicach i diabłach, przesądach, o rozrywkach codziennych i świątecznych, o ówczesnej modzie, o dawnej urodzie polskich niewiast i ich pozycji w społeczeństwie, w domu i rodzinie. Zdradza dawne tajemnice alkowy i wspomina o ówczesnych wszetecznicach.

Nakład, jak na tego rodzaju pozycję, niewielki, bo tylko 20 tysięcy egzemplarzy.

„MNICH"

Autorem tej książki jest **Matthew Gregory Lewis.** Wydało ją **„Wydawnictwo Literackie"** z Krakowa. Rok wydania: **1975.**

„Mnich" ukazał się w 1796 roku i od razu wywołał skandal. Książka była rozchwytywana. Jej egzemplarze przechodziły z rąk do rąk. Od palców przewracających kartki czerniła się biel papieru. A moraliści protestowali przeciw **„Mnichowi"** z wielkim oburzeniem. Książka zrywała bowiem z tradycją „zacnych" powieści sentymentalno-obyczajowych XVIII wieku.

Akcja powieści toczy się w scenerii wywołującej grozę. Jest to książka z dreszczykiem. „Dreszczowiec", który powstał pod koniec XVIII wieku, ale popularny jest po dziś. Dziś popularność tej książki wzrosła może nawet silniej, jako że na świecie panuje moda na grozę i wydarzenia dreszczem przenikające do szpiku kości. **„Mnich"** to wszystko zapewnia w sposób maksymalny i niemal zupełny. Powieść pełna jest niesamowitych wydarzeń, krwawych rozpraw, pogoni, napadów, podstępów, intryg. Przez karty książki przewijają się piękne dziewczęta, posępni zbójcy, dworni kawalerowie, zakochani paziowie, Cyganie, mnisi, a także upiory, diabły i inne moce nadprzyrodzone. A na tle tego wszystkiego historia miłości.

Książkę upiornymi rysunkami zilustrował **Janusz Bruchwalski.**

„SZOK PRZYSZŁOŚCI"

„Szok przyszłości" Alvina Tofflera ukazał się wprawdzie nakładem **Państwowego Instytutu Wydawniczego** w 1974 roku, ale jest nadal poszukiwany. Książka ukazała się w znanej serii: **„Plus — minus — nieskończoność".**

Alvin Toffler jest amerykańskim publicystą. Był zastępcą redaktora naczelnego „Fortune", a także waszyngtońskim korespondentem tego pisma. Publikacje swoje drukował także w innych pismach amerykańskich. W 1969 roku został profesorem w Cornell University. Wykładał w innych uczelniach.

„Szok przyszłości" jest książką typowo amerykańską, gdyż wyrasta z amerykańskiego klimatu intelektualnego i pokazuje niepokoje tego społeczeństwa. Ale jest to też książka o niepokojach współczesnego społeczeństwa zaskakiwanego szybkim tempem przemian cywilizacyjnych.

„Myśli i obserwacje — napisał we wstępie do „Szoku przyszłości" Jan Danecki — **jakie przedstawił Toffler na kilkuset stronach tej książki, są zbyt ważące, aby przejść obok nich obojętnie".**

„STUDIUM TYRANII"

Autor: **Alan Bullock.** Pełny tytuł: **„Hitler — studium tyranii".** Wydawca: **„Czytelnik".** Rok wydania: **1975.**

„Adolf Hitler — tak zaczyna się książka Alana Bullocka — **urodził się o wpół do siódmej wieczorem 20 kwietnia 1889 roku w gospodzie „Zum Pommer", w małym miasteczku Braunau nad rzeką Inn, granicą między Austrią a Bawarią. W dniu jego urodzin Europa, w której przyszedł na świat i którą miał zniszczyć, robiła wrażenie ustabilizowanej na wieki. (...) Cesarz Franciszek Józef od 40 już lat zasiadał na tronie, a czekało go jeszcze ponad ćwierć wieku panowania. (...) Trzy republiki, które Hitler miał zniszczyć, Austria z traktatu w Saint-Germain, Czechosłowacja i Polska, jeszcze nie powstały. Cztery wielkie domy panujące: Habsburgów, Hohenzollernów, Romanowów i Ottomanów, rządziły w środkowej i wschodniej Europie. O Rewolucji Październikowej i Związku Radzieckim nikomu się jeszcze nie śniło... Latem tego samego 1889 roku Lenin, wówczas 19-letni student, popadł w zatarg z władzami i wraz z matką przeniósł się z Kazania do Samary. Stalin był synem ubogiego łatacza butów w Tyflisie, a Mussolini — 6-letnim dzieckiem w rodzinie kowala w niegościnnej Romanii".**

Zdaniem autora wstępu — **Franciszka Ryszki** tej najciekawszej i najlepszej książki o brunatnej tyranii po prostu nie można nie znać.

„PIEKŁO..."

Joe Alex — niewątpliwie najlepszy polski autor powieści kryminalnych — napisał nową powieść, a wydało ją krakowskie **„Wydawnictwo Literackie".** Rok wydania: **1975.** Pełny tytuł: **„Piekło jest we mnie".** Szata graficzna jak w całej serii książek tego autora wznawianych przez **„WL".** Ale tym razem jest to zupełnie nowa książka.

Zbrodnia zostaje popełniona w niezwykłych okolicznościach, ale nieoceniony Joe Alex wykrywa mordercę. Czytelnik od pierwszej chwili podejrzewa wszystkich, tylko nie tę osobę, którą należy podejrzewać.

PONADTO...

...na półkach księgarni „WSPÓŁCZESNA" znaleźć będzie można książki:

— **R. Frelek i W. Kowalski** — „Sprawa polska 1944", KiW 1975.
— **W. Kowalski** — „Wielka koalicja 1941—1945", t. II, MON 1975.
— Encyklopedia Warszawy", PWN 1975.
— **M. Wańkowicz** — „Karafka La Fontaine'a", „WL" 1974.
— **N. Kazantzakis** — „Grek Zorba", KiW 1971.
— **F.F. Scott** — „Ostatni z wielkich", Czytelnik 1975.
— **J. Baldwin** — „Inny kraj", PIW 1975.
— **J. Urban** — „Grzechy chodzą po ludziach", LSW 1975.
— **J. Adamson** — „Moja lwia rodzina", Iskry 1975.
— Kodeks pracy oraz przepisy wykonawcze i związkowe, Wydawnictwo Prawnicze 1975.
— Mały słownik języka polskiego, PWN 1974.
— **H. Gawrońska** — „ABC robót szydełkowych", Watra 1974.
— „Kuchnia polska" — PWE 1975.
— **M.E. Halbański** — „Domowa kuchnia francuska", Watra 1975.

A także wiele innych, ciekawych i poszukiwanych książek oraz sporo książek dla dzieci i młodzieży.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ZMĘCZENIE

(FRAGMENT POWIEŚCI)

— Wielki człowiek znowu bardzo zmęczony?

Lena zaciska wąskie usta, mruży oczy, jak zawsze, kiedy zamierza atakować, bębni suchymi palcami po stole.

Tomasz jest czujny, skupiony, pragnie za wszelką cenę uniknąć konfliktu.

— Wiesz przecież, miałem ostatnio za dużo roboty, fakt, potrzeba mi chyba odpoczynku, skoczę może w góry na tydzień, więcej czasu nie wykombinuję, jesień niebezpieczna pora dla Polaków, same rocznice.

Lena nie chwyta dowcipu, jest nadal wroga. Ale o co jej chodzi? Tego Tomasz nie wie.

— Myślałam, że wyszłam za człowieka, a nie instytucję.

Tomasz odpręża się, nic groźnego, Lena nie domyśla się nawet istnienia Marii. Wygłosi zapewne odczyt na temat złych mężów, bardzo złych, najgorszych, którzy nie mają ani chwili czasu dla bardzo dobrych żon. Tomasz odkłada gazetę, doniesienia z kraju i ze świata, kryzysy blisko- i dalekowschodnie mogą trochę poczekać.

— Masz rację, Lenoczko, szczerze mówiąc, moje życie dzieli się ostatnio niemal wyłącznie na okresy sprawozdawcze. Ale ja tego nie wymyśliłem.

Podziwia od lat szczupłe, rasowe dłonie Leny. Papieros chwycony delikatnie przez dwa smukłe palce prawej ręki zatacza eleganckie, harmonijne łuki od ust do popielniczki, lewa dłoń zabarwiona lekką pozłotą, spoczywa na stoliku.

— Nie takie rzeczy potrafią wymyślić mężczyźni, jeśli tylko mają dość swoich żon.

Tomasz koncentruje się na nowo, nie jest tak znowu dobrze, jak początkowo myślał. Kto wie, czy nie wejdzie do walki jakiś grubszy kaliber, arsenał Leny zawsze był dobrze zaopatrzony.

— Nie rozumiem cię, Lenoczko, Ani trochę. Czy chcesz powiedzieć, że człowiek przepracowany musi być koniecznie złym mężem?

— Chcę powiedzieć zupełnie co innego. Za mnie także nie pracują krasnoludki.

Gasi papierosa z pozornym spokojem i patrzy uważnie Tomaszowi w oczy. Milczy, usiłuje pokonać Tomasza wzrokiem, jej lewa ręka drży na stole, kładzie ją na kolanie, tam jej będzie bezpieczniej, przestanie zdradzać niepewność. Tomasz wytrzymuje nie najgorzej próbę.

— Więc, co chcesz w końcu powiedzieć? Słucham? — usiłuje pytaniami uzyskać przewagę.

— To, co sam doskonale wiesz, przestałeś już nadawać sygnały porozumienia w moją stronę, nie pracuje twoje serce, nadajesz tylko informacje, rozumowe, niezbędne przy budowaniu pozorów, jesteś zmęczony, idziesz odsiedzieć jakąś tam naradę, albo wybierasz się w góry na odpoczynek, informujesz, co robisz i gdzie jesteś, ale tylko w sensie fizycznym.

Tomasz wzdycha, rozkłada bezradnie ręce. Ten gest, dobrze wyreżyserowany ma oznaczać najlepszą wolę, której — niestety — ona nie docenia, psuje wszystko, ona przecież, a nie on. No, ale spróbuje jeszcze raz. Uśmiecha się więc życzliwie, głaszcze jej dłoń.

— Pleciuga z ciebie, straszna pleciuga, przecież z każdego miejsca, gdziekolwiek bym nie był — Paryż, Moskwa, Wiedeń, Baku czy Bukareszt, albo Berlin — zawsze piszę do ciebie, i to nie zdawkowo, przyznasz chyba, ale szeroko o wszystkim, co mnie spotyka. Nie jest tak?

— Piszesz listy do mnie? Kiepski żart! Bardzo kiepski, piszesz listy do potomnych, twoje refleksje, zadumy, smuteczki, pięknie stylizowane, a przede wszystkim twoje nauki dla wyznawców, przekazywane są za moim pośrednictwem. Jestem już tylko adresem, pod który kierujesz swoje przemyślenia. Nie martw się, przekażę wszystko młodym pokoleniom, to mój nauczycielski obowiązek.

— Ależ Lenoczko...

Tomasz nie kończy zdania, gdyż Lena podrywa się gwałtownie i staje przed nim. Jej ciemne oczy błyszczą, przypomina w tym momencie Tomaszowi dawną Lenę. Ileż to lat minęło? Dziesięć, tak jest, już ponad dziesięć lat!

Terminował wtedy jako dziennikarz i miał chyba nie najgorszą opinię, skoro wysłano go z robotniczej metropolii do prowincjalnego miasta, wojewódzkiego wprawdzie, ale nieco zacofanego. Będzie polityczna demonstracja w waszym Kierykowie — oznajmił szef — spontanicznie zorganizowana — mrugnął szelmowsko okiem — przeciw resztkom ciemnogrodu, zaprzaństwu, takie rozpraszanie resztek mroków średniowiecza, ruch w przód, połączony z walką o młodzież, pojedziecie z grupą naszego doświadczonego aktywu młodzieżowego — przybrał ulubioną pozę Napoleona — czujność, pryncypialność, klasowa odwaga i bojowy komentarz na jutro wieczorem, żadnych sentymentalnych skoków w bok!

Słyszy ten sam, pozornie spokojny głos Leny.

— Kiedyś to ty byłeś rzeczywiście romantyczny, ciepły od środka, niepewny swojego poznania, zachwycałeś się jak młodzieniec, który zbiera dopiero po ludziach pierwsze doświadczenia, szukałeś szlachetnej glinki i chciałeś z niej lepić swoje życie. Kiedyś to ty pytałeś, bez przerwy pytałeś, mnie także — zeszliśmy się jakoś, jesteśmy razem i tyle w nas wspólnego, przypadek to czy prawidłowość? Pytałeś — czy jest jakaś harmonia w świecie, w jego strukturze, czy rzeczywiście można się doszukać logiki w jego rozwoju? Nie tylko rozum, ale i twoje serce notowało wrażenia. Odkrywałeś może tylko okruchy prawd, nie wiem tego, ale odkrywałeś je autentycznie. A teraz zachowujesz się tak, jakbyś połknął już wszystkie esencje, mówisz gotowymi definicjami, niczego już nie szukasz, jakbyś rzeczywiście wszystko znalazł i wszystko przeżył.

— Lenoczko, co ty...

Wybiegła na korytarz, po chwili trzasnęły drzwi i zadzwoniła nagle cisza, w starym budziku, w niedokręconym kranie.

Jechali wtedy do Kielc, wypełnionym po brzegi jakimś amerykańskim gruchotem. Szosa była podła już od Sulejowa, koło Rudy Malenieckiej wylała Czarna, musieli więc zawrócić w stronę Żarnowca i jechać przez Końskie, Aktywiści śpiewali — my zbudujemy Polskę wolnych ludzi i wyplenimy faszystowski jad — Tomasz nie widział Leny, siedziała w szoferce, już wtedy należała do grupy kierowniczej, miała prawo do lepszego miejsca. Tomasz myślał o swoich dawnych Kielcach, widział kapliczki przydrożne, które prowadzą turystę na wzgórze klasztorne, stary zegar katedralny wybijał mu tamte godziny, z głębi dalekich lat słyszał głos Krystyny, którą kochał długo, jak mu się zdawało i nieszczęśliwie.

„Kielce — na polnych skłonach
na kwiecistych chustach,
na pasiastych kilimach położone...
o, miasto cichej radości,
pustych, pochyłych uliczek w kasztanach, lipach i klonach"

Deklamowała ten sonet podczas akademii szkolnej, bóg raczy wiedzieć, z jakiej okazji, miała talent, wszyscy to mówili, i urodę, mówił to przede wszystkim Tomasz, miała też jakąś trudną do określenia nieśmiałość, kiedy pieścili ukradkiem swoje ręce w kinie. Bandera rossa la tryumvera — śpiewali aktywiści, a Tomasz uświadamiał sobie prawdę starą jak świat — smutek przemijania, niepowrotność czasu. Wiatr przegnał z zielników wspólnie zbierane liście, zbladły atramenty w listach, które do siebie pisali, nie pamiętał już zaklęć, które wypowiadał przy kamieniu Biruty i na brzegu Puszczy Jodłowej, przy czystym, jak łza, źródełku świętego Franciszka.

— O czym znów myślisz zmęczony człowieku?

Wysupłał się dość sprawnie z tamtych lat. Jakim cudem powróciła tak cicho? Nie słyszał brzęczenia kluczy, zamykanych drzwi. A może Lena w ogóle nie wychodziła, lecz obserwowała go dyskretnie z głębi korytarza?

— Przenikasz przez ściany, Lenoczko. Myślałem o naszym spotkaniu w Kielcach.

— Wybacz, musiałam się trochę przejść. Spacer uspokaja. Do czego doszedłeś?

— Do tego, że my próbujemy się czasem cofać, to takie miłe, sentymentalne zabiegi, ale czas maszeruje tylko do przodu.

— Słuszna uwaga, mądrze dobrana, pasuje do ciebie.

— A do ciebie nie pasuje?

— Sam rozumiesz, że jako kobieta w dojrzałych latach, nie powinnam dyskutować na taki temat. Napijesz się kawy?

— Marzę o kawie. Chodźmy do kuchni, pomogę ci.

Lena uspokoiła się, tego był pewien, trzeba tylko mądrze rozegrać resztę dnia, a jeśli zajdzie potrzeba, to i nocy. Napełnił czajnik wodą, uruchomił palnik, zapalił, usiadł na białym kuchennym krześle i opowiadał o Kielcach.

— Wiesz, co ci powiem? Każde pokolenie powinno mieć swoje nowe miasto, nowe mieszkania, tapczany, garnki, szkło i nawet kiepki w podłodze, dość już tych starych schodów, na których żegnałem pocałunkami swoją pierwszą, czy drugą, kogoś z początku, w każdym razie, powtarzam — dość tych schodów, gdzie nasi przodkowie łapali zadyszki i choroby serca, do kitu z tą rupieciarnią, skoro pogrzebać w niej nie ma kiedy, skoro wlecze się za człowiekiem, obciąża pamięć i w niczym nie pomaga. Powiedz sama — co komu po tych brodaczach wiszących na ścianie, po tych piersiach wytapetowanych wiernością dla majestatu, walecznością, zasługami, komu się przyda odkrycie kalesonów pradziadka, zaciąganych sznurkami?

Lena jest wyraźnie zaciekawiona, może odkrywa teraz w Tomaszu coś nowego? Uśmiecha się ciepło, zresztą zmienne nastroje to jej specjalność. Może była zazdrosna o przeszłość? Cóż za paradoksalna sytuacja, przecież właśnie w przeszłości sama była fascynująca.

— Proszę, proszę, ciekawe rzeczy mówisz, Tomku, odmładzasz mnie! Poleciałabym i ja w tamte lata, ale muszę ocenić klasówki. Masz już dość Kielc?

Napełnia wrzątkiem gliniane filiżanki, zawsze uważała, że kawa podana w glince jest najsmaczniejsza. Odmierza dokładnie dawki cukru, sobie jedną łyżeczkę, Tomaszowi dwie. Przechodzą do pokoju już w zgodzie, Lena podaje słone paluszki, sypie na talerzyk orzeszki, spokojnie, systematycznie, jakby od tego spokoju wszystko zależało. Tomasz przepada za orzeszkami, tyje się od nich, ale zawsze lepiej już gryźć orzeszki, niż przyswajać zbyt dużo płynów, a na kawę godzina jeszcze odpowiednia. Tomasz wyczuwa łagodny klimat tego zaawansowanego popołudnia i broni się daremnie przed wzruszeniem.

— Nie chodzi mi akurat o Kielce, proszę ciebie. To jest chyba tak — jeżeli człowiek robi coś naprawdę świadomie i z wiarą, tak na pewno, to przygotowuje równocześnie swoje własne jutro. W przeszłości, jak zwykle w krainie mitów, znaleźć można najwyżej jakiś dostojny fotel, w którym sfajdał się jakiś król, albo bardzo wielki wódz, specjalista od niepodległości, dla jednych dobry, dla innych okrutny. Prawdziwa, jednoznaczna może być tylko przyszłość.

— Zawsze?

— Ba- Sęk w tym, że nie wiadomo kiedy, ale może być.

Lena uśmiecha się, Tomasz czuje jej dłoń na swoim czole.

— Stwierdzam jako wychowawca, że Tomek z trzeciej ławki, nie jest jednak taki zmęczony, jak rozpowiada na lewo i prawo, ponieważ myśli z sensem, chociaż trudno powiedzieć, czy słusznie. Ja też uważam, że nie ma nic bardziej zwodniczego, niż przeszłość, uczę w końcu historii i w żaden sposób nie mogę nadążyć za jej interpretatorami. Samą tylko bitwę pod Grunwaldem oceniałam kilka razy, zawsze inaczej i zawsze zgodnie z zaleceniami zwierzchności. Dobrze, że sporo ważnych bitew w ogóle zginęło.

Jej prawa ręka wsuwa się pod rozpięty kołnierzyk, Tomasz czuje ją na swoich plecach i myśli nawet z przyjemnością, że nie będzie miał spokojnej nocy. Lena wstaje, znika na chwilę w kuchni, wraca z butelką koniaku.

— A jednak jestem pewna, że wtedy szukałeś w Kielach przeszłości, jakiejś wiedzy, która by ci pomogła, chciałeś się może w czymś upewnić. Za nasze jesienne wieczory!

Kielce zastał zupełnie inne, jakby odarte z dawnych mitów, były smutne, brudne, odrapane, dalekie od sielankowych wspomnień ze szkolnych lat. Miasto wyglądało tak, jakby akurat tutaj spoczęli już w grobach ostatni dozorcy i tynkarze, jakby wody zabrakło do mycia szyb, papy na pokrycie dachów, jakby zapomniano, do czego służą kwietniki i płoty. Najwymowniejsze okazały się jednak twarze ludzi, ponieważ niczego Tomaszowi nie mówiły, nie sięgały już przeszłości.

— Chętnie kropnę, jak wiadomo, koniak podnosi wydajność serca z hektara. Pamiętasz? Nazywałem cię wtedy młodzieżową Passionarią, nieźle ci było w czerwonym krawacie!

— Pamiętam, cóż jednak zrobić, moda się zmienia.

Tomasz opowiada, lubi w gruncie rzeczy wspominki, ceni tak ważnych słuchaczy, jak Lena. Tak, to było już inne miasto, czas pogasił dawne gwiazdy, pospadały z wysokości błyszczące nazwiska dawnych notabli, wypaliła się do cna ich epoka, nowe nie trwały jeszcze długo, właśnie jak primabaleriny jednego sezonu, raczkowała dopiero nowa era, przyniesiona na twardych grzbietach świętokrzyskich chłopów, ale karty tasowano jeszcze bardzo często raz walet był na wierzchu, raz zwykła blotka. Tomasz zrozumiał wtedy tę prawdę, może trochę smutną, ale przecież konieczną — nie będzie bohaterem nowego rozdziału, akcja toczy się bez niego, wyskrobie co najwyżej siaki-taki reportaż, ale nie będzie pisał z pozycji współtwórcy, lecz tylko komentatora, zaopatrzonego w delegację służbową, chudą dietę i niezawodną wiedzę, w prawidłowy rozwój wszystkiego, co dzieje się w kraju i na świecie. Ciężarówka zatrzymała się przed Komitetem Partii. Wtedy zwrócił uwagę na Lenę. Wyskoczyła z szoferki, zgrabna, smukła, przejęta zadaniami, które miała wykonać. Szatkowała sprawnie swój aktyw na kawałki, byli to chłopcy i dziewczęta z wielkich fabryk. Każda grupa do innej szkoły, pamiętajcie sprawdzić nie tylko ogólne hasła, lokalne także mają wielkie znaczenie, zwłaszcza na bieżącym etapie, kiedy nowe Kielce walczą z obskuranckim Kierykowem, skandować wyraźnie, zwrócić uwagę na napisy, reakcja wyłapuje już tylko błędy ortograficzne, albo gramatyczne, taka jest słaba.

— Masz znakomitą pamięć, Tomku, rzeczywiście mówiło się wtedy takim językiem.

— Obrona przed sklerozą da się przyrównać tylko do obrony Zbaraża.

Zmierzcha. Złoci się jeszcze tylko koniak w kieliszkach, Tomasz widzi białe, jakby rozcieńczone chryzantemy, ciemną plamę obrazu, na którym wygasła twarz nieznanej kobiety, przypomniana przez nieznanego malarza szkoły holenderskiej, słyszy jakieś delikatne skrzypienia w samym sercu ciszy — tak schną meble, zrobione z żywego, czującego jeszcze drzewa, które płacze po ostatniej kropli wilgoci.

Młodzież maszerowała główną ulicą miasta w stronę dworca kolejowego, może trochę bezładnie, wesoło i początkowo bez większego szacunku dla powagi chwili. Transparenty podrygiwały, zataczały się portrety niesione na kijach, kolumnom szkolnym brakowało rytmu, płynności. Tomasz słyszał wesołe pogwarki, podobne do tamtych dawnych, ale tylko w ogólnej tonacji, treść była już inna. Panowie, krzyczymy ponad normę, wyzwolimy Kielce spod władzy Kierykowa, lepiej budować Wierzbicę niż wkuwać cyrylicę. Przed trybuną honorową szeregi wyrównały się jednak sprawnie, każda grupa szkolna chciała zademonstrować swoją bojowość i ład. W odpowiedzi na atomy — budujemy nowe domy — to były hasła ogólne, ale i lokalne okazały się nie najgorsze, wzbudzały żywe zainteresowanie, pewnie dlatego, że adresowano je bardzo dokładnie w stronę Kurii Biskupiej — „nie Lorek wybrzeże nam dał, nie Śląsk Kaczmarka był, ziemię tę polski żołnierz krwią zlał, na niej praojciec żył".

— Jak myślisz, Lenoczko, miały te hasła rzeczywiste znaczenie?

— Tak, na pewno tak, pamiętaj, że maszerowało wtedy wiele sierot i półsierot, sam to wiesz, cmentarze na Kielecczyźnie pojemne, najbogatszy chyba w skali krajowej wybór grobów. Niektórzy słyszeli może słowa pasterza, a pasterz wzywał krnabrne owieczki do posłuszeństwa wobec boga i okupanta. Zestawienie nie do przyjęcia.

— Pewnie, że nie.

Lena przypomina teraz tamtą, ubraną w obcisłą spódniczkę, białą bluzkę i czerwony krawat. Szła na czele kolumny skupiona i chyba pewna siebie, a obok coraz więcej poważnych, a nawet zawziętych twarzy. Nowe pokolenie Radków — pisał Tomasz w swoim reportażu. Dzisiaj Lena nie ma już tamtej świeżości. Nie chodzi o kurze stopki przy oczach, ale o same oczy, które przygasły, rzadko błyszczą, i nie o zmarszczki na czole, sam także nie jest młodzikiem, ukrywa starannie tonsurkę na szczycie głowy, co rano manipuluje grzebieniem, pożycza sobie włosów z innych, zasobniejszych miejsc, to nie o to w gruncie rzeczy chodzi, lecz o utratę wdzięku, żywości, zmysłu improwizatorskiego na rzecz rutyny. Lena wyeliminowała z ich wspólnego życia wszelkie niespodzianki, dni ułożyła jak rozkład lekcji, nie da się tego lepiej określić. Co miesiąc wizyta u teściów, koncert w filharmonii (akcja umuzykalniania młodzieży i rodziców), oglądanie wystawy (wychowanie przez sztukę), co tydzień teatr na szklanym ekranie, co dwa teatr albo kino (humanizowanie naszego wąskospecjalistycznego życia), każdej niedzieli dłuższy spacer po parku (dotlenianie w środowisku zbliżonym do naturalnego), a odpytywanie niemal każdego dnia — gdzieś bywał, z kim, dlaczego dopiero teraz wracasz, po co marnować tyle czasu na jałowe rozmowy (stała kontrola nad pracą ucznia).

— Spadł wtedy deszcz, pamiętasz?

— Po kieliszku pamiętam zawsze lepiej.

Lena napełniła więc kieliszki. Deszcz spadł nagle, tuż po rozwiązaniu pochodu, gwałtowny, przyśpieszony wiatrem. Miasto odmłodniało, deszcz przemył szyby, spłukał kurz z bruków i chodników, pokrył świeżą rosą kwiaty i drzewa. Tomasz pragnął porozmawiać z Leną, potrzebne mu były jej opinie do reportażu. Zgodziła się chętnie, poszli więc do starego parku. Nad stawem, gdzie stoją od lat stare wierzby płaczki, lokował kiedyś swoje sentymenty, zwierzał się niemo z udręk pierwszej miłości. Chciał zaprowadzić Lenę do kamienia Biruty, przeczytać fragment Słowackiego, ryty na ścianie renesansowego zamku, ale nic z tego nie wyszło. Lena nie kontaktowała z jego kielecką przeszłością, mówił jej wiersz jakiegoś klerykowskiego kolegi — „aleją na Karczówkę chodziło z nami lato pejzaże okolic malować w oczach niemych" — nie chwytała, kiepski wiersz, nic więcej, może zresztą nie chciała się cofnąć, mówiła wyłącznie o przyszłości. Próbował przypominać „Syzyfowe prace", zaprowadził Lenę pod stare gimnazjum, ukończył je nie bez trudu, niewiele ją to obchodziło, interesowała ją budowa cementowni w Wierzbicy, zauważ, że to pierwszy znak ruchu na tej twojej smutnej ziemi, ma być rozbudowana Huta Ludwików, przemysł, tylko przemysł może rozsadzić i przemienić ten senny partykularz, od motocykla bliżej do samochodu. Starachowice już ruszyły na pełny gaz, znała dobrze przyszłość, lepiej niż Tomasz znał przeszłość, nie mogli się porozumieć. Dlaczego nic jej nie bierze? — zastanawiał się Tomasz, ani wiekowa aleja, związana z Dygasińskim, Żeromskim, a nawet Prusem, ani skromny pomniczek Staszica, czemu jej nic nie mówią powstańcze szlaki, stare klasztory, nieśmiertelna puszcza? Czemu? Mówi o pogromie, tragicznym wydarzeniu z pierwszego okresu wolności, stwierdza, że to musiała być jakaś prowokacja. Kielce nie są zarażone nacjonalizmem, ale straciły wiele możliwości, rozdawano je innym miastom, nie rozwijają się jak należy, wiadomo, gra sił, ale to przejdzie, doczekasz smętku nowoczesnego miasta z wyższymi uczelniami — przeszła niespodziewanie na ty.

— Czas na spacer, mój drogi. W naszym wieku higiena przede wszystkim.

— Rzeczywiście czas.

Tomasz podnosi się niechętnie. Spacer w dzień powszedni? Niemal zawsze kręcą się po prostokącie tych samych ulic, oglądają te same sklepy. Rozmowy też takie same — patrz, już nie ma greckich żyrandoli, dobrze, że zdążyliśmy kupić, widzisz te młynki elektryczne? Nowe, ale za drogie, po co komu takie drogie, kiedy się kupuje mieloną kawę, a twoim Kielcom majonezy nie wyszły, musieli obniżyć cenę do połowy, i tak nikt nie bierze, gdzież ty się gapisz, popatrz, wcale nie brzydki materiał, kupiłabym ci, ale jest za jasny, jak na nasze miasto, zabrudzi się od razu, fajanse z Włocławka całkiem, całkiem, piszecie w tych waszych gazetach tyle o gotowych daniach, a kupić niczego nie można, tłukę wciąż schaboszczaki młotkiem, jak ci się podoba ten krawat? Zobacz, Tomku, można jechać na Wyspy Azorskie, pojechałabym nawet, wizytatorowi na złość, ale najpierw musiałabym zwariować, kto ma tyle pieniędzy na bilet?

Tomasz nie wytrzymuje, chce być spokojny, miły, ale nie może.

— Higiena, moja droga, również i na tym polega, żeby swój entuzjazm oddawać regularnie do dezynfekcji, a jak trzeba to i regeneracji. Weź to pod uwagę, rutyna cię zżera, jak rdza.

Na podłogę spada kieliszek, Lena wybiega z pokoju. Złość nie chce opuścić Tomasza. Czemu zaczepiał ją wtedy, po powrocie z Kielc, czemu za nią chodził, prowadzał do kin, teatrów, na zieloną trawkę do Łagiewnik, aż w końcu zawędrowali i do Urzędu Stanu Cywilnego? Czemu muszą się teraz wzajemnie krzywdzić? Czy ja nie chciałem — Tomasz drapie się bezradnie po głowie — nie chciałem, żeby nad jej łóżkiem zatrzymywały się najłagodniejsze wiatry, które orzeźwiają nie płosząc snów? Wypił jeszcze jeden kieliszek koniaku. Tak to jest — zakonkludował smętnie — połowa życia upływa człowiekowi w niezgodzie z sobą samym, w walce przeciw własnej naturze. Straszne. Mówić Marii to samo, co Lenie, tak jest, to samo, powtarzać te same zabiegi, ruchy nawet i wierzyć, że są nowe, dopiero co odkryte?

ANDRZEJ BLAJER

U SZCZYTU POTĘGI

(CZĘŚĆ DRUGA)

Obraz Hiszpanii lat 1936—1939, to obraz kraju ogarniętego pożogą wojny, wojny tym tragiczniejszej dla narodu, że — domowej Nadzieje przywódców puczu na szybkie zwycięstwo rychło obróciły się w niwecz. Armia rebeliancka napotkała od pierwszego dnia walk zdecydowany opór ze strony większości społeczeństwa hiszpańskiego, a zwłaszcza jego mas ludowych. Wojska republikańskie, przy wsparciu ochotniczych Brygad Międzynarodowych, nie tylko skutecznie odpierały ataki frankistów, jak choćby ich szturm na Madryt w listopadzie 1936 roku, ale także zadawały im i ich sojusznikom dotkliwe ciosy (klęska interwencyjnego korpusu włoskiego w bitwie pod Guadalajarą w maju 1937 roku). Jednak w tej walce siły były nierówne. Z jednej strony wojska gen. Franco — wspomagane czynnie przez Włochy (70-tysięczna armia) i Niemców (20-tysięczny Legion „Condor"), z drugiej oddziały armii republikańskiej i słabo uzbrojone Brygady Międzynarodowe — odcięte od wszelkiej pomocy z zewnątrz wskutek polityki „nieinterwencji" prowadzonej przez czołowe państwa europejskie pod egidą Ligi Narodów. Jednocześnie nasilające się sprzeczności wewnętrzne między poszczególnymi ugrupowaniami lewicy, tworzącymi koalicję — dodatkowo osłabiały siłę i zwartość wojsk republikańskich.

Toteż opór z ich strony, choć zaciekły, stawał się coraz słabszy, a wojska rebeliantów i ich sojuszników stopniowo zajmowały coraz to nowe prowincje kraju. Na początku 1939 roku na placu boju pozostały już tylko dwa bastiony oporu Republikanów: stolica Katalonii — Barcelona i Madryt. Pierwszy z nich padł jeszcze w styczniu, zaś stolica kraju, **Madryt — 28 marca 1939 roku.** Tak oto, ciągnące się prawie trzy lata krwawe zmagania sił broniących Republiki i rebeliantów gen Franco dobiegły końca, a w Hiszpanii znów została ustanowiona, trwająca po dziś dzień dyktatura, tyle że znacznie krwawsza od poprzednich

Czy jednak Franco był faktycznym zwycięzcą w tej wojnie? Nie wygrałby jej przecież, gdyby nie zbrojna i finansowa pomoc Niemiec i Włoch. A cóż zyskał? Wyniszczony gospodarczo kraj, obciążony dodatkowo balastem wielowiekowego zacofania. Wykrwawiony naród, który w czasie wojny stracił ponad milion ludzi, a który obecnie czekała jeszcze krwawa rozprawa ze strony zwycięzców. I nie było przesady w słowach Antoine Saint-Exupery'ego, gdy powiedział:

„W Hiszpanii rozstrzeliwuje się dziś ludzi tak, jakby karczowało się las".

Wydawać by się mogło, że teraz, gdy wojna została zakończona, trzeba podnieść kraj z gruzów, że nie czas na zemstę. Nawet faszystowscy przyjaciele Franco byli zdumieni jego bezlitosnym wyrównywaniem rachunków 19 listopada 1939 roku ambasador niemiecki w Madrycie telegrafował m. in. swemu MSZ:

„Franco oświadczył niedawno, że posiada listę nazwisk dwu i pół miliona czerwonych, którzy są winni różnego rodzaju zbrodni i którzy zostaną za nie ukarani".

A oto, co powiedział Mussoliniemu jego bliski współpracownik i minister spraw zagranicznych Włoch, Galeazzo Ciano po powrocie z Hiszpanii w lipcu 1939 roku:

„Egzekucje są jeszcze bardzo liczne. W samym Madrycie: 200—250 dziennie, w Barcelonie: 150, w Sewilli — 80, choć nigdy nie była ona w rękach czerwonych".

Takim był właśnie Franco — zwycięzca. Opętany chrześcijańską ideą odkupienia poprzez karę, ideą, która notabene znalazła swój krańcowy wyraz w pismach XIX-wiecznego teoretyka hiszpańskiego, Juana Donoso Cortesa, głoszącego oczyszczającą „ofiarę krwi" — Franco nie znał litości i przebaczenia: **„Należy wyrwać chwasty".** Maksyma jego rządów brzmiała:

„Nie stworzyliśmy tego reżimu przy pomocy kilku obłudnych głosów. Został on wybudowany na ostrzach naszych bagnetów i naszą krwią".

Toteż obficie płynęła krew wziętych do niewoli żołnierzy i oficerów Frontu Ludowego, rozstrzeliwanych prawie bez wyjątku. Prośby o ułaskawienie, z polecenia Franco, były mu przedkładane dopiero po wykonanej egzekucji Skrupulatnie czytał dossier skazanych na śmierć i w przypadkach szczególnie poważnych dopisywał na marginesie: **„Garrote vil"** (oznaczało to, że skazaniec zostanie uduszony przez zakręcenie na jego szyi stalowej obręczy). Dwa miliony zwolenników Republiki, którym nie udało się opuścić kraju, zostało wtrąconych do obozów koncentracyjnych

Nowa Hiszpania **„Caudilla z łaski bożej"** (tytuł, którym Franco sam kazał się uczcić na monetach hiszpańskich)stała się, jak pisał liberalny historyk Salvador de Madariaga; **„państwem dyktatury wojskowej, które wraz z warstwami swojego narodu wciąż żyje w warunkach stanu wyjątkowego".** Przywrócono więc dawną pozycję klasom posiadającym, wzmocniono finansową i przemysłową oligarchię, z zaciekłością likwidowano wszelkie pozostałości demokratycznych zdobyczy osiągniętych w okresie rządów Republiki.

Nowe państwo frankistowskie tworzone było więc na wzór organizmów państwowych systemów autorytarnych oraz faszystowskich. Piramida władzy wspierała się w tym państwie na czterech filarach: armii, monopartii — Falandze, arystokracji i Kościele na jej szczycie zaś stał on — Francisco Franco Bahamonde: Caudillo Hiszpanii.

Choć w swej strukturze ów twór państwowy był podobny do niemieckiego i włoskiego (jak i one działał na zasadzie permanentnej negacji), to jednak różnił się od nich zasadniczo: przesłankami, z jakich wyrósł (brak masowego poparcia w okresie jego formowania się), inną koncepcją zasady wodzostwa i hierarchii (przypominającej raczej zwykłą władzę dyktatorską) oraz nade wszystko owym czterofilarowym fundamentem, z których każdy miał być jednakowo ważny W hitlerowskiej koncepcji władzy fundamentem była partia faszystowska i na niej przede wszystkim wspierała się piramida władzy. Jedno natomiast było im wszystkim wspólne — strach, czynnik, który miał spajać ową budowlę, racjonalizować działania społeczeństwa oraz nadawać sens istnieniu i funkcjonowaniu faszystowskiej władzy Aresztowania i masakry obywateli podejrzanych o prorepublikańskie sympatie, terror policyjny, apoteoza siły i brutalności a nade wszystko utrzymywanie przez władze stanu psychozy „czerwonego wroga" — wywoływały w społeczeństwie lęk, niepewność o jutro oraz przyczyniały się do dezintegracji więzi nieformalnych a w konsekwencji coraz ściślej zespalały z sobą piramidę władzy z piramidą strachu W myśl tak pojętej koncepcji sprawowania władzy stopniowo zatraciła się zasada obliczalności jej decyzji, ponieważ nie były one związane z określonym przepisem prawa, interpretowanego zresztą przez władze zupełnie dowolnie. Wszystkie te symptomy, tak charakterystyczne dla systemów skrajnie totalitarnych, wystąpiły również we frankistowskej Hiszpanii.

Główną ostoją reżimu była armia. Jej korpus oficerski wyższego szczebla, którego trzonem byli tzw. bojownicy afrykańscy (oficerowie, rówieśnicy Franco, walczący w okresie I wojny światowej i latach 20 w Maroku) — z zaciekłością tępił wszelkie przejawy republikańskiej opozycji. Bowiem dla większości z nich, jak pisze Stanley G. Payne w książce „Politics and the Military in Modern Spain" — **„proletariacka rewolucja niosła z sobą poważne zagrożenie dla istniejącego porządku, jak również ich własnych karier oraz ich statusu".** Z kolei oficerowie z okresu wojny domowej to ludzie młodzi, w większości fanatycy, którym świadomie zaszczepiono nacjonalizm, antykomunizm, antyliberalizm, a nade wszystko silny dogmatyzm. Dzieło zniszczenia dokonane ich rękami związało ich następnie nierozerwalnie ze zwycięskim reżimem Franco. Tak więc armia była jego pewną podstawą i caudillo zawsze o tym pamiętał, ilekroć musiał podjąć ważne decyzje w rozgrywkach z Falangą, technokratami i Kościołem. Większość stanowisk, poczynając od ministerstw, poprzez wszystkie szczeble administracji — była obsadzona przez wojskowych, zaś budżet armii kilkanaście razy przerastał budżety innych resortów.

Drugi z filarów — Falanga — od początku przysparzał gen. Franco wielu trudności. Niezadowolenie przywódców Falangi wynikało z faktu, iż w odróżnieniu od innych systemów faszystowskich nie odgrywała ona dominującej roli w państwie. Falanga czuła się oszukana, gdyż Franco przejął jej ideologię, wykorzystał w okresie wojny jej oddziały szturmowe, w zamian zaś nie wydźwignął jej na czołową pozycję w strukturze swej władzy. Wynikało to z faktu, iż dla Franco Falanga była czymś zupełnie innym niż dla jej przywódców, caudillo widział w niej bowiem doskonałe narzędzie służące podporządkowaniu jego władzy ludności cywilnej na terenach opanowanych przez armię frankistowską oraz instrument wpajania fanatyzmu i nienawiści do Republiki. Przy tym Franco konsekwentnie starał się całkowicie podporządkować Falangę swoim rozkazom, eliminując zarazem wszystkie radykalniejsze treści jej programu. Działanie takie nie mogło pozostać bez odpowiedzi ze strony kierownictwa partii, a zwłaszcza jej ówczesnego przywódcy, Manuela Hedilli, reprezentującego tzw. skrzydło proletariackie. Konflikt, do jakiego doszło na tym tle między nim a Franco, wiosną 1937 roku, zakończył się całkowitą porażką przywódcy Falangi.

W przeddzień wyborów do Rady Narodowej Falangi caudillo ogłosił decyzję połączenia partii z karlistowskimi Requetes oraz kilkoma innymi drobnymi ugrupowaniami politycznymi w jedną nacjonalistyczną partię — Falange Espanola de las JONS y Tradicionalista. Owa monopartia miała odtąd skupiać wszystkich przeciwników Republiki Trudno o bardziej machiawelskie posunięcia Łącząc z sobą antymonarchistyczną, w pewnym stopniu antyklerykalną Falangę i karlistowskie Requetes — rzeczników dotychczasowych półfeudalnych stosunków społecznych oraz żarliwych obrońców dominującej roli Kościoła — Franco przeprowadził doskonały manewr taktyczny. Dokonana fuzja usuwała bowiem niebezpieczeństwo że organizacje te mogą w przyszłości wystąpić z odrębnymi programami skierowanymi przeciw osobie caudilla, gdyż skupione w ramach jednej partii będą się nawzajem kontrolowały. Próba obrony samodzielności Falangi podjęta przez Hedillę skończyła się aresztowaniem jego samego i dwudziestu zwolenników oraz wydaniem przez Franco dekretu o nowej strukturze partii, której on, jako Generalissimus i caudillo stawał się najwyższym zwierzchnikiem. Odtąd Franco osobiście miał prawo wyboru składu Narodowej Rady Falangi, z której następnie wyłaniano przywódcę, a także prawo do określania doktryny ideologicznej partii. Dzięki swym posunięciom caudillo posiadł pełną kontrolę nad Falangą i zachowując jej rolę jako filara reżimu, bacznie obserwował, by nie stała się siłą decydującą na arenie politycznej kraju

Kościół był z kolei trzecią z głównych ostoi reżimu. Franco zręcznie wykorzystał błędy Frontu Ludowego w polityce wobec Kościoła. Skrajny antyklerykalizm, reprezentowany zwłaszcza przez ugrupowania anarchistyczne oraz konkretne posunięcia rządu pozbawiające Kościół katolicki w Hiszpanii jego dominującej roli (konfiskata majątku, rozwiązywanie zakonów, zamykanie kościołów i klasztorów), umożliwiły frankistom wysunięcie w okresie wojny domowej haseł krucjaty w imię obrony religii.

Dzięki temu wkrótce pozyskał on całkowite poparcie Kościoła dla swej sprawy, który odtąd przez dziesięciolecia w pełni identyfikował się z dyktaturą gen. Franco. W zamian caudillo przywrócił Kościołowi jego dawną pozycję, zwrócił skonfiskowane w okresie Republiki posiadłości, a nadto przyznał duże wpływy, zwłaszcza w kształtowaniu polityki wychowawczo-oświatowej społeczeństwa oraz w zarządzaniu aparatem państwowym. Dalsze porozumienia władz z Kościołem zapewniły temu ostatniemu szereg poważnych przywilejów politycznych i społecznych jak: wyłączenie duchowieństwa spod jurysdykcji świeckiej oraz kontrolę szkolnictwa i wydawnictw. Szczególną rolę w ugruntowywaniu politycznych i ekonomicznych wpływów Kościoła w Hiszpanii gen. Franco odegrały dwie katolickie organizacje świeckie: Akcja Katolicka i Opus Dei. Ta ostatnia zapewniła sobie dość silną pozycję w życiu gospodarczym i politycznym w Hiszpanii w latach 60. Hasło Opus Dei głoszące, iż jedynie katolicyzm może być szkieletem odbudowującego się kraju, było bardzo na rękę frankistom — nie posiadającym praktycznie prężnej ideologii.

Ostatnią istotną podporą władzy frankistowskiej były **klasy posiadające, a zwłaszcza oligarchia przemysłowa, finansowa i obszarnicza, która zainspirowała i bez zastrzeżeń poparła rebelię przeciw Republice.** Dzięki swej spoistości jako grupa i wzajemnym ścisłym powiązaniom, odegrała niemałą rolę w pierwszym okresie rządów gen. Franco. Z grupy tej wywodziła się poza tym większość wyższych funkcjonariuszy nowego aparatu państwowego.

Polityka caudilla, jak więc widać, zmierzała do tego, aby te cztery filary zachowywały równowagę wpływów, bowiem dominacja jednego z nich mogła poważnie zagrozić jego własnej pozycji jako szefa państwa, do czego nie mógł przecież żadną miarą dopuścić.

Ale nie tylko sprawy wewnętrzne koncentrowały główną uwagę Franco Tuż po jego zwycięstwie wybuchła przecież **wojna w Europie,** którą wywołali dwaj główni sojusznicy caudilla — Niemcy i Włochy Teraz więc nadchodził moment spłacenia długu zaciągniętego w czasie wojny domowej. Franco zdawał sobie doskonale sprawę z kruchości podstaw, na których wspierał się jego reżim. Potrzebował czasu, by odbudować wyniszczony i zacofany kraj, a poza tym wcale nie było mu pilno angażować się w wojnę, na której mógł przecież więcej stracić niż wygrać. Postanowił więc zastosować swoją ulubioną i realizowaną z pełnym powodzeniem taktykę wyczekiwania. Nie reagował na obietnice, tłumacząc się trudną sytuacją gospodarczą, w momentach zwycięstw Hitlera zapewniał go o swym pełnym poparciu, w okresach niepowodzeń pozostawał głuchy na prośby o włączenie się do działań Czekał, co będzie dalej. Nic dziwnego że po swym słynnym spotkaniu z Franco w Hendaye, w październiku 1940 roku, Hitler powiedział, iż „wolałby dać sobie wyrwać trzy albo cztery zęby, niż odbyć w przyszłości jeszcze jedno takie spotkanie"

Tymczasem sytuacja na frontach zaczęła się wyraźnie obracać na korzyść aliantów Franco wiedział już, że postawił na dobrą kartę, w ręku miał teraz dwa atuty: kolonie północno-afrykańskie i Gibraltar, wiedział, jak bardzo Anglikom i Amerykanom zależało na tym, aby nie wpadły w ręce Niemiec. Teraz on był górą. Izolacja wywołana represjami wobec republikanów nie będzie już szczelna. Mógł teraz liczyć nie tylko na uznanie swego rządu przez czołowe mocarstwa Zachodu, ale także na ich pomoc Zachowując pozory wobec niedawnych sojuszników (Błękitna Dywizja, eksport wolframu do Rzeszy) był jednak zdecydowany nie przegapić swej szansy Wykorzystał więc moment, gdy jego szwagier, Serrano Suner, wciąż dążący do odgrywania coraz większej roli w państwie, zagalopował się zbyt daleko w swych wygórowanych ambicjach

Serrano Suner wykorzystując poparcie Falangi, chciał stworzyć państwo oparte na modelu faszystowskim, w którym pozycja Falangi i jego własna byłyby dominujące. Franco już wcześniej osłabiwszy pozycję Sunera przez usunięcie go ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych teraz usunął go również z funkcji ministra spraw zagranicznych jak również jego zwolennika ze stanowiska sekretarza generalnego Falangi Przy tym z uwagi na fakt, iż Suner był zarazem gorącym rzecznikiem współpracy z III Rzeszą, Franco upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: usunął przeszkodę na drodze realizacji swej polityki wewnętrznej, a jednocześnie pozbył się niewygodnego balastu w polityce poprawy stosunków z Anglosasami. I choć tuż po wojnie Organizacja Narodów Zjednoczonych zdecydowanie napiętnowała rząd Franco jako stanowiący: **„zagrożenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego"** caudillot już nie obawiał się izolacji. Polityka „zimnej wojny" prowadzona przez mocarstwa zachodnie niebawem spowodowała, iż na osobę Franco zaczęto patrzeć innym okiem. Był on przecież pierwszym, który „dostrzegł w komunizmie prawdziwe niebezpieczeństwo" W ślad za tym poszły więc konkretne posunięcia. Objęcie Hiszpanii Planem Marshalla, przyznanie przez USA kredytów w zamian za udostępnienie baz wojskowych powoduje, że wreszcie Franco będzie mógł zdecydowanie umocnić swą pozycję ulegnie bowiem poprawie sytuacja na najtrudniejszym odcinku działalności reżimu — odcinku gospodarczym.

Na początku lat pięćdziesiątych kraj znajduje się w stanie katastrofalnej stagnacji ekonomicznej. W tym czasie przeciętna zbiorów płodów rolnych kształtuje się na poziomie lat z początku stulecia, podobnie jak produkcja przemysłowa i dochód narodowy Uzyskana pomoc pozwoliła wydobyć się hiszpańskiej gospodarce z dna przepaści i pomimo nadal istniejącej zacofanej struktury ekonomicznej — odnieść pewne sukcesy w procesie wzmożonej industrializacji w latach 1951—1956 W tym okresie produkcja i dochód narodowy wzrastają około półtorakrotnie Wówczas też pojawiają się dwa istotne czynniki późniejszej prosperity gospodarczej — turystyka zagraniczna i sezonowa emigracja zarobkowa robotników hiszpańskich.

Również **w polityce zagranicznej** rząd Franco święci kolejne triumfy. **Rok 1953:** układ ze Stanami Zjednoczonymi o pomocy gospodarczej i wojskowej (2 miliardy dolarów) oraz zawarcie konkordatu z Watykanem (umocnienie pozycji Kościoła jako ostoi reżimu) **Rok 1955:** przyjęcie Hiszpanii do ONZ (w dziesięć lat po decyzji jej potępienia) **Rok 1959:** wizyta w Madrycie prezydenta Stanów Zjednoczonych D. Eisenhowera.

Amerykańskie towarzystwa i koncerny, a za nimi również europejskie, zaczynają inwestować w Hiszpanii. Kraj, choć powoli, dźwiga się z gruzów i zaczyna wkraczać w fazę stałego rozwoju gospodarczego Franco może więc triumfować Jego chytre manewry i machiawelskie posunięcia, ciągłe roszady w polityce wewnętrznej i zagranicznej zaczynają przynosić efekty Stale umacnia się pozycja caudilla, choć stoi on jeszcze w obliczu poważnych i nie rozwiązanych dotąd problemów politycznych, społecznych i gospodarczych, jak chociażby sytuacja bytowa szerokich mas społecznych, opozycja wśród inteligencji, bunt młodego pokolenia, konflikty w łonie obozu rządzącego, inflacja, okresowe recesje itp Mimo to doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, iż stanął już mocno na nogach. Wiedzą również o tym zarówno jego sojusznicy jak i wrogowie.

Ironia losu jest gorzka Oto on, Franco, niegdyś przez wszystkich potępiony dziś oczyszczony przechodzi na stronę demokracji zachodnich, by wziąć udział w nowej krucjacie: jego krucjacie Może wówczas powiedzieć: **„Teraz wygrałem wojnę w Hiszpanii".**

Odtąd wie także, iż może rozstrzeliwać kogo tylko zechce, a tłumy na całym świecie niech sobie defilują krzycząc: **„Franco — morderca!"** On już nie zostanie obalony.

Fot.: Archiwum

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

W POPRZEK SYBERII

Lotnisko Domodiedowo położone jest w odległości 40 kilometrów od centrum Moskwy. Jedzie się tam szosą kaszyrską w kierunku południowo-wschodnim. Są to wrota wiodące ze stolicy Związku Radzieckiego wprost na Daleki Wschód i na południe. Wprost, bo samolot redukuje czas i przestrzeń. Stwarza złudzenie bezpośredniego sąsiedztwa krain dalekich i egzotycznych.

Dla mnie był to przedsionek Syberii. Gdy mniej więcej o północy znalazłem się w porcie lotniczym, zaskoczył mnie szalony ruch panujący tu o tej porze. Tłum ludzi oczekiwał gorączkowo na odlot samolotów, z głośnika padały raz po raz nazwy: Taszkent, Tbilisi, Chabarowsk, Jałta, Samarkanda.. Aż wierzyć mi się nie chciało, że ludzi stojących teraz obok siebie w wielkiej hali portu Domodiedowo samoloty rozrzucą w ciągu paru godzin w różne strony kraju na odległość tysięcy kilometrów z łatwością, z jaką przesuwamy palcem po mapie.

Gdy się, jak ja, odbywa po raz pierwszy podróż tak wielką, trzeba się przestawić psychicznie na inną, zwielokrotnioną skalę. Tutaj 200—300 kilometrów nic nie znaczy. Trzymam w ręku swój bilet lotniczy do Nowosybirska. Wypisano na nim trasę 3191 kilometrów i czas rejsu 4 godziny 50 minut. Mnie się wydaje, że to daleko. Ale rozmawiam właśnie z przypadkowo poznanym komandorem floty wojennej Oceanu Spokojnego, który leci do Petropawłowska Kamczackiego. Osiemnaście tysięcy kilometrów, 21 godzin lotu, wliczając postój w Chabarowsku i przesiadkę na inny samolot w Magadanie nad Morzem Ochockim. W zestawieniu z tą trasą moja kurczy się nagle i karleje...

Cały prawie lot przespałem. Budzę się, gdy samolot nasz schodzi do lądowania na płycie nowoczesnego lotniska nowosybirskiego Tołmaczewo. Jest dzień. Widzę szeroko rozrzucone miasto i przepoławiający je nurt rzeki Ob. Dwa jej brzegi spięte klamrą potężnego mostu to jakby dwa światy. Po jednej stronie, zachodniej, rozciąga się teren stepowy, bezkresna równina ledwie porośnięta trawą. Na wschodnim brzegu rozpoczyna się już równie bezkresna tajga syberyjska otaczająca półkolem miasto. Nowosybirsk — stolica zachodniej Syberii — legł więc na linii demarkacyjnej dwóch stref biologicznych.

Historia miasta, a opowiada mi ją prezes miejscowego oddziału Związku Pisarzy ZSRR Leonid Czikin — jest stosunkowo niedługa, bo liczy sobie lat osiemdziesiąt. Założone zostało w związku z budową kolei transsyberyjskiej w pierwszym roku panowania cara Mikołaja II i od jego imienia nosiło do 1925 roku nazwę Nowonikołajewsk. Świetnemu położeniu na skrzyżowaniu linii kolejowej z zachodu na wschód i drogi wodnej z południa na północ zawdzięcza Nowosybirsk szybki rozwój. We wczesnych latach trzydziestych ludność miasta sięgała już 400 tysięcy, a w ciągu ostatnich 45 lat wzrosła do 1.300 tysięcy. Przyczyniło się do tego ewakuowanie do Nowosybirska w czasie ostatniej wojny zakładów przemysłowych z Moskwy, Leningradu i Ukrainy. Większość tych zakładów, wśród których przeważał ciężki przemysł maszynowy, pozostała po wojnie na miejscu.

Dziś Nowosybirsk produkuje ciężkie obrabiarki, prasy hydrauliczne, konstrukcje stalowe, kombajny, turbiny dla elektrowni. Błyskawicznemu rozwojowi miasta towarzyszyło iście syberyjskie tempo budownictwa mieszkaniowego. Rosną odległości w obrębie miasta. Myśli się więc konkretnie o budowie metra. Wśród nowoczesnych osiedli obliczonych na dziesiątki tysięcy mieszkańców przetrwały wszakże do dziś pozostałości drewnianej architektury Nowonikołajewska. Niektóre z kolorowo malowanych i ozdobionych wycinaną w drewnie koronkową ornamentacją domków — to prawdziwe perły, wystawiające dobre świadectwo starym mistrzom syberyjskim.

Podczas gdy podziw mój budzi ten swego rodzaju skansen dawnego syberyjskiego budownictwa, droga nasza wiedzie za miasto. Jedziemy szosą wiodącą przez tajgę. Po przebyciu 30 kilometrów jesteśmy u celu podróży. To akademgorodok, czyli miasteczko akademickie, prawdziwa duma mieszkańców Nowosybirska. Osiemnaście lat temu założono w mieście Syberyjski Oddział Akademii Nauk ZSRR. Na jego czele stanął i stoi do dziś wybitny uczony, akademik Michaił Ławrentiew. To on właśnie w 1957 roku zatrzymał się wśród dziewiczej tajgi, w tak zwanej dziś Złotej Dolinie, i powiedział: „Tu będziemy budować". I tak się zaczęło.

Fot.: Janusz Kupiecki

Wokół Złotej Doliny wyrosły wśród bujnego lasu gmachy szesnastu instytutów naukowych, laboratoria, pracownie, zespoły aul i sal wykładowych uniwersytetu nowosybirskiego, domy studenta, bloki mieszkalne dla pracowników naukowych i personelu pomocniczego, pawilony handlowe, usługowe i socjalne. Nikt nie spodziewał się, że w ten sposób powstanie jedyne w swoim rodzaju duże miasto, które dziś zamieszkuje już 45 tysięcy osób.

Pracownik naukowy i pisarz-prozaik w jednej osobie, Dawid Konstantinowskij, który oprowadza mnie po miasteczku, mówi:

— Właściwie powinienem zrezygnować z pracy naukowo-dydaktycznej i poświęcić się wyłącznie pisarstwu. Ale myśl, że musiałbym wraz z rodziną opuścić akademgorodok i zamieszkać w mieście, wywołuje we mnie opory nie do pokonania. Tutaj panuje jedyna w swoim rodzaju atmosfera, z którą trudno się rozstać.

Konstantinowskij opowiada mi o prowadzonej od 13 lat zaocznej olimpiadzie matematyczno-fizycznej. W pierwszym jej etapie rozsyła się zadania konkursowe dla wszystkich szkół średnich na wschód od Uralu. Drugi etap, w którym biorą udział wyselekcjonowani najzdolniejsi uczestnicy, prowadzony jest przez młodych naukowców z uniwersytetu nowosybirskiego, którzy rozjeżdżają się po całej Syberii na połów talentów. Zwycięzcy tego etapu zapraszani są latem na koszt Akademii Nauk do nowosybirskiego akademgorodka na 3—4-tygodniowy pobyt. Zjeżdżają się więc dzieci z najodleglejszych zakątków Syberii, z osiedli zagubionych wśród tajgi, często zza kręgu polarnego, by słuchać wykładów najwybitniejszych uczonych. Jest to wielkie przeżycie. Niektórzy po raz pierwszy w życiu widzą tramwaj. Szczególnym wyróżnieniem jest przyjmowanie najzdolniejszych ze zdolnych do 8, 9, lub 10 klasy szkoły matematyczno-fizycznej działającej w akademgorodku. To już wstęp do przyszłej kariery naukowej.

Akademgorodok jest obok potężnych zakładów przemysłowych Nowosybirska symbolem przemian zachodzących na tej ziemi. Syberia, kraina przyszłości, sięgająca coraz śmielej do skarbca swoich nieprzebranych bogactw naturalnych, potrzebować będzie coraz więcej uczonych, ludzi światłych, których zadaniem będzie przyspieszanie procesów rozwojowych.

Parę dni wśród gościnnych mieszkańców Nowosybirska mija szybko i oto znów lotnisko Tołmaczewo i znowu lot. Tym razem około 1600 kilometrów w kierunku wschodnim. Rejs trwa faktycznie niespełna dwie godziny, ale zegarek trzeba przesunąć o godzinę do przodu. Zapada mrok, gdy Irkuck rozbłyska pod nami migotliwymi światłami. Wody Angary wyglądają jak pokryte srebrną łuską. Samolot siada miękko, a ja po chwili ściskam dłonie moich irkuckich gospodarzy: sekretarza Związku Pisarzy, autora kilku książek historycznych o dekabrystach na Syberii — Marka Siergiejewa oraz prozaika Jurija Samsonowa specjalizującego się w powieści fantastycznej, który z umiarkowanym powodzeniem usiłuje rozmawiać ze mną po polsku. Liczą się jednak dobre intencje.

Po drodze do hotelu „Angara" zajeżdżamy na chwilę przed duży budynek kościoła katolickiego, zbudowany przez zesłańców polskich w XIX wieku. Dziś wiernych już nie ma i kościół jest nieczynny. Znajduje się właśnie w remoncie i ma w przyszłości służyć jako muzeum zesłańców polskich.

Wspomnienia o Polakach na Syberii będą mi towarzyszyły przez dwa tygodnie pobytu tutaj i nad Bajkałem. Każdy podejmuje tu ze mną chętnie rozmowę na ten temat, a nazwiska zesłańców polskich po powstaniu styczniowym: Benedykta Dybowskiego, Jana Czerskiego, Wiktora Godlewskiego, Aleksandra Czekanowskiego czy Mikołaja Witkowskiego, zasłużonych badaczy Bajkału i Syberii w zakresie geologii, archeologii i biologii wymieniane są każdorazowo z szacunkiem i uznaniem.

Następnego dnia po przybyciu do Irkucka jestem nad Bajkałem i chłonę jego piękno We wsi Listwienicznа przejeżdżamy pod skałą wspaniale eksponowaną tuż nad brzegiem jeziora.

— Ta skała nosi imię waszego rodaka Czerskiego — informuje mnie kierowca Wołodia. — A po drugiej stronie Bajkału jest niewidoczny stąd szczyt Czerskiego.

Składam wizytę w Instytucie Limnologicznym, czyli jezioroznawczym, w Listwienicznej. Przyjmuje mnie wicedyrektor Instytutu, prof. dr Konstantin Wotkincew.

— Chciałby pan zapewne usłyszeć historię naszej placówki — mówi z obiecującym uśmiechem. — Otóż w 1912 roku student Uniwersytetu Warszawskiego, Rosjanin Gleb Wierieszczagin, wysłuchał wykładów profesora Benedykta Dybowskiego o Bajkale. Wykłady te były dla Wierieszczagina tak fascynujące, że po powrocie do Rosji postanowił poświęcić się badaniom Bajkału. W 1916 roku wysłany został przez komisję bajkalską Rosyjskiej Akademii Nauk nad Bajkał. Po przerwie spowodowanej rewolucją i wojną domową komisja bajkalska wznowiła działalność w 1925 roku. Wierieszczagina mianowano naczelnikiem stałej ekspedycji bajkalskiej, potem dyrektorem Stacji Limnologicznej i wreszcie Instytutu Limnologicznego, który stał się kontynuatorem badań. Prof. Wierieszczagin związał się z Bajkałem na resztę życia. Zmarł na stanowisku dyrektora Instytutu w lutym 1944 roku.

— Przyjemnie mi słyszeć — mówię — że to właśnie mój rodak Dybowski zdołał zaszczepić twórcy waszego Instytutu bakcyla bajkalskiego, jeśli tak to można nazwać.

— Niezmiernie trafne określenie — śmieje się prof. Wotkincew. — Wszyscy tu jesteśmy zarażeni tym bakcylem pośrednio przez pańskiego rodaka. Bo my tutaj realizujemy

Fot.: Janusz Kupiecki

testament naszego ojca duchowego, prof. Wierieszczagina. Tyle że pracujemy na inną skalę. Za życia jego zatrudnionych tu było 15—20 osób, a obecnie na skutek powierzenia Instytutowi ważnych zadań państwowych mamy 370 pracowników, w tym około 200 osób z wyższym wykształceniem, 2 członków-korespondentów Akademii Nauk ZSRR, 6 profesorów 40 doktorów. Sto osób liczy załoga naszej bajkalskiej floty badawczej, która dysponuje 12 jednostkami pływającymi. A w ogóle to nasi pracownicy reprezentują najróżnorodniejsze specjalności: geologię, paleolimnologię czyli historię jezior, hydrologię, hydrochemię, klimatologię, ichtiologię, botanikę, nie brak nawet matematyków. Śmiejemy się, że tylko astronomów u nas nie ma, ale badanie Bajkału trudno byłoby powiązać z astronomią.

— Panie profesorze — pytam. — Jak wygląda nad Bajkałem sprawa ochrony naturalnego środowiska człowieka? Słyszałem o pewnym zagrożeniu, jakie stanowi zbudowanie nad jeziorem wielkiego kombinatu celulozowego.

— Istotnie, dyskusja na ten temat trwa od 15 lat, to jest od rozpoczęcia budowy kombinatu. Między innymi na skutek naszej działalności władze państwowe wydają od 10 lat zarządzenia mające na celu ochronę basenu bajkalskiego. W wyniku tych postanowień w zakładach celulozowych zainstalowano cały system unikalnych w świecie oczyszczalni. Dzięki temu zanieczyszczenie wody jest minimalne. W trosce o rezerwy wodne utworzono wokół jeziora mniej więcej 80-kilometrową leśną strefę ochronną W zonie tej zakazany jest wyrąb lasu. Nie wolno również spławiać drzewa na dopływach Bajkału. To ostatnie zarządzenie ma na celu ochronę omula, unikalnej ryby o wyjątkowo smacznym mięsie, występującej tylko w dorzeczu Bajkału. Opracowano także generalny schemat racjonalnej eksploatacji rezerw przyrody w basenie Bajkału. Istnieje już Barguziński rezerwat przyrody, 2—3 następne są w stadium organizacji.

Wychodzimy przed gmach Instytutu i spoglądamy na jezioro. Jest potężne. Jego długość z północy na południe wynosi 636 kilometrów. Kilka jezior na świecie ma wprawdzie większą powierzchnię niż Bajkał, ale wszystkie ustępują mu jeśli chodzi o objętość. Głębokość Bajkału dochodzi do 1741 metrów, a masa wodna jeziora wynosi 23 tysiące kilometrów sześciennych, co czyni zeń największy rezerwuar słodkowodny na świecie.

— Tam na prawo — mówi prof. Wotkincew — widać port bajkalski. Na te statki, które stoją przy nabrzeżu ładuje się zaopatrzenie dla Bajkalsko-Amurskiej Magistrali.

Bajkalsko-Amurska Magistrala, w skórcie BAM. Ta nazwa znana już jest na całym świecie. Właśnie trwa budowa tej liczącej 3.200 kilometrów linii kolejowej przez tajgę. Budowniczowie BAM wdzierają się śmiało w głąb ostępów leśnych nie tkniętych dotąd stopą ludzką. Realizacja tej największej w Związku Radzieckim inwestycji otworzy drogę do nieprzebranych bogactw naturalnych, dotąd nie eksploatowanych, które zazdrośnie kryje tajga syberyjska. BAM to zuchwałe wyzwanie, jakie człowiek rzuca przyrodzie.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU VIII

SCHELLENBERG wkracza do akcji

W berlińskiej kwaterze głównej szefa SS Heinricha Himmlera odbywała się kolejna narada robocza. Tym razem omawiano wyniki pracy kontrwywiadu w likwidowaniu nieprzyjacielskich siatek wywiadowczych. Przedstawiciele Abwehry i VI Departamentu RSHA informowali Himmlera o dotychczasowych rezultatach swej działalności w tej dziedzinie. Meldunki nie musiały być jednak zbyt zachęcające, bowiem na twarzy Reichsführera SS widać było wyraźnie niezadowolenie. Himmler wydawał się być zniecierpliwiony tą powolnością, z jaką prowadzono poszukiwania już zlokalizowanych, nielegalnych radiostacji znajdujących się na terenie krajów okupowanych oraz w Szwajcarii. Uważał, że należy jak najszybciej przystąpić do energicznej akcji. Aby uzyskać swobodę działania w kraju neutralnym, Reichsführer zdecydował się na złożenie wywiadowi szwajcarskiemu propozycji współpracy. Sprawa ta była natury bardzo delikatnej, należało więc pilnie baczyć, aby została zachowana ścisła tajemnica. Misję przeprowadzenia rozmów sondażowych z szefami wywiadu szwajcarskiego Himmler zlecił jednemu ze swych najbliższych współpracowników, mianowicie SE-Brigadeführerowi, Walterowi Schellenbergowi.

Schellenberg zaliczał się już wówczas do ścisłej elity SS. Cieszył się pełnym zaufaniem swego zwierzchnika Himmlera, a także samego führera Mimo młodego wieku 32 lat pełnił urząd szefa VI Departamentu RSHA (wywiad zagraniczny SD), do którego zadań należało prowadzenie działalności szpiegowskiej, dywersyjnej i kontrwywiadowczej w państwach neutralnych oraz prowadzących wojnę z Rzeszą. Ze swojej rezydencji na Berckestrasse w Berlinie, o istnieniu której mało kto wiedział, Schellenberg kierował potężną siecią agentów kontrwywiadu SD.

Dla odbycia swej okrytej ścisłą tajemnicą podróży do Szwajcarii szef wywiadu SS wybrał odpowiedni moment. Był to okres największych sukcesów armii hitlerowskiej — wyborowe dywizje Wehrmachtu przedzierały się w kierunku Stalingradu i przedgórza Kaukazu. W Niemczech sądzono, że niebawem obrona radzieckich armii na południu zostanie całkowicie złamana. Tymczasem w zachodniej Europie nie widać było ze strony Anglii i USA żadnych kroków przygotowawczych na rzecz otwarcia drugiego frontu. Zaplecze III Rzeszy było jeszcze prawie zupełnie bezpieczne. Wysłannik Himmlera mógł więc przypuszczać, że w tak korzystnej dla Niemiec sytuacji wojskowo-politycznej Szwajcarzy łatwo zgodzą się na współpracę i koncesję I Schellenberg nie pomylił się.

SE-Brigadeführerowi chodziło przede wszystkim o nawiązanie bezpośredniego kontaktu z pułkownikiem Rogerem Massonem — szefem wywiadowczych i kontrwywiadowczych organów w Szwajcarii, policji, służby celnej i wojsk ochrony pogranicza. Nic dziwnego, że pozyskanie dla swej sprawy tak wpływowej osobistości — strażnika wszystkich tajemnic państwowych — było dla Niemców nadzwyczaj kuszące. Toteż Schellenberg nie żałował trudu i obietnic, aby ten cel osiągnąć.

Po wojnie ujawniono liczne szczegóły zakulisowej gry szefa himmlerowskiego wywiadu z pułkownikiem Massonem. Część z nich znalazła się w książce P. Accoce'a i P. Queta „La guerre a ete gagneé en Suisse", przy tym trzeba jednak stwierdzić, że nie wszystkie fakty w niej podane zostały przedstawione prawdziwie. Z książki tej wynika, że Schellenberg i Masson spotkali się czterokrotnie: dwa spotkania miały miejsce w 1942 roku, a dwa — w 1943. Do pierwszego z nich doszło we wrześniu 1942 roku.

Była środa, 8 września 1942 roku. Na posterunku szwajcarskiej straży granicznej w Laufenbergu nad granicą niemiecką panował zupełny spokój. Dzień wstał pochmurny i z lekka mżył deszcz. Dochodziła 8.15, gdy na przejściu granicznym pojawił się duży, czarny samochód ze znakami rejestracyjnymi Berna. W aucie siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany po cywilnemu. Nastąpiła kontrola dokumentów. Wynikało z niej, że ów cywil udawał się na jednodniowy pobyt do Niemiec. Posiadał nań zewolenie władz kantonalnych Lucerny. W kilka chwil później żołnierz straży granicznej wręczył dokumenty pasażerowi czarnej limuzyny. Podniesiono barierę i samochód pomknął szosą w kierunku niemieckiego posterunku. Tam oczekiwał go inny wóz, z którego do samochodu Szwajcara przesiadł się pewien człowiek. Oba samochody pojechały następnie w kierunku Waldshut, miasteczka leżącego opodal granicy szwajcarskiej. Kim byli ci dwaj ludzie i co było celem ich podróży?

Otóż owym cywilem, przybyłym ze Szwajcarii, był właśnie pułkownik Masson, który udawał się do Waldshut na spotkanie z Walterem Schellenbergiem. Od granicy niemieckiej towarzyszył mu natomiast SS-Sturmbanführer H. W. Eggen, będący łącznikiem szefa wywiadu SS. Nie było to pierwsze spotkanie Massona z Eggenem. Ci dwaj ludzie spotkali się już wcześniej, w grudniu 1941 roku. Eggen prowadził wówczas rozmowy z ramienia Wehrmachtu ze szwajcarskim syndykatem drzewnym, reprezentowanym m. in. przez kapitana Paula Meyer-Schwertenbacha. Ów kapitan, właściciel zamku Wolfsberg w pobliżu Ermatingen był ścisłym współpracownikiem pułkownika Massona i pracował w jego sztabie. Eggen dobrze wiedział, z kim ma do czynienia i wkrótce osiągnął cel — major zaprosił go na spotkanie z Rogerem Massonem. Stosunki niemiecko-szwajcarskie były w tym czasie dość napięte, toteż głównym przedmiotem rozmowy były sprawy związane z atakami prasy niemieckiej skierowanymi przeciw Szwajcarii. Rychło jednak Eggen doszedł do wniosku, że rozmowa z Massonem wykracza poza jego kompetencje, dlatego też zaproponował Szwajcarom odbycie spotkania ze swoim szefem SS-Brigadeführerem, Schellenbergiem Masson przyjął propozycję i ze swej strony wyraził życzenie, aby spotkanie nastąpiło niebawem. Doskonale orientował się, że będzie miał do czynienia z człowiekiem, który w sztabie Himmlera pełni podobną funkcję, jak on w sztabie armii szwajcarskiej Ciekawe, że później stale podkreślał, iż inicjatywa kontaktu wypłynęła od niego, a nie od Schellenberga W czasie kolejnej podróży służbowej Eggena do Szwajcarii ustalono wstępnie termin i miejsce spotkania, na które Masson udał się 8 września 1942 roku, uzyskawszy przedtem pełną aprobatę swego zwierzchnika, naczelnego dowódcy armii szwajcarskiej, gen. Guissana.

W kilka tygodni po pierwszym kontakcie obu szefów wywiadu nastąpiło kolejne spotkanie. Tym razem miało ono miejsce na terenie Szwajcarii w zamku Wolfsberg, należącym do P. Meyera-Schwertenbacha. Tak jak poprzednio, zachowywano jak najdalej posunięte środki ostrożności, toteż o tych spotkaniach wiedziało tylko nieliczne grono osób zaufanych oraz osobista ochrona obu głównych rozmówców.

Jakie tematy poruszyli Schellenberg i Masson w trakcie swych spotkań? Odpowiedź na to pytanie nie jest bynajmniej łatwa, bowiem nie zachowały się żadne notatki odnoszące się do treści ich rozmów. Z późniejszych, skąpych zresztą relacji Schellenberga i Massona, zawartych w ich pamiętnikach, można wnosić, że rozmowy obracały się raczej wokół kwestii natury politycznej aniżeli wojskowej. Massonowi zależało przede wszystkim na tym, aby rozwiać wątpliwości Niemców wobec polityki neutralności prowadzonej przez jego kraj. Ów brak zaufania Rzeszy wzrósł jeszcze po zakończeniu kampanii francuskiej, w czerwcu 1940 roku, kiedy to wojska niemieckie zdobyły w La Charite—sur—Loire dokumenty francuskiego sztabu generalnego. Wynikało z nich niedwuznacznie, że w okresie tuż przed wybuchem wojny i w pierwszych miesiącach jej trwania zostały zawarte między Francją a Szwajcarią porozumienia o współdziałaniu obu armii na wypadek zaatakowania Szwajcarii przez Niemcy. Nic zatem dziwnego, że dokumenty te stały się poważnym balastem w stosunkach niemiecko—szwajcarskich. Stały się także narzędziem do wywierania przy każdej nadarzającej się okazji nacisków na Szwajcarię celem uzyskania daleko idących ustępstw w różnych sprawach. Z tych też względów Massonowi bardzo zależało, aby jak najszybciej usunąć ową tak niewygodną dla jego kraju przeszkodę, albo przynajmniej maksymalnie ją zneutralizować. Jego dążeniem było dojść w tej sprawie do porozumienia z Schellenbergiem nawet, gdyby przyszło dokonać w zamian pewnych ustępstw wobec Niemców. Poza tym Masson zaproponował złagodzenie wrogiego nastawienia prasy niemieckiej wobec Szwajcarii, wyrzeczenia się oficjalnego poparcia Rzeszy dla szwajcarskich narodowych socjalistów oraz uwolnienie pracowników konsulatu Szwajcarii, aresztowanych pod zarzutem szpiegostwa. Oczywiście omawiano również sprawy należące do ścisłych obowiązków szefów służb wywiadowczych. Te ostatnie bardzo interesowały Schellenberga, którego misja, jak wiadomo, polegać miała na wyciągnięciu wywiadu szwajcarskiego do współpracy w wykrywaniu i dokładnym lokalizowaniu alianckich grup wywiadowczych na terenie Szwajcarii, a zwłaszcza sekcji radzieckiej, o działalności której uzyskano już pewne informacje. Jednak, jak wynika z zachowanych relacji na temat tych dwu spotkań Massona z Schellenbergiem, ten ostatni nie ujawnił Szwajcarowi żadnych informacji na temat „Czerwonej Trójki", jak również nie prosił o pomoc w poszukiwaniach tak radzieckich jak i innych organizacji wywiadowczych. Czego zatem szukał wówczas w Szwajcarii szef wywiadu SD? Masson nie mógł nie zrozumieć prawdziwego celu tych spotkań. Szybko domyślił się, że Schellenberg szuka źródła przecieków ściśle tajnych informacji wojskowych i zaniepokoił się nie na żarty. Niepokój ten wynikał bowiem z faktu, że nad najlepszym informatorem wywiadu szwajcarskiego dostarczającym najcenniejsze doniesienia z Berlina zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Człowiekiem tym był Rudolf Rössler, agent, który, jak się niebawem okaże, pracował nie tylko dla wywiadu szwajcarskiego.

NIE TYLKO HISTORIA

PRZYPOMNIENIE WYBITNEGO UCZONEGO

O Ignacym Radlińskim (1843—1920), jednym z najwybitniejszych uczonych, działających w drugiej połowie XIX i w początku XX w. w Warszawie, religioznawcy, językoznawcy, historyku kultury napisano dotąd niewiele więcej, niż nic, nieporównanie mniej niż o innych współczesnych mu, chociaż nie zawsze wybitniejszych przedstawicielach nauki polskiej. W okresie międzywojennym ukazały się o nim zaledwie cztery okolicznościowe publikacje, w czasach Polski Ludowej, oprócz niezbyt istotnych wzmianek, do niedawna zaledwie jeden artykuł naukowy. Dopiero w ostatnich latach postacią i dziełem I. Radlińskiego zajęła się Janina Żurawicka, która ogłosiła o nim dwa poważne szkice, następnie zaś w ramach wydawnictw Zakładu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN opublikowała monografię pt.: „Twórczość naukowa Ignacego Radlińskiego (1843—1920" (Ossolineum 1975). Co warunkowało tę długoletnią „zmowę milczenia" wokół dzieła uczonego, co powodowało, że tak długo nie zajmowano się jego dorobkiem? Przecież nie naukowa ranga badań, uprawianych przez I. Radlińskiego, bowiem już współcześnie zdawano sobie sprawę z tego, że była ona wysoka; przecież nie brak dorobku, bo uczony pisał i publikował wiele, chociaż działał w niezmiernie trudnych warunkach. „Zmowę milczenia" warunkowały chyba inne względy: bodaj najistotniejsze znaczenie miała tutaj okoliczność, że I Radliński uprawiał laickie religioznawstwo, nie licząc się konfesyjnością i religijną ortodoksją, wdawał się w religioznawcze dociekania, które wielu uważało za zastrzeżone dla... księży. Więcej: uprawiał je doprawdy nowocześnie, nie stroniąc od podejmowania zagadnień kontrowersyjnych, już nie tylko pod względem poznawczo-naukowym, ale i religijno-ideologicznym. I. Radliński — podkreśla J. Żurawicka — „reprezentował rzadką na naszym rodzinnym gruncie dziedzinę wiedzy, której olbrzymi rozwój zaznaczył się w naukach europejskich w drugiej połowie XIX w., mianowicie: religioznawstwo w szerokim ujęciu, w szczególności zaś historię powstawania poglądów i instytucji religijnych na przykładach pierwotnych religii starożytnego Wschodu, judaizmu i chrystianizmu". Nie darmo współcześni nazywali go „polskim Renanem", skoro miał odwagę badania powstawania religii na szerokim tle historycznym. Pod względem metody badawczej był zresztą podobny do wielkiego francuskiego uczonego: podobnie jak on wiązał religię z ustrojami społecznymi, tak samo jak on poddawał krytyce filologicznej teksty Pisma Św., odczytując je nie jako świętą księgę, ale „jako dzieło stworzone przez ludzi i mające znaczenie dla całej kultury europejskiej". Ernest Renan interesował się dorobkiem polskiego badacza, starał się zapoznawać z jego pracami.

Trzykrotnie miał I. Radliński nadzieję otrzymania katedry, za każdym razem jednak bezskutecznie. Nie został profesorem w Szkole Głównej Warszawskiej ze względu na likwidację tej uczelni, nie otrzymał profesury w Petersburgu, na która miał szansę, nie stworzono mu wreszcie katedry historii religii, o której marzył, w namiastce polskiej wyższej uczelni, jaką było Towarzystwo Kursów Naukowych w Warszawie, utworzone po rewolucji 1905 r. Kasa im. Mianowskiego częściej odmawiała mu pomocy niż ją niosła. Nie został też I. Radliński członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, chociaż interweniował w tej sprawie J. Baudoin de Courtenay, nie był również członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, chociaż do jednej i drugiej naukowej instytucji należeli ludzie, przedstawiający nierównie niższy poziom naukowy niż warszawski religioznawca. J. Żurawicka omawiając koleje losu I. Radlińskiego wydobyła z zapomnienia znamienną wypowiedź wybitnego współczesnego mu pisarza, poety dramaturga i publicysty zaprzyjaźnionego z nim T. Micińskiego. Z goryczą napisał T. Miciński w związku z sytuacją I. Radlińskiego: „w naszym gnuśnym, nie myślącym i nie czującym społeczeństwie dziś rządzi ciemny bigot". Było to w 1911 r.

Był I. Radliński absolwentem Uniwersytetu Kijowskiego, który ukończył ze złotym i srebrnym medalem. We wrześniu 1869 r. osiadł w Warszawie, dzieląc los licznych uczonych, działających w tym mieście. Został nauczycielem języków klasycznych w gimnazjum i obowiązki związane z pracą pedagogiczną pełnił do późnej starości. Z trudnością naginał się do wymogów urzędowych, wchodził w konflikty z władzami szkolnymi, przez krótki czas nauczał w Piotrkowie, wreszcie wrócił do Warszawy, jednakże przeniesiono go na stanowisko nauczyciela nadobowiązkowego języka francuskiego, oczywiście z mniejszą płacą. Otrzymywał najniższą z możliwych pensji nauczycielskich, wynoszącą 900 rubli rocznie, gdy w polskich szkołach prywatnych uposażenie dochodziło do 1500 rb. W 1905 r. uzyskał tzw pełną emeryturę, choć wynoszącą znacznie mniej niż innych, dobrze widzianych przez władze carskie pedagogów. Udzielał prywatnych lekcji. Jako ponad 60-letni człowiek dojeżdżał na zajęcia do gimnazjum w Siedlcach. Mimo to wszystko, ograniczając swe potrzeby, potrafił uzbierać nieco grosza, aby wyjeżdżać latem do Paryża, póki nie uniemożliwił mu tego stan jego zdrowia. Pierwszą wojnę światową przetrzymał w Warszawie; podjął jeszcze wykłady w Warszawskim Towarzystwie Krajoznawczym, ale wygłosił ich tylko dwa, oczywiście z historii religii. Zmarł w warszawskim szpitalu, chory na czerwonkę, w sierpniu 1920 r., w nędzy. Ludwik Krzywicki pisał o nim: „Milczeniem i obojętnością przyjęto wiadomość o śmierci czcigodnego wyznawcy wolnej myśli i miłośnika wiedzy niezależnej, człowieka, który żył dla nauki i w imię nauki, i który nigdy zachowaniem swoim nie zniżył się do schlebiania płytkim upodobaniom inteligenckiej gawiedzi". Dobrze to i słusznie, że J. Żurawicka przypomniała nam postać zasłużonego uczonego — Ignacego Radlińskiego.

LEKTOR

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZ PARYS

TKANINA

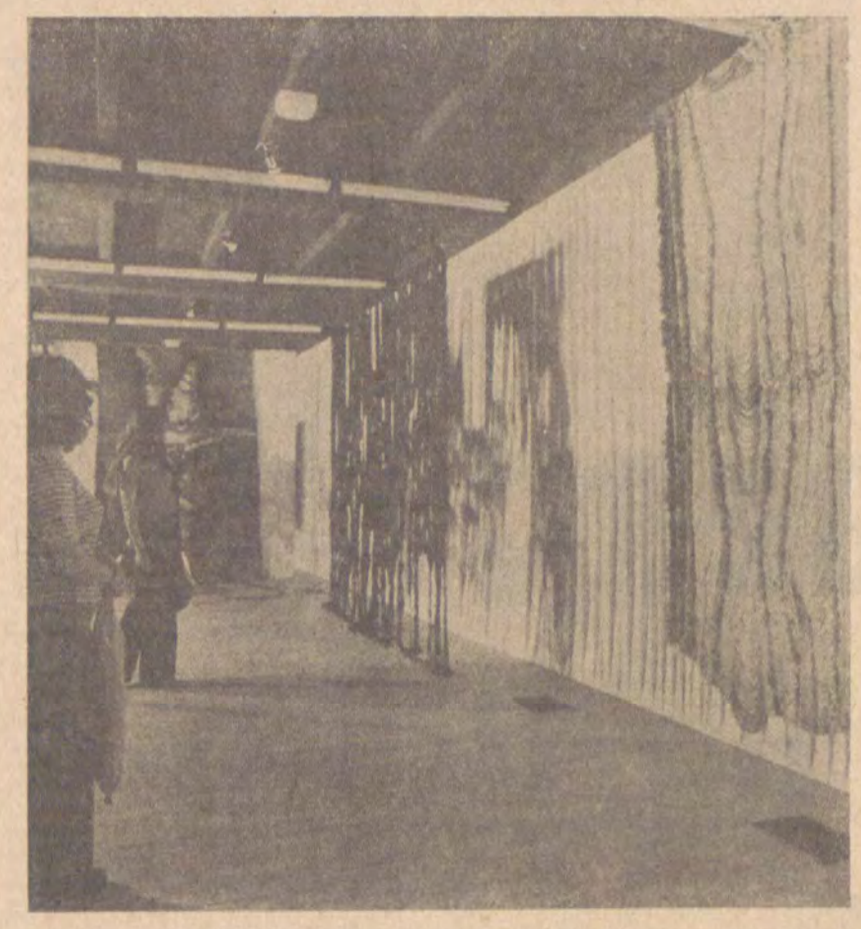

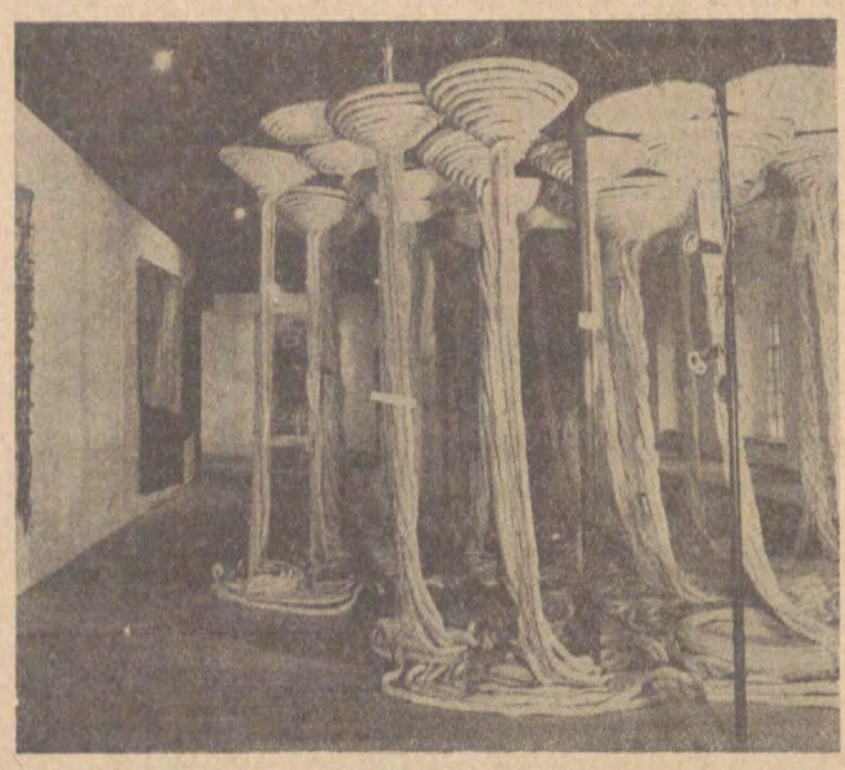

KSIĄŻKA

JERZY RZYMOWSKI

CHŁODNE SPOJRZENIE

Związki Władysława Rymkiewicza z teatrem datują się od wczesnej młodości, a wspomnienia o nich czule są przez pisarza pielęgnowane. Co więcej, na kontakty te wskazuje on, jako na źródła swej twórczości. W obszernej wypowiedzi, zamieszczonej w „Odgłosach" (1975, nr 18), autor „Widoku z Księżego Młyna" przyznał, że sposobił się niegdyś do aktorstwa (występował nawet na scenie amatorskiej w Warszawie), przebywając zaś wówczas w środowisku aktorskim stykał się z twórcami kultury (i to niepośledniego formatu), co — jak twierdzi — wywarło znaczny wpływ na ukierunkowanie jego zamiarów literackich.

Fascynacje sztuką sceniczną, mimo szczerej ochoty i podejmowanych prób nigdy jednak nie sprofesjonalizowane (ukończył prawo i do 1939 roku wykonywał zawód adwokata), w latach późniejszych nie przejawiały się wszelako w samym tylko kibicowaniu życiu teatralnemu w roli wiernego widza, czy współuczestnictwie z pozycji prasowego recenzenta. Rymkiewicz usiłował bowiem określić swoje miejsce w teatrze także wedle innych zasad niż wymienione, a mianowicie poprzez własne dramatopisarstwo, uprawiane z pewnymi sukcesami (myślę o nagrodach: w 1937 r. za „Kryształowego człowieka" i w 1963 r. za „Konsula"), choć do tej pory nie zdyskontowanymi należycie, tzn. za pomocą realizacji scenicznych owych tekstów.

Doświadczony prozaik, autor dwudziestu tomów, powraca więc do spraw teatru nieustannie. Interesująca jest tu jednak nie tyle trwałość związków (nie byłoby w niej nic niezwykłego, ani odosobnionego), ile ich wewnętrzny rozwój: od urzeczenia odtwórstwem, poprzez twórczość, do uogólnionej refleksji nad sztuką aktorską. Oczywiście takiej refleksji, jaką umożliwia wypowiedź literacka. Ostatni bowiem powrót Rymkiewicza do problematyki teatralnej, a jest nim wydana właśnie powieść „Chłodne spojrzenie", świadczy o potrzebie pogłębionego ujęcia stosunku pisarza do teatru, rozważenia obyczajowych, psychologicznych i moralnych aspektów aktorstwa, a także porachowania się z osobistymi wspomnieniami i przemyśleniami w tym zakresie. Czyniąc te kwestie tematem utworu, autor uprzedmiotawia zatem to, co dotychczas miało charakter podmiotowy — własne fascynacje, wymagające teraz dystansu jako przedmioty opisu, myśli, dyskursu. A że idzie tu o takie zużytkowanie wspomnień, które nie ograniczałoby się do utrwalania faktów, anegdot i wrażeń, lecz pozwoliło na ich podstawie sformułować sądy ogólne, jako właściwy budulec wiedzy, okiełznać trzeba idealizujący przeszłość sentyment, zneutralizować emocjonalny subiektywizm i nieodłączną dlań stronniczość. Racjonalizacja impresji, mniemań i odczuć wymaga właśnie „chłodnego spojrzenia", krytycznie rozpatrującego konfrontowane w powieści racje, postawy i poglądy.

Klucza do autobiograficznego szyfru powieści dostarcza wywiad z autorem, na który się już tutaj powołałem, przypominający młodzieńcze kontakty Rymkiewicza z aktorską rodziną Różańskich, w tym także tragiczną śmierć Czesława Różańskiego podczas spektaklu „Kaśki Kariatydy" Gabrieli Zapolskiej. Już samo porównanie fabuły „Chłodnego spojrzenia" z informacjami podanymi w relacji Rymkiewicza pozwala zauważyć, że zastosowana w powieści metoda przetwarzania faktów w fikcję literacką nie polega tylko na obdarzaniu autentycznych postaci pseudonimami, beletryzowaniu ich życiorysów oraz wyposażaniu jakiegoś jednego bohatera w biografię autora. Dotyczy to zresztą, zarówno faktów, jak i poglądów. Jedne i drugie są bowiem parcelowane pomiędzy biografie i wypowiedzi różnych postaci, problemy zajmujące autora rozpisane zostały na kilka głosów (głównie parę: ojciec i syn), z których chyba żaden samoistnie nie mógłby reprezentować stanowiska pisarza.

Na przykład ojciec głównego bohatera, stary aktor Weloński w swoich wspomnieniach o młodości opisuje wydarzenia znane z życiorysu Rymkiewicza, skrupuły zaś związane z ich ujawnieniem (niebezpieczeństwo melodramatu) wypowiada syn Welońskiego, student szkoły teatralnej i początkujący aktor teatru łódzkiego, a są to takie same skrupuły, jakie Rymkiewicz podał w wywiadzie prasowym. Spory między postaciami omawianej powieści: Welońskimi, Mucharskim, Tolą, Gamskim, Albińskim, Kierstem są w istocie wyrazem dyskusji prowadzonej przez pisarza nie tyle może z opiniami cudzymi i zobiektywizowanymi w społecznym obiegu, co z samym sobą, poszukującym wartościowych rozwiązań wśród wielości sądów na dany temat. Nie należy zatem upatrywać sensu tej powieści w racjach głównego bohatera, sens jej wylania się z syntezy różnych stanowisk, reprezentowanych przez narratora i jego partnerów, partnerów z różnych środowisk i pokoleń.

Zasięg problemowy książki jest rozległy. Obok intelektualnych (interpretacja tekstu) i ambicjonalnych (fetysz sukcesu) zagadnień zawodu aktorskiego obejmuje także inne, często nie łączące się ze sobą bezpośrednio kwestie, jak np. zagrożenie przyrody, spory wokół koncepcji współczesnej psychiatrii, moralna ocena adwokatury. Obok wątku rodzinnego (konflikt: ojciec-syn), mamy wątek miłosny, obok akcji współczesnej — retrospektywę sprzed półwiecza, obok erudycyjnych odwołań do dzieł klasyków — obyczajowe migawki, czynione stylem reporterskim, obok narracji w pierwszej osobie — narrację w drugiej osobie i fragmenty dziennika narratora, obok wątków sfinalizowanych — przerwane bez elementarnego zaspokojenia ciekawości czytelnika (dotyczy to zwłaszcza losów głównej postaci kobiecej, Toli, która cierpi na zaburzenia nerwowe, znika, jest poszukiwana, autor natomiast urywa opowieść bez rozwiązania zagadki, co zapewne będzie 99 procent czytelników irytowało, a z czym pogodzi się 1 procent odbiorców, ceniących zawieszenie głosu jako sposób zwrócenia uwagi na istotność rozstrzygnięć pozafabularnych). Jest to także powieść o powtarzaniu się losów ludzkich, o tym, co jawi nam się jako trwałe w zmiennym potoku życia. Oto syn określa się w rzeczywistości poprzez opozycję wobec ojca, tropi źródła jego moralnego kompleksu, ale rychło sam uświadamia sobie, że mimowolnie realizuje schemat podobny do młodzieńczej przewiny ojca: „Trawiłem młodość na problemach, a przeoczyłem żywego człowieka, przyjaciela, dziewczynę". Może właśnie ta, bynajmniej w powieści nie eksponowana a wydobyta tutaj sprawa stanowi jej najciekawszy motyw myślowy.

Łączy się on z rozważaną przez młodego, ambitnego aktora antynomią izolacji i zaangażowania, albo inaczej: skupienia wewnętrznego i rozproszenia w działaniu, kariery artysty i przeciętności rzemieślnika, inwencji i rutyny. Tych pary pojęć nakłada się w świadomości narratora, który boryka się z tak zantagonizowanymi postawami i zastanawia się, czy należy eliminować ze swego życia wszystko to, co dając satysfakcje materialne, poznawcze i uczuciowe jednocześnie odciąga od sztuki, od doskonalenia artyzmu, czy raczej należy żyć pełnią doznań, zawierać nietrwałe sojusze z codziennością, dzielić troski rodzinne, społeczne, przyjmować obowiązki i cele praktyczne. Wybór każdej z tych dróg niesie z sobą pewne ryzyko: zagraża przeciętność, zagraża moralna nieczułość. Za sukces artystyczny można zapłacić stratą moralną, klęską artystyczną obciążyć etyczną harmonię.

Wątek ten jest, moim zdaniem, najcelniejszym fragmentem „Chłodnego spojrzenia", co zresztą dziwić nie powinno, jako że najwartościowszą literaturę z reguły tworzą dzieła powstałe z wyczulenia moralnego, nie przekupnego i suwerennego względem wszelkich innych racji, jakie pisarza mogą kusić i obligować. Szkoda więc, że ten nurt w powieści nie dość wyraziście został zaznaczony i pogłębiony, że jakby ginie w szerokim rozlewisku innych nurtów, w natłoku refleksji i obserwacji, którymi niezbyt przecie obszerna książka jest przepełniona. Obfitość tematów ma również dobre strony, dzięki niej bowiem powieść ta uzyskuje kontakt ze współczesnością, jakiego nie miał dotąd chyba żaden z utworów Rymkiewicza. Jest to przy tym kontakt na poziomie idei nurtujących dzisiaj inteligencję (miejscami zresztą trochę zbyt publicystyczny) i na poziomie realiów (choć można się tu dopatrzeć pewnych przerysowań w charakterystycznym dla naszej powieści obyczajowej a także dla filmu, wzbogacaniu galanteryjnego wystroju rzeczywistości; np. wystarczy zweryfikować te partie fabuły, w których bohater występuje w roli „zaopatrzeniowca" swej dziewczyny konsumenta, wczasowicza itp.) I jeszcze jedno. „Chłodne spojrzenie" jest powieścią środowiskową, ale na szczęście nie jest powieścią plotkarską, jak to już nieraz miało miejsce, by przypomnieć choćby głośną przed laty, zbeletryzowaną opowieść o jednym z łódzkich teatrów.

Temat współczesny nie był dotąd atutem pisarstwa Rymkiewicza, pisarstwa zdominowanego przez beletrystyczne studia narodowej i regionalnej przeszłości. Lektura „Chłodnego spojrzenia" ujawnia, jak wiele ma ten autor do powiedzenia o współczesności bez uciekania się do pośrednictwa historii i jak ambitne zadania stawia przed sztuką powieściową owa wielość frapujących pisarza refleksji.

Władysław Rymkiewicz. „Chłodne spojrzenie". „Czytelnik", Warszawa 1975, nakł. 20 000 egz., cena 20.— zł.

SPORT

SZUKANIE PRECEDENSU

Muszę przeprosić Czytelników, że na wstępie powtórzę kilka ogólnych prawd. Po pierwsze — powszechnie już wiadomo, że na widowni sportowych stadionów i hal zasiadają nie sami aniołowie. Po drugie — również powszechnie wiadomo, że nie sami aniołowie wychodzą na boisko. I bardzo dobrze. Gdyby było inaczej, gdyby sportem zajmowali się anieli pańscy, byłyby to widowiska nudne, a ludzie zamiast na stadiony i do hal sportowych, tłumem waliliby do kina na filmy grozy, gdzie można od czasu do czasu zobaczyć węże, wampiry i diabły. Ale prawda jest inna. W kinach wampirów i diabłów raczej mało, a na boiskach, płytach stadionów i parkietach hal sportowych ludzie walczą z ludźmi o lepsze wyniki. A ludzie mają nerwy i czasem te nerwy ich ponoszą. Ludzka rzecz. Ale ta ludzka rzecz też ma swoje granice.

Na meczu koszykówki rozgrywanym pomiędzy rzeszowską „Resovią" i warszawską „Polonią" dwaj zawodnicy: Ryszard Smolnicki i Andrzej Nowak tak dalece dali się ponieść nerwom, że zapomnieli gdzie się znajdują i zamiast dżentelmeńskich ukłonów wymienili ciosy pięścią i kopniaki. Bywa i tak. Nie oni pierwsi — niestety — i nie oni — niestety — ostatni. Ale mam nadzieję, że ich „wyczynem" zajmą się odpowiednie władze sportowe i nie darują tego „zapomnienia". Co jednak robić już nie tylko z niesfornymi kibicami, ale z chamstwem, jakie tu i ówdzie daje się zaobserwować na widowniach sportowych boisk i hal.

Katowicki „Sport" przytacza incydent, jaki zdarzył się po meczu koszykówki, rozgrywanym między krakowską „Wisłą" a warszawską „Polonią". Mecz ten sędziowali panowie Młodkowski i Kąpiński z Gdańska. Przepraszam w tym miejscu Czytelników — po raz drugi zresztą — że nie podaję imion obu panów z Gdańska, ale w prasie sportowej i nie tylko panoszy się brzydki zwyczaj pisania o ludziach tylko z nazwiska. Jakby imię było nieważne. Nie jest to dobry obyczaj. Powiem więcej, jest to obyczaj — delikatnie mówiąc — niecelegancki.

Obaj panowie z Gdańska, pozbawieni przez „Sport" imion nie sędziowali zbyt poprawnie, „nie ustrzegli się błędów".

„Tymczasem — jak pisze „Sport" — to, co usłyszeli po meczu, jeśliby wybrać z „wiązanki" tylko jedno słowo, w każdej innej sytuacji kwalifikowałoby się do wytoczenia autorowi procesu o zniesławienie względnie obrazę".

I „Sport" piórem Janusza Gucwy nawołuje:

„Skoro nie pomagają apele i perswazje, pora „dorwać" chuliganów i po prostu wytoczyć im proces o zniesławienie".

Nie mam nic przeciwko takiemu precedensowi. Nie mogę go sobie tylko wyobrazić „technicznie". Epitety pod adresem zawodników padają i na wielkich meczach, gdzie wielotysięczna widownia ryczy i trudno zrozumieć, co wykrzykuje poszczególny kibic. Padają też z „kameralnych" widowni hal sportowych. Trudno mi wyobrazić sobie sędziego, czy zawodnika, który przerwałby spotkanie i poszedł na widownię szukać tego, który go obraża, aby móc mu wytoczyć proces o zniesławienie. Byłoby to nie tylko „dziwne" widowisko, ale podejrzewam, że władze sportowe nie tolerowałyby takiej „innowacji". Zamiast „dorwania" chuligana zawodnik czy sędzia „dorwaliby" dyskwalifikację. A przecież nie o to chodzi.

Poza tym jeszcze jedna drobnostka. Wydaje mi się, że aby oskarżyć kogoś o zniesławienie, potrzeba mu tego dowieść. Potrzebni są zatem świadkowie. Czy sędzia lub zawodnik łżony z widowni ma też biegać po tejże widowni i pytać, kto zgodzi się być mu świadkiem? Z praktyki — nie najlepszej przecież — wiem, że kumple najczęściej uparcie twierdzą, że nic nie słyszeli. A na mecze chodzi się często gromadnie i siada się kupą.

Nie mam jednak zamiaru dyskwalifikować propozycji „Sportu". Przeciwnie, chciałabym tylko przypomnieć, że posiadamy milicję, służbę porządkową i kolegia karno-orzekające. W niektórych miastach wprowadzono nawet doraźny tryb karania za naruszanie porządku publicznego i za posługiwanie się publicznie „mocnymi" wyrazami. Korzystajmy z tego. To też będzie precedens.

BOGDA MADEJ

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

W przedsiębiorstwie budowlanym odbywa się posiedzenie komitetu partyjnego. Rozpatrywana jest sprawa przyznania premii za przekroczenie zadań kwartalnych i... nieoczekiwanie dla wszystkich brygada Potapowa odmawia przyjęcia nagrody. Pociąga to za sobą reakcję łańcuchową wydarzeń, ujawniając niektóre nieprawidłowości w zarządzaniu zakładem. Taka jest główna treść sztuki będącej adaptacją filmu „Premia", który nie schodzi z ekranów kin radzieckich.

Reżyser Oleg Jefremow, który jest jednocześnie wykonawcą głównej roli, nadał przedstawieniu charakter bardziej publicystyczny, uwypuklając dramatyzm sytuacji z pozoru bardzo codziennej. Znaczenie tej sztuki ujął trafnie W. Komisarzewski w artykule opublikowanym w „Sowietskiej Kulturze" Pisze on m. in.: „Mimo że znałem film, spektakl teatralny oglądałem jak coś nowego. Wydawało mi się, że ja także uczestniczę w tym niezwykłym zebraniu, że wszystko co tam się dzieje, dotyczy także i mnie, że ja także powinienem wziąć udział w głosowaniu: za czy przeciw".

* * *

Radziecki świat muzyczny czci pamięć zmarłego przed kilkoma miesiącami Dymitra Szostakowicza. Pamięci wielkiego kompozytora poświęcił swój najnowszy kwartet Arno Babadżanian. Nad kompozycją tą twórca pracował w ulubionym przez Szostakowicza malowniczym zakątku Armenii — górach Dyliżana, gdzie powstało kilka dzieł kompozytora „Symfonii Leningradzkiej". Tu napisał on dwa kwartety smyczkowe i kilka utworów fortepianowych.

* * *

Radziecki tygodnik „Literaturnaja Gazeta" opublikował w jednym z najnowszych numerów wywiad ze Stanisławem Lemem, którego książki zyskały ogromną popularność wśród czytelników Kraju Rad. Swiadczą o tym także liczne listy jakie autor otrzymuje od swych radzieckich wielbicieli.

* * *

9 listopada br., w wieku 77 lat, zmarł ceniony w NRD pisarz Ludwig Turek. Nekrolog podpisany został przez KC SED. L. Turek od 1920 r. należał do Komunistycznej Partii Niemiec; jego talent pisarski rozwijał się równolegle z jego działalnością polityczną. W roku 1930 Ludwig Turek został członkiem Związku Pisarzy Proletariacko-Rewolucyjnych.

* * *

W Moskwie odbyło się przed kilku dniami międzynarodowe spotkanie pisarzy poświęcone tematowi „Historyczne doświadczenia II wojny światowej oraz odpowiedzialności pisarza za los swego narodu i ludzkości w warunkach odprężenia międzynarodowego". W spotkaniu uczestniczyło ponad 40 pisarzy z 28 państw Ameryki, Europy, Azji i Afryki.

Otwierając obrady Konstantin Simonow podkreślił, że spotkanie odbywa się w 30 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem, w roku, w którym podpisano historyczny Akt Końcowy KBWE w Helsinkach. „My pisarze nie jesteśmy wprawdzie działaczami politycznymi — powiedział Simonow — i nie podpisujemy dokumentów o bezpieczeństwie i współpracy, ale zgodnie ze swymi przekonaniami i w miarę naszych sił i talentu piszemy książki, które wpływają na kształtowanie świadomości szerokich rzesz czytelników. Mamy więc możliwość oddziaływania na moralny klimat epoki. Dlatego też odpowiedzialność każdego z nas jest tak wielka. Już sto lat temu wielki pisarz francuski Wiktor Hugo powiedział, że powszechny pokój na świecie jest celem nie tylko osiągalnym ale i koniecznym. Jeśli zgadzamy się z nim, a sądzę, że każdy kto uważa siebie za prawdziwego pisarza podziela jego zdanie, to staje przed nami pytanie: jak przyspieszyć ten pokój? Jak walczyć z tymi, którzy chcieliby ten proces opóźnić?".

W czasie trzydniowych obrad pisarze dyskutowali nad ich rolą we współczesnym społeczeństwie, znaczeniu literatury poświęconej ostatniej wojnie światowej, korzyściach wypływających z bezpośredniej wymiany poglądów.

„PRYWATNA PODRÓŻ" W TAJNEJ MISJI

Światową sensacją ostatnich tygodni jest opublikowanie tajnych dokumentów wykradzionych z ambasady RPA w Bonn oraz z różnych zachodnioniemieckich ministerstw. Dokumenty te, opublikowane w zachodnioeuropejskiej prasie, są obecnie w posiadaniu Narodowego Kongresu Afrykańskiego. Wynika z nich, że wojskowe i niektóre przemysłowe koła RFN współpracują z rasistowskim reżimem Republiki Południowej Afryki w dziedzinie rozwoju przemysłu jądrowego, z wykorzystaniem go dla celów wojskowych włącznie.

Główną rolę w tej aferze odegrał zachodnioniemiecki generał Günther Rall, przedstawiciel RFN w wojskowym komitecie NATO. Skandal wokół tej sprawy spowodował dymisję gen. Ralla w związku z jego oficjalną, ale utrzymywaną w tajemnicy, wizytą w RPA. Dymisja nastąpiła w ślad za rozlegającymi się w RFN żądaniami wyjaśnienia roli, jaką odegrał w tej sprawie minister obrony RFN, Georg Leber. Minister potwierdził wprawdzie, że wiedział o wizycie Ralla w RPA, ale oświadczył też, iż nie był we właściwy sposób informowany o „szczególnych okolicznościach" tajnego wojazu generała.

Opublikowane dokumenty wskazują wyraźnie, że RPA, zasobna w rudę uranu, dzięki pomocy niektórych zachodnioniemieckich firm, jest już faktycznie zdolna do wyprodukowania bomby jądrowej i rada by ją użyć do walki z narodowowyzwoleńczymi ruchami na kontynencie afrykańskim. W świetle faktów, które ujrzały światło dzienne po opublikowaniu tych dokumentów stało się jasne, iż współpraca monopoli RFN z Republiką Południowej Afryki ma stosunkowo długą historię.

Kiedy 16 października 1974 roku poseł SDP — Lenelotta Botmer, spytała podczas sesji Bundestagu, czy prawdą jest, że oficerowie Bundeswehry składają częste wizyty w RPA w charakterze osób oficjalnych, ówczesny sekretarz stanu, a obecny parlamentarny pełnomocnik do spraw obrony, Wilhelm Berkhan, odpowiedział: „Federalne Ministerstwo Obrony nie zna wypadku, żeby oficerowie Bundeswehry odbywali oficjalne podróże do RPA... Żaden wojskowy przedstawiciel nie wyjeżdżał do RPA w charakterze osoby oficjalnej". I dalej: „Żeby oficer Bundeswehry mógł wyjechać w charakterze osoby oficjalnej do Republiki Południowej Afryki, musi stanąć do raportu o wydanie mu służbowej delegacji. Decyzje w takiej sprawie podejmuje się wyłącznie na najwyższym szczeblu. Mogę pani już teraz powiedzieć, że takich decyzji nie wydawano".

Sekretarz stanu albo był źle poinformowany, albo minął się z prawdą. Albo w momencie, gdy składał to oświadczenie w Bundestagu, generał Bundeswehry Rall znajdował się już w RPA.

Republika Południowej Afryki już od dawna była zainteresowana w wizycie bardzo wpływowego gen. Ralla, pilota myśliwskiego z okresu II wojny światowej, odznaczonego Krzyżem Rycerskim z dębowymi liśćmi. Jak z opublikowanych dokumentów wynika, już w 1972 roku ambasador RPA w RFN, Saul, pisał: „Bardzo mi na tym zależy, żeby przyjechał właśnie Rall i nie tylko dlatego, że zajmuje on mocną pozycję w najwyższym dowództwie Bundeswehry, lecz także dlatego, że zostanie on, być może, następcą Steinhoffa w najwyższym dowództwie NATO. Sądzę, iż nawiązanie z nim kontaktu warte jest największych wysiłków".

Wysiłki te wydały owoce. Latem 1974 roku przedstawiciele RPA otrzymali potwierdzenie wizyty Ralla w dniach 5—25 października. Opracowano szczegółowy program pobytu generała w RPA, składający się z 75 punktów. Podróż i pobyt generała Ralla w RPA przebiegały w atmosferze „totalnego zamaskowania", wynikającego nie tylko z pragnienia ukrycia kontaktów wojskowych kół RFN z reżimem apartheidu. Były i inne powody. I łatwo je zrozumieć, mając przed oczami 53, 54, 55 i 56 punkty pobytu Ralla w RPA. Oto one: „17 października. 11.00 — przyjazd gości do ośrodka atomowego Palindaba... 11.30 — spotkanie z przewodniczącym agencji atomowej... 14.30 — zwiedzanie laboratorium"...

Zainteresowane osobistości w Republice Południowej Afryki były zadowolone z wyników wizyty generała. W listopadzie 1974 roku ambasador Saul donosił głównodowodzącemu sił zbrojnych RPA: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powrócił on (Rall) do Brukseli, jako całkowicie przekonany orędownik strategicznego znaczenia Republiki Południowej Afryki dla NATO... Wielokrotnie wypowiadał się za poparciem tej tezy zarówno prywatnie, jak i w kołach NATO w Brukseli oraz w kołach Ministerstwa Obrony w Bonn. Jeśli chodzi o Bonn, to tam oczywiście natrafiał na sprzeciw, uwarunkowany względami ideologicznymi, wywodzącymi się z rządzącej SPD".

Jak podaje londyński „The Observer", fakt tajnej współpracy z RPA w opracowywaniu wspólnego programu badań jądrowych próbują ukryć, poza Rallem, także niektórzy bońscy ministrowie. W końcu września br. Ministerstwo Spraw Zagranicznych RFN, w imieniu swego ministra, zaprzeczyło jakiemukolwiek udziałowi zachodnich Niemiec w tym programie. Jednakże, jak głosi jeden z opublikowanych tajnych dokumentów z datą 12 lipca 1972 roku, ówczesny sekretarz stanu Ministerstwa d.s Badań Naukowych i Technologii RFN, Haunschield, skierował do przewodniczącego południowoafrykańskiego Urzędu Energii Atomowej, dra Rouxa, poufne pisma, w którym mówi się o „środkach gwarantujących zachowanie w tajemnicy zachodnioniemieckiego udziału we wspólnych badaniach jądrowych". Cytowany dokument obala twierdzenia rządu RFN, jakoby oficjalne zachodnioniemieckie resorty nie miały z tym nic wspólnego.

Po opublikowaniu przez Afrykański Kongres Narodowy w Lusace tajnych dokumentów, w specjalnej 24-stronicowej broszurze, Bonn w dalszym ciągu zaprzeczał, iżby oficjalne zachodnioniemieckie osobistości wiedziały coś o współpracy z RPA w dziedzinie badań jądrowych, a wizytę Ralla przedstawił jako „prywatną".

Jednakże, jak tylko zachodnioniemieckie czasopismo „Stern" zamieściło informację o bliskiej publikacji wspomnianych tajnych dokumentów, Ministerstwo Obrony RFN oświadczyło natychmiast o dysmisji gen. Ralla, którą przyjęto biorąc pod uwagę okoliczność, iż „nie powiadomił on swojej władzy zwierzchniej o szczególnych okolicznościach wizyty w RPA".

W 1968 roku szef sztabu generalnego sił zbrojnych RPA, gen. H. Martin, stwierdził, że prace nad bronią rakietową są uwarunkowane faktem, iż RPA „jest w stanie produkować własną broń jądrową". Analogiczne oświadczenie złożył przewodniczący Urzędu d.s. Energii Atomowej RPA, dr Roux. Jego nazwisko przewija się także niejednokrotnie w informacjach o wzajemnych wymianach wizyt z oficjalnymi osobistościami zachodnioniemieckimi oraz przemysłowcami. W latach 1971 — 1972 brał on udział w rozmowach z ówczesnym sekretarzem stanu w Ministerstwie d.s. Badań Naukowych i Technologii RFN.

W sierpniu 1973 roku rząd RFN wypowiedział się przeciwko bezpośredniemu udziałowi w finansowaniu budowy w RPA fabryki wzbogacania uranu w drodze udzielenia kredytów eksportowych. Jednakże na miedzyministerialnej konferencji odbytej w Bonn we wrześniu 1973 roku, w której wzięli udział ministrowie do spraw badań naukowych, ekonomiki, spraw zagranicznych oraz przedstawiciel kancelarii kanclerza, sprawę tę załatwiono pozytywnie. Rozpoczęcie budowy fabryki wzbogacania uranu przewiduje się jeszcze w tym roku. W produkcji zastosuje się inny proces wzbogacania uranu, opracowany przez południowoafrykańskich uczonych, według nowej metody, zaproponowanej przez prof. Beckera, współpracownika państwowej kompanii „Gesellschaft für Kernforschung" w Karlsruhe (RFN). Fabryka ta, zgodnie z oświadczeniem RPA, może produkować wzbogacony uran zarówno dla celów pokojowych, jak i wojskowych.

Opublikowanie tajnych dokumentów wykradzionych z ambasady RPA w Bonn wprawiło zachodnioniemiecki rząd w wyraźne zakłopotanie. Ministrowie RFN niejednokrotnie występowali ze sprzecznymi oświadczeniami i zmieniali je w miarę, jak dowiadywali się nowych, nie znanych im dotąd faktów. Rozbieżności zwiększyły się jeszcze bardziej w związku z oświadczeniem Bonn, że przed udzieleniem licencji kompanii „Kraftwerkeunion" na wybudowanie reaktorów atomowych w RPA będą szczegółowo przestudiowane zarówno polityczne, jak i ekonomiczne aspekty współpracy z RPA w dziedzinie jądrowej.

Minister spraw zagranicznych RFN usiłował rozproszyć podejrzenia krajów afrykańskich wyrażone przez ich przedstawicieli na odbytej w Bonn konferencji Towarzystwa Łączności Afro-zachodnioniemieckiej, zorganizowanej z fundacji Friedricha Eberta. Złożył on solenne oświadczenie, że RFN ani bezpośrednio, ani pośrednio nie współpracuje z RPA w dziedzinie jądrowej. Jednakże nazajutrz przedstawiciel kanclerza, Klaus Boeling, wycofał swoje poprzednie oświadczenie i stwierdził, że „Kraftwerkeunion" poprosił już o oficjalne zezwolenie na eksport reaktorów atomowych do RPA. Usłyszawszy to jeden z przedstawicieli krajów afrykańskich na wspomnianą konferencję, min. handlu Botsany — Hoasitwe Cziepe powiedział: „Nasze zaufanie do RFN zostało poderwane...". „Południowa Afryka — uprzedził z kolei przedstawiciel Tanzanii, Sebetu — przeżywa przełomowy moment w walce wyzwoleńczej i stworzenie przemysłu jądrowego w RPA daje Pretorii, tak niezbędną dla niej broń do walki z powstańcami..."

O rozbieżnościach w rządzie RFN w tej całej sprawie świadczy wystąpienie ministra do spraw badań naukowych i technologii, Hansa Matthöfera, który powiedział, że aprobuje udzielenie licencji „Kraftwerkeunion" na budowę reaktorów atomowych w RPA. Jednakże „Kraftwerkeunion" jest tylko jedną z trzech zachodnioeuropejskich kompanii, ubiegających się o otrzymanie zamówienia od RPA. Konkurują z nią: francuska firma „Tramatom" i amerykańsko-szwedzkie konsorcjum, stworzone przez kompanie „General Motors" i „Braun-Bovery".

JERZY CZECH

GOSPODARCZY SZCZYT SZÓSTKI
KURSEM BRANDTA
MISJA WALDHEIMA

„Ford wypalił dwie fajki po kolei i z trudem powstrzymał ziewanie, podobnie kanclerz Schmidt, który palił papierosy jeden za drugim. Premier Moro mówił cichym, zmęczonym głosem i miał zaczerwienione z braku snu oczy, podobnie, jak Ford i Schmidt. Premier Miki też wyglądał na zmęczonego. Jedynie 49-letni Valery Giscard d'Estaing wyglądał tak, jakby trzydniowy szczyt w Rambouillet nie przyniósł uszczerbku jego dobrej na ogół formie".

Taką relacją korespondent AP kwituje **finał zachodniego szczytu gospodarczego z udziałem sześciu największych krajów.** W rzeczywistości rozmowy te zakończyły się opublikowaniem wspólnej deklaracji, w której przywódcy sześciu krajów zobowiązują się do szybkiego i zdecydowanego przezwyciężenia recesji gospodarczej, zredukowania bezrobocia i pohamowania inflacji. Zapowiadają także zwiększenie handlu z krajami socjalistycznymi i stworzenie lepszych warunków rozwoju krajom trzeciego świata.

Większość komentatorów zachodnich uważa, że deklaracja z Rambouillet wyróżnia się kwiecistą retoryką i entuzjazmem, choć w **istocie szefowie USA, W. Brytanii, Francji, RFN, Włoch i Japonii,** a więc krajów, które realizują połowę handlu światowego, ale mają jednocześnie 12 milionów bezrobotnych, **nie osiągnęli niczego istotnego.** Być może zapoczątkuje ona lepszą współpracę, ale jej program jest „świadomie mglisty". Co jest wart — może okazać się dopiero za rok lub dwa, chodzi bowiem nie o słowa, a praktykę. A z tą, wobec rozbieżności interesów, może być różnie.

Stąd sceptycyzm co do rezultatów gospodarczego szczytu, wyrażony przez komentatora Reutera słowami: „światowej recesji nie da się cofnąć przy pomocy weekendowej pogawędki przy kominku w Rambouillet".

* * *

Za inny, zasługujący na uwagę temat ostatnich dni można uznać **ponowny wybór Willy Brandta przewodniczącym SPD.** I to przytłaczającą większością głosów. Jednym z dwóch zastępców przewodniczącego został kanclerz Schmidt. Tak więc na 11 miesięcy przed wyborami parlamentarnymi w RFN polityka rządowa otrzymała jednoznaczne wsparcie.

Socjaldemokraci zachodnioniemieccy uznali jednocześnie chadecję za niezdolną do sprawowania rządów, gdyż jej program stanowi zagrożenie bezpieczeństwa republiki zarówno w dziedzinie zewnętrznej, jak i wewnętrznej. **SPD wypowiada się za konsekwentym realizowaniem polityki odprężenia,** która powinna przejawiać się w poszanowaniu porozumień z krajami Europy Wschodniej. Odnosi się to również do ostatnich porozumień z Polską, które Brandt określił jako, przełom dokonany z myślą o przyszłości, gdyż nie może ona być więcej obciążona przeszłością". Siły reakcji chcą zawrócić koło historii, a przewodniczący obu partii chadeckich w związku z porozumieniami warszawskimi prowadzą po prostu „żałosną grę".

Ze zjazdu SPD w Manheim wyprowadzić można wniosek, iż **partia ta zaleca rządowi prowadzenie polityki zagranicznej ściśle kursem, wytyczonym przez Brandta i Scheela.**

* * *

Z wydarzeń na kontynencie europejskim odnotujmy jeszcze **śmierć gen. Franco** z wszystkimi jej politycznymi następstwami dla Hiszpanii oraz **nowe komplikacje w sytuacji politycznej Portugalii,** spowodowane pogłębieniem się rozbieżności w wojsku, a także **wizytę sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Portugalii — Alvaro Cunhala w Polsce,** w toku której m. in. oceniono pozytywnie rozwój stosunków i współpracy polsko-portugalskiej, jaki nastąpił od czasu nawiązania stosunków dyplomatycznych.

Z obszaru zaś pozaeuropejskiego zwróćmy uwagę na wciąż toczącą się **wojnę w liczącej zaledwie kilkanaście dni Ludowej Republice Angoli.** Wojnę narzuconą przez dwie separatystyczne organizacje, po stronie których walczą obcy najemnicy. Celem obcej ingerencji zbrojnej jest zdławienie wolnej Angoli i stworzenie warunków do neokolonialistycznej penetracji w tym kraju.

Odnotujmy także **podróż sekretarza generalnego ONZ — K. Waldeheima na Bliski Wschód** — z najtrudniejszą, a pewnie najważniejszą w jego dotychczasowej karierze misją. Jej celem jest przyspieszenie rozwiązań pokojowych. Złudzenie, że wrześniowe porozumienie synajskie między Egiptem a Izraelem może być punktem zwrotnym dla rozwoju sytuacji w tym rejonie rozwiewa się z każdym dniem .Tymczasem szybko zbliża się termin (1 grudnia) debaty bliskowschodniej w Zgromadzeniu Ogólnym NZ. Z całą mocą **staje więc znów sprawa wznowienia konferencji genewskiej,** co nieustannie proponuje Związek Radziecki. Oczywiście, taka konferencja musi zgromadzić wszystkich zainteresowanych i to na zasadach równoprawnych.

W. SŁAWSKI

TEATR

URSZULA ASZYK-MILEWSKA

HENRYKA TOMASZEWSKIEGO „SEN NOCY LETNIEJ"

Twórczość teatralna Henryka Tomaszewskiego dobrze znana jest łódzkiej publiczności. Kolejne wizyty Wrocławskiego Teatru Pantomimy wzbudzały w Łodzi zawsze ogromne zainteresowanie. Od czasu występu tego Teatru z „Wejściem w labirynt" niezmiennie poświadczała to zainteresowanie przepełniona widownia. Tak było przed rokiem, gdy Tomaszewski prezentował Łodzi „Przyjeżdżam jutro", tak było i wcześniej, gdy oglądaliśmy „Ogród miłości", „Gilgamessa", „Odejście Fausta", „Sen nocy listopadowej", „Menażerię cesarzowej Filissy". Działalność Henryka Tomaszewskiego nie ogranicza się jednak wyłącznie do pracy w Teatrze Pantomimy. Współpracował on z wieloma scenami muzycznymi i dramatycznymi w Polsce i za granicą. Przypomnijmy choćby głośne w naszym kraju prapremierowe wystawienie sztuki Weissa „Męczeństwo i śmierć Jean — Paul Marata" w Teatrze Polskim w Poznaniu; dyskutowaną szeroko inscenizację „Leonce i Lena" Büchnera w Teatrze im. Wiercińskiego we Wrocławiu; „Protesilasa i Laodamię" Wyspiańskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu i w tymże teatrze — „Grę w zabijanego" Ionesco. Od trzech lat bacznie obserwuje się współpracę H. Tomaszewskiego z Teatrem im. C. Norwida w Jeleniej Górze, gdzie inscenizował on „Legendę" Wyspiańskiego, „Peer Gynta" Strindberga, a tegoroczny sezon otworzył realizacją „Snu nocy letniej" Szekspira. Tę ostatnią inscenizację warto odnotować, jako ciekawą propozycję artystyczną, a dla nas dodatkowo ważną, bowiem na scenie jeleniogórskiej obok aktorów związanych od dłuższego czasu z zespołem tego teatru wystąpili studenci łódzkiej PWSFTViT.

Wobec pasji H. Tomaszewskiego ujawnianych w działalności Teatru Pantomimy — wystawienie „Snu nocy letniej" Szekspira jest czymś zupełnie oczywistym. Wydaje się, że ta właśnie komedia ze względu na swą budowę i tematykę, pozwalającą na wielorakie interpretacje, stwarzającą ponadto wyjątkowo rozległe możliwości dla działań plastyczno-ruchowych — jest utworem, który w twórczości Tomaszewskiego musiał się pojawić. — W jakim kierunku mogły pójść poszukiwania Tomaszewskiego w pracy inscenizacyjnej nad „Snem nocy letniej"? — To pytanie nasuwało się uparcie przed premierą. Przypominały się w tym momencie żywe wciąż wrażenia ze Starego Teatru w Krakowie, gdzie przed kilku laty Konrad Swinarski wystawił „Sen" poruszając widzów wizją plastyczną i przekonując zarazem, że sztuka Szekspira, to nie tylko komedia — pogodna bajka pełna elfów, zakoń na szczęśliwymi zaślubinami, szczęśliwym rozwiązaniem fantastycznego snu. Była to inscenizacja, w której wyjątkowo jaskrawo zarysowała się problematyka polityczna i społeczna, było to także przedstawienie, w którym biologia i seks wyostrzały kształty rzeczywistości. Inscenizację Swinarskiego porównywano wielokrotnie z głośną, oglądaną w Polsce przed trzema laty realizacją Petera Brooka, który dokonał powiązania wszystkich planów dramatycznych klamrą snu, jaki śnią w przededniu ślubu Tezeusz i Hipolita. Był to sen erotyczny, chwilami brutalny, żywiołowy i poetycki zarazem. „Sen nocy letniej" H. Tomaszewskiego jest inny od przypomnianych tu mimowolnie dwóch inscenizacji.

W widowisku Tomaszewskiego istnieje wyraźny rozdział między światem ziemskim, a rzeczywistością fantastyczną. Zainteresowanie i sympatia reżysera zdecydowanie skupiły się na tym drugim planie. Sprawiedliwie jednak obdzielił on jeden i drugi świat świetnie zaprojektowanymi przez K. Wiśniaka kostiumami, sprawiedliwie tenże scenograf stworzył na scenie takie same warunki architektoniczno-plastyczne dla scen dworskich i scen w lesie ateńskim. W głębi sceny zbudowana została prosta konstrukcja z prętów i schodów. W scenie dworskiej jest ona wielkim łożem, przyozdobiona potem palmami staje się lasem i łożem Tytanii. Barwa oświetlenia — żółte dla świata realnego, zielone dla ateńskiego lasu; rodzaj muzyki — Haendel dla scen dworskich, muzyka do filmu „Egzorcysta" dla scen w lesie ateńskim — oto sprawiedliwe obdzielenie obydwu światów i słuszne ich zróżnicowanie. Ale na tym kończy si sprawiedliwość inscenizatora. Swiat realny jest właściwie nijaki i martwy. Dla książęcej pary — Tezeusza i Hipolity reżyser nie ma serca, nie dba o te postaci. Mało interesująco buduje również sceny z rzemieślnikami, jakby nie przejmując się, że publiczność będzie oczekiwała tej okazji do zabawy i śmiechu. W konsekwencji przedstawienie rzemieślników jest mało istotne, bawią raczej w kwestie zapisane przez Szekspira, nie zaś aktorskie działania i pomysły reżysera. Taki stosunek do świata ziemskiego eliminuje niemal całkowicie problem polityczny i społeczny wynikający ze zderzenia książęcego dworu z trupą rzemieślników. Widz nie wychodzi jednakże z przedstawienia Tomaszewskiego znudzony. Wychodzi ostatecznie rozbawiony i oczarowany wizją lasu ateńskiego, świata elfów, obrazem królestw Oberona i Tytanii. — Tu dopiero zaczęła żyć scena, pulsować barwami i dźwiękami, fascynować ruchem, tu zaczęła się zabawa dla aktora i dla widza, tu dopiero poprzez metaforę i symbol mówi się ogromnie dużo o człowieku i rzeczywistości realnej. W inscenizacji „Snu" widoczne jest konsekwentne trzymanie się reżysera wcześniej przyjętych założeń teoretyczno-estetycznych. Tomaszewski — jak sam powiedział w jednym z wywiadów — dąży w twórczości teatralnej do integracji „pantomimy i tekstu, ruchu i słowa". Ruch jest dla Tomaszewskiego „afirmacją życia" i dlatego — jak sam powiada — przez ruch stara się budować swój teatr. W „Śnie nocy letniej" ruch osiąga mistrzowskie wyżyny w scenach w gaju ateńskim. Działania pantomimiczne przeradzają się tu w niezwykły balet, gdy Puk z rozkazu Oberona przyrządza magiczny balsam i później, gdy Puk odkrywa swoją pomyłkę, podobnie — w scenie, w której Tytania odkrywa swoją miłość do Osła — Spodka. Aktorzy, zwłaszcza Janina Jankowska w roli Tytanii, Jerzy Góralczyk w roli Puka a także Maciej Staszewski grający Oberona — wzbudzają podziw poziomem warsztatu aktorskiego, sprawnością ciała, umiejętnościami pantomimiczno-tanecznymi, świetną przy tym interpretacją słowa. Las ateński w realizacji Tomaszewskiego jest miejscem wszechpanującego erotyzmu. Pożądanie determinuje działania wszystkich postaci leśnych, nie omija również kochanków pozostających na granicy świata realnego i fantastycznego. Ucieczki i pogonie Hermii (Małgorzata Mreła) i Lizandra (Stanisław Raczkiewicz), Heleny (Maria Maj) i Demetriusza (Wiesław Sławik) — motywują się nie tylko niewinnym uczuciem. Nie ma jednakże w ich poczynaniach jakiejkolwiek trywializacji czy wulgarności o co rzecz prosta najłatwiej. Tomaszewski uchronił świat sceniczny od tego niebezpieczeństwa. Autentyczna młodość zespołu jeleniogórskiego przydaje temu światu wdzięku. Nie rażą często i znacznie odsłaniane ciała. Wszystko tłumaczy się zabawą — fantastyczną, wesołą i dowcipną, urzekającą pomysłowością inscenizatora, porywającą widza tak dalece, że gdy następuje ostatnia scena komedii — scena na dworze księcia Tezeusza, marzy się ucieczka ze świata porządku i ładu i powrót w fantastyczne knieje lasu ateńskiego.

LITERATURA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

CZY WARTO BYĆ KLASYKIEM?

Etaty klasyków literatury polskiej są u nas bardzo dobrze obsadzone, ale — przynajmniej ostatnio — do przyjemnych nie należą Czy może się komu przytrafić pech w życiu pozagrobowym? Już samo pytanie wydaje się pozbawione sensu a jednak taki pech da się bez trudu wykryć w przypadku Stefana Żeromskiego Obchodzimy właśnie pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci, rocznicę pisarza z pewnością najbardziej radykalnego w swoim pokoleniu i mocno zaangażowanego w próby rozwiązania polskiego dramatu politycznego i społecznego

Nie doczekaliśmy się — co prawda — przy tej okazji jakiejś skromnej edycji, zawierającej chociażby tylko najbardziej świeże, czytane i dzisiaj utwory Żeromskiego, co można od biedy tłumaczyć światowym kryzysem papierowym W końcu mieć swój skromny udział w powszechnym kryzysie to już jest coś Film polski jednakże takiego kryzysu nie przeżywa tylko inny, mógł więc pozwolić sobie, aż na dwie adaptacje powieści Żeromskiego — „Dziejów grzechu" i „Ludzi bezdomnych", opatrzonych lepszym, jak się zapewne adaptatorowi wydawało tytułem — „Doktor Judym". Może dlatego, że u nas co drugi to już doktor?

Wydawać by się mogło, że takie dwa grzybki w barszcz to wcale godne uczczenie pamięci pisarza Nie łudźmy się jednak, pisarzowi wymierzono za grobem dwa potężne ciosy. I jak tu nie mówić o pechu i ciężkim doprawdy losie klasyka?

Kiedy ukazały się drukiem „Dzieje grzechu" — wybuchła prawdziwa burza, a temperatura dyskusji osiągnęła stan wrzenia, uformowały się dobrze ufortyfikowane obozy zwolenników i przeciwników Cóż zresztą się dziwić, powieść była szokująca, atakowała normy moralne tamtego czasu z odwagą i ostrością w naszej nieco purytańskiej literaturze dotąd nie znaną, budziła wielkie zachwyty i namiętne sprzeciwy. Pisarz żył chyba w tym okresie jedną nogą w niebie, drugą w piekle. Powieść powodowała także oczywiste nieporozumienia i to pośród najwybitniejszych przedstawicieli pióra.

W marcu roku 1908 pisała Orzeszkowa do Reymonta:

„Ale przeczytałam w dniach ostatnich „Dzieje grzechu". Czy Pan to już zna? Wiele dałabym za to, aby wiedzieć, jakie jest o tem zdanie Pana. Moje brzmi tak: aj-aj-aj-aj! oj-oj-oj-oj! Szkoda, szkoda, szkoda! Ratujcie! talent wielki od rozkładu, społeczeństwo czytające od zatrucia ratujcie! Może to moje staroświeckie upodobania tak przemawiają. Może to nie jest dekadencja literatury, ale mojego umysłu. Więc też nikomu o tem nie mówię, Panu jednemu powiedziałam i niech Pan to w sekrecie zachowa".

Warto w sekrecie dodać, że z tym sekretem było trochę nie tak, Orzeszkowa — na co wskazuje lektura jej listów — nie tylko do Reymonta żaliła się na Żeromskiego prosząc o ścisłą dyskrecję. W miesiąc później otrzymała odpowiedź autora „Ziemi obiecanej".

„Pytała Pani, co myślę o „Dziejach grzechu". Powiem Pani otwarcie i szczerze: Jako dzieło sztuki — żadne, jako pewien czyn społeczny — plugawe i złe w najgorszem tego słowa znaczeniu, a przytem — i to może najgorsze — to wszystko po stokroć nieprawda!. Wszystko w tej książce jest zdechłe przed urodzeniem i śmierdzi — a usiłuje udawać życie. Nie ma tam ani jednej żywej duszy! I z błota można lepić arcydzieła, materiał w sztuce nie gra żadnej roli, ale nie można nic uczynić z niczego. Kolosalny wysiłek, a rezultat?... Nie rozumiem Żeromskiego! Nie rozumiem powodów napisania takiej książki".

Tyle Reymont. Można by powiedzieć tak: skoro nie zrozumiał „Dziejów grzechu" Reymont czy Orzeszkowa, czegóż wymagać od wczesnych wnuków zajmujących się dzisiaj filmem? Podejrzewam, że w ten właśnie sposób usprawiedliwili się twórcy adaptacji i zrozumieli jeszcze mniej. Skromność godna — być może — uznania, a rezultat nagany z wpisaniem na wieczność do akt.

Proszę sobie wyobrazić przez chwilę taką sytuację — na projekcji filmu „Dzieje grzechu" pojawiają się Władysław Reymont i Eliza Orzeszkowa z parasolką. **Cóż by się stało już — jak sądzę — w pierwszej części filmu?** Laureat Nagrody Nobla z pewnością wywołałby realizatorów przed kurtynę, po czym autorka „Marty" wyjechałaby na grzbietach twórców dzieła używając parasolki niezależnie od pogody. Bo też w filmie mało co z Żeromskiego pozostało. Nie ma dramatu kobiety w społecznym wymiarze, jako rezultatu stosunków tamtego czasu, jest natomiast bardzo dużo — jak to się dzisiaj fachowo powiada — seksu, pięknie stopniowanego, jeśli mówić o pozycjach i sytuacjach. Nie jestem pewien, czy Żeromski był aż takim fachowcem. Zaangażowanie studentki w roli tytułowej, pomijając uznanie dla naszej młodzieży, stanowi moment pikantny chociażby ze względów dydaktyczno-wychowawczych.

No tak, ale para znakomitych pisarzy na film przyjść nie może, nawet w towarzystwie autora powieści. Umarli są bezradni wobec żywych, żywi — niestety — dowolnie traktują szacownych zmarłych, mają swoją ich wizję. Ta nieco smutna prawda potwierdziła się z całą wyrazistością w przypadku „Ludzi bezdomnych", występujących w adaptacji filmowej pod szyldem „Doktora Judyma" Realizatorzy filmu nie zapomnieli o Żeromskim, jako poniekąd specjaliście od... tych rzeczy. Dlatego chyba znajdujemy w filmie sceny, których w książce nie ma — trochę miłości, tym razem lesbijskiej, a także obłapki w łaźni pewnie miejskiej. Realizatorzy zapamiętali jednak, może ze szkoły, a może szkolenia, że Żeromski szedł wyraźnie na lewo i skłaniał się ku rewolucji. Co tam zresztą skłaniał się — był rewolucjonistą! Nie wszyscy jednak twórcy filmu zgodzili się na doktora Judyma — rewolucjonistę. Jan Englert, zazwyczaj świetny, grał tę rolę trochę niemrawo i bez przekonania. Być może dlatego, że jest młody i więcej Żeromskiego ze szkoły zapamiętał.

Adaptacja filmowa rządzi się swoimi prawami, trudno przeciw temu protestować. Są to chociażby prawa zezwalające na wybór określonych wątków głównych, nie wszystkie bowiem — tak to bywa — mogą się w filmie pomieścić. Te prawa upoważniają także nawet do wyostrzenia rysunku bohatera, aby bardziej był wyrazisty. Tak właśnie postępowali twórcy „Ziemi obiecanej", czy też „Nocy i dni", natomiast realizatorzy „Doktora Judyma" tych praw chyba nadużyli. Przecież to nie jest pouczające, ani nawet zabawne przedstawiać samotnego w gruncie rzeczy lekarza jako konspiratora roznoszącego ulotki, organizatora partyjnej techniki, powiązanego więc z określonymi siłami społecznymi. Takiego Judyma Żeromskiego nam nie pozostawił i miał rację, w końcu akcja powieści toczy się ładnych parę lat przed wydarzeniami rewolucyjnymi z roku 1905. Całe pokolenia wychowywano u nas na swoistej polemice z samotnością Judyma, a tu masz ci los! Oglądamy Judyma kolektywnego.

W tej sytuacji trzeba przyznać, że Żeromski uczynił słusznie nie mówiąc słów — i moje będzie za grobem zwycięstwo Nie wspominał także o pechu, czemu się dziwić trudno, nikt bowiem nie mógł przewidzieć praktyk niektórych naszych adaptatorów, nie może przewidzieć nawet dzisiaj.

Współczesny film bez adaptacji obejść się nie może, musi żywić się literaturą, ale przecież nie w ten sposób, żeby publiczność kinowa dostawała niestrawności. Bądźmy wszakże sprawiedliwi — małżeństwa książki z filmem bywają często bardzo szczęśliwe, przynoszą obu partnerom zadowolenie, ale to wtedy, gdy obie strony szanują swoje indywidualności — mąż nie pozbawia żony rozumu, a żona nie ucina najpierw mężowi głowy i dopiero po ścieciu pozwala mu na kieliszek wódki z kolegami. Te małżeństwa są — co więcej — konieczne, film powinien popularyzować dobrą literaturę, ona zaś gwarantować znaczącą problematykę i poziom filmu Nie jeden raz tak bywało, wiele światowej sławy filmów w ten sposób powstało, że przypomnę stare — „Przeminęło z wiatrem", „Wojnę i pokój", czy „Annę Kareninę", adaptowaną przez szereg wytwórni, łącznie z naszymi adaptacjami — „Brzeziną", „Popiołem i diamentem", „Ziemią obiecaną" czy ostatnio „Nocami i dniami".

To pewne, że z czasem rozwinie się u nas nowa specjalność — dramaturg filmowy, autor specjalnie pisanego scenariusza. Jest ich już kilku, ale nawet kiedy ich będzie znacznie więcej o rozwodzie pomiędzy książką i filmem mówić nie należy Tak jak nie należy mówić o dezintegracji sztuk, lecz ich wzajemnych związkach i łączeniu.

Ludowe wycinanki artystyczne

MARIAN LELONEK JAN JUSZCZYK

KUŹNIA KADR

Model dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej, o którym społeczeństwo wie już stosunkowo dużo, został pomyślany pod kątem przygotowania młodego pokolenia do ustawicznego kształcenia się. Koncepcja ta pociąga za sobą także konieczność ustawicznego kształcenia nauczycieli. Problem ów dostrzegło Ministerstwo Oświaty i Wychowania i z odpowiednim wyprzedzeniem przygotowało podstawy organizacyjne i materialne do realizacji tego zamierzenia. W tym celu powołany został Instytut Kształcenia Nauczycieli w Warszawie jako ogniwo centralne oraz jego oddziały terenowe tj. Instytuty Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych.

IKNiBO w Łodzi obejmuje obecnie swoją działalnością województwo piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie. Jako placówka dydaktyczno-naukowa **spełnia funkcję kształcenia i doskonalenia zawodowego nauczycieli oraz innych pracowników szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, podejmuje i realizuje prace badawcze, wykonuje ekspertyzy i analizy wynikające z wieloletnich i okresowych planów badań resortowych instytutów naukowych podległych Ministrowi Oświaty i Wychowania, stara się jak najściślej współdziałać z Kuratoriami Oświaty i Wychowania w Piotrkowie Trybunalskim, Sieradzu i Skierniewicach.**

IKNiBO rozwija i organizuje, zgodnie z założeniami statutowymi, działalność dydaktyczną (to jego podstawowa funkcja), naukową oraz wydawniczo-informacyjną i organizacyjną; nad każdą z wymienionych tu form działalności sprawuje merytoryczny nadzór Instytut Kształcenia Nauczycieli w Warszawie.

W działalności swojej IKNiBO zmierza do realizacji dwóch pierwszoplanowych celów: przygotowania określonych grup nauczycieli do podjęcia przez nich nowych zadań w zreformowanej szkole oraz do przygotowania, na podstawie podjętych badań, wniosków, postulatów i propozycji, które byłyby przydatne dla teorii i praktyki pedagogicznej w nowym systemie edukacji. Dlatego też początkowo okres IKNiBO (III — VIII 1973 r.) charakteryzował się podjęciem takich prac, jak recenzje i opinie „Założeń organizacyjno-programowych reformy systemu kształcenia i doskonalenia nauczycieli", „Zasad doskonalenia przedmiotowo-metodycznego nauczycieli" (prace zlecone przez IKN). W tym okresie pracownicy IKNiBO prowadzili także badania nad eksperymentalnym podręcznikiem fizyki dla ucznia w klasie VI i VII, badali funkcjonowanie programu higieny w klasach III i IV liceum ogólnokształcącego, przygotowali projekt programu przyrodoznawstwa, współdziałając w pracach nad nim z Instytutem Programów Szkolnych w Warszawie, przeprowadzili badania sondażowe nowo zorganizowanych zbiorczych szkół gminnych w byłym woj. łódzkim.

IKNiBO, podobnie jak wszystkie inne oddziały terenowe Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie, aktywnie uczestniczy w wykonywaniu zadań wynikających z przeprowadzanej reformy, organizując doskonalenia nauczycieli oraz kadry kierowniczej. Dla wykonania nowych zadań wynikających z bieżących i prespektywicznych potrzeb oświaty, IKNiBO zorganizowało i przeprowadziło kursy specjalne dla nauczycieli z takich dziedzin, jak: wychowanie w rodzinie, kursy dla nauczycieli wdrażających jednolity system wychowawczy, kursy powszechnego samokształcenia dyrektorów i inne. W roku szkolnym 1974/75 ukończyło je 670 osób.

IKNiBO doskonali również nauczycieli na studiach przedmiotowo-metodycznych, którzy posiadają średnie i pomaturalne wykształcenie, lecz nie podlegają obowiązkowemu dokształcaniu w zakresie studiów wyższych i są zatrudnieni w niższych klasach szkoły podstawowej. Nauczyciele ci przewidziani są do dalszego zatrudnienia w klasach I—III oraz IV—V dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej lub w klasach zawodowych, organizowanych po VI klasie dziesięcioletniej szkoły oraz w innych placówkach oświatowo-wychowawczych. IKNiBO w Łodzi zorganizował i przeprowadził pięć takich studiów z języka polskiego, bibliotekoznawstwa, nauczania początkowego, pedagogiki przedszkolnej i wychowania technicznego. Ukończyło je 141 nauczycieli.

Poważne zadania do spełnienia ma Instytut w zakresie przygotowania nauczycieli do podjęcia przez nich studiów wyższych na wszystkich kierunkach kształcenia. Zadania te są realizowane na kursach przygotowawczych. IKNiBO w Łodzi skierowało na studia wyższe w latach 1973 — 1975 około 3000 nauczycieli. Plan dokształcania dla byłego woj. łódzkiego przewidywał do roku 1983 dokształcenie 11000 osób.

Nauczyciele z b. woj. łódzkiego skierowani na studia wykorzystują już nową wiedzę zdobywaną w uczelni. Jest to ogromna korzyść dla oświaty, dla szkoły i dla samego nauczyciela — studenta.

Wymienione rodzaje działalności dydaktycznej IKNiBO nie wyczerpują całego zakresu. Wyliczyć bowiem należy jeszcze inne formy działalności, mianowicie seminaria i konferencje dla wizytatorów, metodyków przedmiotowych, dla dyrektorów szkół zawodowych, konsultacje z przedmiotów objętych programem NURT.

Dotychczasowa działalność NURT i konfrontacja jego założeń organizacyjno-programowych oraz form przekazu radiowo-telewizyjnego treści programu z rzeczywistością pozwalają ocenić tę formę dokształcania i doskonalenia jako efektywną zarówno z punktu widzenia zawodowego jak i społeczno-politycznego. Treści zawarte w programie NURT są organicznie związane z programem studiów przedmiotowo-metodycznych, a to zadecydowało przede wszystkim o profilu odbiorców programu NURT i jego powodzeniu. IKNiBO przeprowadził i zorganizował w styczniu — marcu 1975 r. egzaminy z przedmiotów NURT; egzamin złożyło 1432 osoby, w tym 542 z kadry kierowniczej.

W latach 1973—1975 pracownicy IKNiBO opublikowali kilkadziesiąt artykułów naukowych i publicystycznych, doniesień i informacji. Niektórzy z nich mogą się także poszczycić współautorstwem podręczników. Kilka pozycji książkowych złożono w wydawnictwach.

Działalność organizacyjna IKNiBO, choć nie jest to jego podstawową funkcją, stanowi jednak ważny element. Dzięki niej bowiem mogą sprawnie funkcjonować zarówno kursy i studia przedmiotowo-metodyczne, ich baza dydaktyczno-socjalna, a także poszczególne jednostki organizacyjne IKNiBO. Stałą bazą dydaktyczną IKNiBO jest Ośrodek Kształcenia Kadr Oświatowych w Łowiczu. W Ośrodku znajdują się sale wykładowe, biblioteka, hotel, klub i zaplecze gospodarcze. Działalność wydawnicza IKNiBO służy upowszechnieniu wyników badań oraz doświadczeń z pracy dydaktycznej oraz wychowawczej zarówno pracowników Instytutu, jak i nauczycieli. Głównym celem działalności edytorskiej IKNiBO jest wydawanie druków do użytku kadry pedagogicznej trzech województw, stanowiących obszar działania Instytutu.

W świetle Tez na VII Zjazd PZPR zwiększą się w najbliższym okresie zadania szkoły jako podstawowego ogniwa oświaty i jej rola w kształceniu i wychowaniu dzieci i młodzieży. Zwiększą się również zadania Instytutu — sojusznika szkoły i nauczyciela. Doskonalenie i dokształcanie nauczycieli, ścisła współpraca z Uniwersytetem Łódzkim, z nowymi kuratoriami oświaty i wychowania, zwłaszcza z wizytatorami — metodykami przedmiotowymi, z oddziałami ZNP, bezpośrednie kontakty z dyrekcjami szkół, a nawet poszczególnymi nauczycielami — oto płaszczyzny działania i współdziałania IKNiBO z najbliższymi mu instytucjami.

Podstawowym czynnikiem w osiągnięciu zgodności założeń z rzeczywistymi efektami reformy szkolnictwa jest nauczyciel, świadomy swych rozległych zadań i umiejący im sprostać. Wychodząc naprzeciw tym ogólnym potrzebom Instytut będzie dążył do podnoszenia jakości swojej działalności we wszystkich dziedzinach określonych statutem, tj. dydaktycznej, naukowej, wydawniczo-informacyjnej i organizacyjnej.

Główną tematyką badawczą jest problematyka kadr pedagogicznych, ich doboru, kwalifikacji, kształcenia i doskonalenia oraz niektóre problemy należące do zakresu ogólnej i szczegółowej teorii wychowania i nauczania. W zakresie działalności dydaktycznej IKNiBO w bieżącym roku szkolnym prowadzić będzie sześć studiów przedmiotowo-metodycznych.

Studia przedmiotowo-metodyczne są nową formą doskonalenia nauczycieli. Programy tych studiów obejmują: wiedzę z dyscyplin społeczno-filozoficznych i pedagogicznych zgodnie z programem NURT, wiedzę z dyscyplin kierunkowych dostosowaną do wymagań programowych dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej oraz informacje o rozwoju badań w obrębie tych dyscyplin, wybrane zagadnienia z dydaktyk szczegółowych, praktyczną naukę posługiwania się technicznymi środkami nauczania.

Reforma systemu oświaty wymaga przygotowania określonych grup nauczycieli i wychowawców dla realizacji bieżącej polityki oświatowej w szkolnym procesie dydaktyczno-wychowawczym oraz do efektywnego spełniania przez nauczycieli i wychowawców określonych funkcji w zawodzie. W tym celu dla nauczycieli i wychowawców są organizowane kursy specjalne, zgodnie z potrzebami Ministerstwa i kuratoriów. Kursy specjalne umożliwiają zdobycie nowych kwalifikacji, jakich nie mogliby zdobyć studiując na wyższych uczelniach, ponieważ uczelnie takich specjalności nie prowadziły w swoich programach nauczania. Ukończenie kursu specjalnego nie zwalnia nauczyciela od uczestnictwa w obowiązkowych formach doskonalenia, tzn. w studiach przedmiotowo-metodycznych lub studiach podyplomowych. W roku szkolnym 1975/76 IKNiBO będzie prowadził kursy specjalne m. in. z metodyki pracy z ZHP dla nauczycieli nieetatowych instruktorów, metodyki wychowania w rodzinie, powszechne samokształcenie dyrektorów, system wychowawczy. W sumie będzie tych kursów 14 dla 1012 osób z trzech wspomnianych województw.

Generalne założenia polityki kadrowej w oświacie są powszechnie znane: wykształcić potrzebną ilość wysoko wykwalifikowanych kadr dla szkolnictwa. Jest to podstawowy warunek powodzenia przygotowywanej reformy szkolnej, co zostało dobitnie podkreślone w Tezach na VII Zjazd PZPR, a mianowicie: **„Zreformowana i upowszechniona szkoła średnia powinna zapewnić jedność procesu kształcenia i wychowania oraz związek teorii z praktyką, tworząc podstawy dla ustawicznego kształcenia".**

Stąd też na czoło spraw związanych z realizacją tej polityki wysuwa się, jak powiedział minister Oświaty i Wychowania, Jerzy Kuberski „problem terminowego wykonania planów kształcenia i dokształcania nauczycieli oraz nie mniej ważny problem zachowania w kształceniu odpowiednich proporcji specjalistycznych". To znaczy, że trzeba będzie kształcić w stosunku do potrzeb szkoły odpowiednią liczbę polonistów, matematyków, fizyków itd. Nieprzestrzeganie tej zasady mogłoby doprowadzić do sytuacji, w której mielibyśmy w szkolnictwie wymaganą liczbę nauczycieli z wyższymi studiami i pod względem formalnym wykonane byłyby zadania postawione, a jednocześnie mogłoby się zdarzyć, że uczyliby w szkołach w poszczególnych przedmiotach nauczyciele nie zawsze w pełni wykwalifikowani.

Dlatego właśnie zachowanie odpowiednich proporcji w liczbie przyjmowanych kandydatów na poszczególne kierunki studiów zaocznych jest jedną z podstawowych zasad polityki kadrowej. Sprawa jest ważna, a jednocześnie trudna. Wiadomo bowiem, że największym powodzeniem cieszą się kierunki humanistyczne. Prawdą jest również i to, że na kierunkach matematyczno-przyrodniczych notuje się najwyższy procent odsiewu. W związku z powyższym zagadnieniem nasuwają się zatem ogólne wnioski dla pracy IKNiBO, które należy szczegółowo opracować tj. przeprowadzić dokładną analizę kadry pedagogicznej wg nowego podziału administracyjnego, opracować szczegółowy plan dokształcania nauczycieli na najbliższe lata uwzględniając potrzeby terenu (gminna szkoła zbiorcza), możliwość nauczyciela, należy również opracować różne formy pomocy nauczycielom już studiującym, przede wszystkim na kierunkach matematyczno-przyrodniczych. Dokładne opracowanie tych zagadnień powinno dać odpowiedź na pytanie: jaki jest stan przygotowania kadry pedagogicznej w poszczególnych województwach (piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim) do kształcenia dzieci i młodzieży w dziesięcioletniej szkole średniej, po trzech latach kształcenia i doskonalenia nauczycieli. **We wszystkich wspomnianych formach pracy z nauczycielami będzie się wykorzystywać treści programu NURT. Nie wolno zapominać, że jest to bardzo wygodna i ogólnie dostępna forma doskonalenia nauczycieli. Należy tylko umiejętnie wpleść treść NURT do pracy z nauczycielem. Rok 1975/76 jest trzecim kolejnym etapem dokształcania i doskonalenia nauczycieli za pomocą radia i telewizji. Zobligowani do korzystania z wykładów NURT w bieżącym roku są: nauczyciele, którzy odbywają studia wyższe, nauczyciele, którzy są uczestnikami studiów przedmiotowo-metodycznych prowadzonych przez IKNiBO i CDN, nauczyciele nauczania początkowego matematyki.**

W bieżącym roku szkolnym, zgodnie z zarządzeniem Ministra Oświaty i Wychowania przybyło IKNiBO nowe, bardzo ważne zadanie w sprawie egzaminu kwalifikacyjnego — równoważnego wyższym studiom zawodowym. Egzamin taki poprzedzi jednoroczny okres przygotowawczy. W tym czasie kandydat powinien pogłębić i uzupełnić swą wiedzę w zakresie programu wyższych studiów zawodowych, dydaktyki szczegółowej przedmiotu kierunkowego, dyscyplin społeczno-filozoficznych i pedagogicznych objętych programem NURT. Ta forma pracy w br. będzie wymagała szczególnego przygotowania, gdyż obejmuje w naszym Instytucie 15 podstawowych dyscyplin naukowych.

Wśród różnych form zmierzających do modernizacji pracy współczesnej szkoły miejsce istotne zajmują nauczycielskie odczyty pedagogiczne. Są one jedną z najskuteczniejszych form upowszechnienia osiągnięć w pracy dydaktycznej, wychowawczej, opiekuńczej lub organizacyjnej placówki oświatowej. Ukazywanie sposobów rozwiązywania trudnych i nowych problemów współczesnej szkoły przez przodujących pedagogów i popularyzowania ich twórczych wysiłków to jedna z dróg rozwijania społecznego ruchu umysłowego wśród pracowników oświaty.

Przedstawiony tu w wielkim oczywiście skrócie, rejestr prac najogólniej orientuje w podstawowych funkcjach Instytutu i uświadamia ogrom zadań. Ich pomyślna realizacja będzie wymagać wzajemnego zrozumienia dla zapewnienia właściwego klimatu pracy.

We wszystkich poczynaniach trzeba pamiętać, że toczy się batalia o sprawy fundamentalne: o poziom wykształcenia i wychowania dzieci i młodzieży, przygotowanie ich do życia w czasach, kiedy wiedza, wykształcenie spełniają rolę ogromną, stają się nieodzownym warunkiem powodzenia w pracy — źródłem efektów i sukcesów.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

KOT W WORKU

O Władysławie Kopalińskim nie wypada pisać inaczej jak w superlatywach. I słusznie, bowiem ten wytrawny pisarz i felietonista zasłużył się wielce przede wszystkim jako autor uniwersalnego „Słownika wyrazów obcych". Było już wydań tej popularnej książki, dziewięć czy dziesięć... Nawet wielki „Słownik Wyrazów Obcych" wydany przez PWN, redagowany przez blisko dwadzieścia osób, nie przyćmił popularności „małego Kopalińskiego".

Ale Kopaliński to także popularne „odpowiedzi z różnych szuflad", niezwykle ciekawe, erudycyjne, publikowane w prasie i na antenie Polskiego Radia. Kopaliński to także felietony w „Życiu Warszawy". Słowem Kopaliński to firma solidna i kota w worku nam nie sprzeda.

Ale wydał Władysław Kopaliński książeczkę „Kot w worku, czyli z dziejów powiedzeń i nazw". Charakterem i tematyką przypomina ona znakomite szkice Leona Przemskiego „Na tropach słów i rzeczy". Jest w tej książce masa informacji niecodziennych, nie znanych, pasjonujących — nie tylko z dziejów powiedzeń i nazw.

Byłoby jednak rzeczą banalną pisać o Kopalińskim w samych superlatywach, więc — oddając autorowi należne honory zgłoszę kilka pytań i zastrzeżeń.

Pisze na przykład Kopaliński, że autorem Mazurka Dąbrowskiego nie był — jak się podobno sądzi — Michał Ogiński, lecz że to stara melodia jeszcze z XVIII wieku. Słusznie, tylko, że wiadomo o tym od dawna. Nawet nasza, pełna błędów Wielka Encyklopedia Powszechna o Ogińskim nic nie wspomina, tylko twierdzi, że to właśnie stara melodia „prawdopodobnie pochodzenia ludowego".

Z melodią naszego Hymnu związana jest natomiast inna zagadka. Nie wiadomo bowiem, jaką drogę przebył ów mazur, na tereny dzisiejszej Jugosławii, aby stać się hymnem Ludowej Republiki Jugosławii. Wiadomo przecież, że mamy identyczne hymny. Szkoda, że tej tajemnicy nie spróbował rozszyfrować wszystkowiedzący autor.

Czasem też powtarza Kopaliński obiegowe opinie sprzed lat, nie dbając o to, że nowe odkrycia całkowicie zmieniały poglądy na różne sprawy. Tak jest ze słynną klątwą Tut-ench-amona. Odkrycie tego wspaniałego grobowca w roku 1922 wywołało wiele wrzawy na świecie. Zaraz też pojawiła się legenda głosząca, że każdy, kto ów grób naruszy, poniesie śmierć. Kopaliński nazywa to brednią, bajką i dziennikarską kaczką. Owszem — kiedyś taka opinia była świadectwem racjonalizmu. Dziś — niezupełnie.

Trzynaście lat temu bowiem odbyła się w Kairze konferencja z udziałem profesora medycyny i biologii Kairskiego Uniwersytetu D. Tacha, który złożył sensacyjne oświadczenie: „Przyczyną śmierci osób mających styczność z grobowcem Tut-ench-amona jest wirus, zachowujący swoją żywotność przez tysiące lat!" Prof. Tach powiedział: „Przekleństwo faraonów można dziś zneutralizować przy pomocy antybiotyków". A więc — okazuje się, nie była to ani brednia, ani kaczka tylko działanie nie znanego w latach dwudziestych wirusa. Tym groźniejszego, że wówczas nie znano jeszcze antybiotyków.

Podobne wątpliwości budzi problem Atlantydy rozstrzygnięty przez Kopalińskiego na półtorej kartce. Po tysiącach poważnych książek, opartych o rzetelne badania, nie można chyba całego problemu zamknąć jednym zdaniem, że jest to „legenda pozbawiona realnych podstaw". Atlantyda jest problemem otwartym — po prostu dziś jeszcze nie wiadomo do końca, jak to było naprawdę z tym zaginionym lądem. Przyszłe lata mogą przynieść nowe odkrycia, tak jak prof. Tach odkrył wirus „aspergilus niger", wyjaśniając zagadkę klątwy Tut-ench-amona.

Skończmy jednak kręcenie nosem (a' propos — skąd się to powiedzenie wzięło?) i powiedzmy na koniec, że „Kot w worku" nie jest kotem w worku. To naprawdę urokliwa książeczka, która razem z tomem szkiców Leona Przemskiego (niestety od lat nie wznawianym) zapewnia nam niecodzienną przygodę i podróż po krainie słów i rzeczy.

Dla przykładu. Mówimy „uczta Lukullusa" na określenie szczególnie wykwintnego przyjęcia. Kopaliński nam ujawnia, co jedzono na dworze tego rzymskiego wodza i polityka w latach 117—56 przed naszą erą. A więc grzyby duszone... w miodzie. Lubiano też mieszać na jednym talerzu gorzkie i słodkie, ocet, miętę, miód, gotowany moszcz winny, suszone owoce. Dalej sosy rybne, jak np. garum. „Trudno dziś orzec — pisze Kopaliński — jak garum smakowało. Z zachowanych przepisów wynikałoby, że było ono ostre, kwaśne i nieco mdlące..."

No i proszę — uczta Lukullusa i na mdłości się zbiera. Osiemdziesiąt osiem rozdziałów — dań, jakie nam serwuje Kopaliński, też ma różne smaki, ale jest to przyjęcie pożywne i smaczne, choć czasem, chciałoby się je nieco przyprawić. Ale, jak wiadomo, ile podniebień, tyle gustów.

WIDOK

LEWYM OKIEM

UCIECZKA OD OKRĄGŁEGO PUSTOSŁOWIA

Do starych a niezbyt atrakcyjnych tradycji należy pisanie felietonu autotematycznego, czyli na temat felietonu. Zrobił to tylko co Putrament w „Literaturze", zaraz po nim Wierzbicki na tych samych łamach. Żenujące jest wchodzić trzeci raz do tej samej wody. Ale co zrobić, kiedy właściwie prawie wszystko, co czytamy w tygodnikach, to albo przyczynki historyczno-obyczajowe na trzy kolumny albo felietony całkiem niefrasobliwe, krotochwilne, a przeważnie tak formułowane, żeby czytelnik nie za szybko się zorientował, o co chodzi? Żeby z niego zrobić parasola i zbudować sobie cokolik pod filuterne zdziwienie: jak można było nie zrozumieć, że należało rozumieć odwrotnie?

„W naszej publicystyce społeczno-politycznej zdrowy rozsądek daje możność ucieczki od okrągłego pustosłowia" — pisze słusznie Edmund Mokrzycki (znów w „Literaturze"). Niestety, z tej możności nie każdy publicysta społeczno-polityczny korzysta i nawet sam Mokrzycki pisze w tym samym artykule na przykład, że chłopski rozum jest cechą inteligenta że intelektualista, reprezentujący profesję intelektualną, korzysta z warsztatu profesjonalnego obejmującego rzeczy takie jak teorie naukowe, systemy filozoficzne, doktryny ideologiczne itd. — łącznie z językiem i innymi oznakami specjalizacji", że działalność intelektualna jeśli jest niezależna od warsztatu profesjonalnego, to „opiera się na myśleniu w kategoriach wiedzy potocznej — oczywiście: na poziomie środowisk intelektualnych; że „widząc drzewa, niekoniecznie widzi się las co jest o tyle naturalne, że las jest pojęciem abstrakcyjnym, zmuszającym do wyjścia poza rzeczy bezpośrednio namacalne".

Nie jest nowiną, że ktoś mający zawód (profesję) korzysta z zawodowego (profesjonalnego) warsztatu. Jeśli ten warsztat obejmuje takie rzeczy jak teorie i systemy łącznie z językiem, to świadczy, że teoria i język są rzeczami, stanowiącymi ponadto oznakę. Myślenie inteligenta o chłopskim rozumie w kategoriach wiedzy potocznej na poziomie intelektualnym to kapitalny figiel intelektualisty. Tylko z tym lasem nie jestem pewien: czy na pewno jest on pojęciem abstrakcyjnym zmuszającym do wyjścia poza rzeczy? Bezpośrednio namacalna jest właściwie tylko kora. Czy wobec tego drzewo — to też pojęcie abstrakcyjne?

Zabawne, że to wszystko razem ma podprowadzić tylko pod krytykę Kisiela, który w „Tygodniku Powszechnym" z 17 sierpnia napisał, że już nie jest liberałem i że „nie ma wolności dla wrogów wolności!" A także, że „Hitlera nikt nie przekonał perswazją, pacyfizmem, humanizmem i wolną prasą — trzeba było sięgnąć do bomb".

Te skromne i proste dwa cytaty podsumowuje Mokrzycki komentarzem: „Jak z tego widać, liberał ma najwyraźniej dobre serce, chociaż nie całkiem dobrze w głowie".

Ale tego wcale nie widać. Widać strasznie dużo słów, zza których przeziera...

Co przeziera? Kto zgadnie?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ŚWIAT NALEŻY DO ODWAŻNYCH

Ledwie żeśmy na łamach „Odgłosów" pożegnali się bezpowrotnie z rozumnymi istotami na Marsie, a już w kilka dni po tym PAP podał wiadomość — na odpowiedzialność Agencji Reutera zresztą — o porwaniu przez Marsjan 22-letniego Travisa Waltona. Rzecz cała miała miejsce w Parku Narodowym „Apache" w stanie Arizona, w USA. Świadkami tego wydarzenia było 6 robotników leśnych, pracujących w owym Parku Narodowym „Apache". Tamtejszy szeryf — Marvin Gillespie twierdzi, że „jakkolwiek cała historia brzmi nieprawdopodobnie, to jednak może nie być całkowicie wymyślona".

Policja stanu Arizona w USA nie zupełnie wierzy w istnienie Marsjan. Są oni widać uważnymi czytelnikami literatury traktującej o sprawach naszego Układu Słonecznego. Ale nie są też całkowicie przekonani o tym, co piszą i mówią na ten temat uczeni. Na wszelki wypadek postanowili 6 kolegów porwanego Travisa Waltona poddać specjalnym testom, używając do tego maszyny, zwanej wykrywaczem kłamstw. Podejrzewają oni — widać — że koledzy „porwanego" mogli go ordynarnie ukatrupić, a następnie całą winę zwalić na biednych Marsjan, których poza tym zupełnie nie ma.

A jeśli — mimo opinii naszych uczonych — są na Marsie rozumne istoty, które potrafią żyć w dwutlenku węgla i którym zupełnie nie przeszkadzają piaskowe burze? Co wtedy?

Uczeni są jednak nieubłagani. W oparciu o materiały dostarczone przez sondy radzieckie i amerykańskie, przez „Marsy" i „Marinery", twierdzą uparcie, że na Marsie nie ma warunków, w których mogłyby żyć istoty rozumne. Ale jeszcze 30 lat temu nie byli tego tak zupełnie pewni. Miesięcznik popularnonaukowy „PROBLEMY", z okazji swego trzydziestolecia, wydał numer specjalny, w którym opublikowano fotokopie artykułów z 4 pierwszych numerów, z lat 1945, 1946. Wśród tych artykułów znalazł się też artykuł Władysława Kapuścińskiego pt. „W poszukiwaniu życia we wszechświecie". W artykule tym można przeczytać między innymi następujące stwierdzenie:

„Można (...) sądzić, że mamy (...) do czynienia z oazami, można przypuścić nawet, że krzewi się w nich roślinność, trudno jednak upatrywać w „kanałach" dowody działania istot rozumnych. W każdym razie jednak należy się strzec i przeciwnej skrajności — kategorycznego zaprzeczenia możliwości istnienia takich istot: do tego również nie mamy prawa".

W 30 lat, które minęły od daty opublikowania tego artykułu, Władysław Kapuściński opublikował glossę do niego w formie przypisów. W jednym z tych przypisów stwierdza:

„Hipoteza „oaz", „roślinności" na „morzach" Marsa została odrzucona".

A w innym:

„Możliwości istnienia skąpego, prymitywnego życia w „lepszych" okolicach nie wykluczona".

Dobry pomysł wart uznania i nagrody. „PROBLEMY" miały niewątpliwie dobry pomysł, ale aby ten pomysł zrealizować potrzeba było odwagi autorów tych publikacji, których artykuły postanowiono reprodukować po 30 latach. Odwaga była potrzebna dla dokonania konfrontacji z poglądami, jakie się głosiło wówczas i jakie głosi się dziś. Nie każdego byłoby na to stać. Niektórzy wolą zapomnieć o tym, co pisali kiedyś i byliby szczęśliwi, gdyby im inni tego nie przypominali.

Odwaga przyznania się do błędnych poglądów, jakie się kiedyś głosiło nie tylko w sprawie życia na Marsie, to odwaga niezbędna dla dokonania konfrontacji, czy człowiek nadąża za postępem, za rzeczywistością, czy zbytnio nie oderwał się od tego, czym żyją inni, nie zasklepił się w swoich sprawach?

„Czas jest bodaj najprecyzyjniejszym, ale zarazem najokrutniejszym instrumentem weryfikacji myśli, poglądów, wniosków, no i oczywiście, prognoz — **napisał w komentarzu do artykułu H. Greniewskiego „Polacy żyją krócej..." Stefan Klonowicz w listopadowym numerze „Problemów".** — O zwycięskim przejściu przez taką próbę marzy każdy z nas, gdy choćby na chwilę może odsunąć swoją maszynę do pisania i zastanowić się nad tym, co napisał wczoraj, przed tygodniem, przed rokiem...".

A jeśli czas zweryfikuje to negatywnie? Czy nie pisać, nie tworzyć, nie podejmować decyzji w nieustannym strachu przed oceną, jakiej dokona przyszłość? Gdyby przyjąć taki pogląd, to jedynym wyjściem byłaby bezczynność. W myśl zasady, że nie błądzi tylko ten, kto nic nie robi.

Jest jeszcze drugie wyjście: asekuranctwo. Asekurant nie jest bezczynny. Asekurant działa, ale w ustalonych ramach, nie wychyli się poza określone granice, nie wykaże inicjatywy, nie podejmie samodzielnej decyzji, wszystko musi uzgodnić, na wszystko zdobyć podkładkę. Tak działa asekurant praktyk. A teoretyk? Ten zawsze będzie się podpierał cudzymi autorytetami. Jeśli okaże się, że błądził, to winę za błędy zwali na tych, którzy byli podporami jego „myśli".

Ale już dawno odkryto, że świat należy do odważnych, do tych, którzy potrafią patrzeć dalej swego nosa i nie boją się po jakimś czasie przyznać się, że błądzili. Mylić się bowiem jest rzeczą ludzką, ale to nie znaczy, że mylić się można zbyt często.

MARCIN RODAK

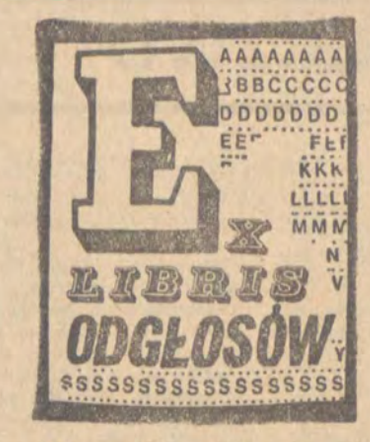

INDIE

W pięknej serii „Ossolineum" noszącej nazwę „Książki o książce" ukazało się na przestrzeni lat już ponad dwadzieścia interesujących pozycji. Ostatnio otrzymaliśmy bardzo ciekawą publikację Oleny Błażejewicz o Samuelu Bogumile Linde. Postać tego bibliografa i bibliotekarza zasługuje w dziejach polskiego Oświecenia na szczególną uwagę. Linde znany jest głównie jako autor „Słownika języka polskiego", ale przecież jego rola w podniesieniu poziomu polskiej nauki i kultury była daleko większa.

Działał u boku Kołłątaja w Klubie Jakobinów był organizatorem szkolnictwa Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, tworzył razem z Józefem Maksymilianem Ossolińskim zręby przyszłej Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a także stworzył wielkie dzieło swego życia — Bibliotekę Publiczną w Warszawie.

Tak się składa, że całokształt działalności i osiągnięć naukowych Lindego nie doczekał się jeszcze szczegółowego opracowania. Po dziś dzień podkreśla się wyłącznie jego osiągnięcia jako twórcy „Słownika Języka Polskiego" — natomiast inne prace i działalność Lindego we władzach oświatowych traktowane są marginesowo, mimo, że istnieje wiele źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, a także opracowań poświęconych Lindemu, które zostały spopularyzowane w niewielkim stopniu. Pracą Oleny Błażejewicz, opierając się na dostępnych źródłach wypełnia tę lukę w biografii Lindego i odrabia zaległości w pełnym poznaniu postaci i prac Samuela Bogumiła Lindego.

Olena Błażejewicz — „Samuel Bogumił Linde — bibliotekarz i bibliograf", wyd. Ossolineum, cena 35 zł.

FELIETONY Z SALONU

Kolejny tom felietonów Janusza Głowackiego nosi tytuł „Powrót hrabiego Monte Christo". Okładka jest typowo komiksowa i pewno wielu młodych ludzi nabierze się na 10 zł, kupując te finezyjne, wyrafinowane i dowcipne felietony, jako literaturę rozrywkową. Może właśnie na to liczył wydawca ustalając nakład tej książeczki na 30 tysięcy egzemplarzy.

A przecież są to felietony „salonowe". Oczywiście zalecają się finezją, wyrafinowaniem i dowcipem tyle, że jest to humor „Warszawki". Te kpinki, połajanki, te nobilitacje i cenzurki — wszystko to miało swój urok jako element krajobrazu warszawskiej kawiarni literackiej. Czytane w „Kulturze" bawiły, irytowały, bulwersowały... W książce brzmią już bardziej „historycznie" — i na pewno dobrze, że zostały zebrane w tom. Nie wydaje nam się jednak żeby „Powrót hrabiego Monte Christo" mógł po raz drugi zbulwersować rzesze czytelników. Głowacki obraca się w pewnym, dość hermetycznym kręgu — i tylko jego pisarska sprawność nadaje nieco szerszy wymiar tym półprywatnym opowiastkom, kpinkom i cenzurkom.

Janusz Głowacki — „Powrót hrabiego Monte Christo", Czytelnik, cena 10 zł.

PITAVAL WARSZAWSKI

Stanisław Szenic, eseista, publicysta, ma w swoim dorobku pisarskim szereg „pitavali" — zbiorów literackich opisów głośnych procesów karnych, swego rodzaju kronik kryminalnych.

„Pitaval warszawski" ukazał się po raz pierwszy dwadzieścia lat temu. Obecne — trzecie już wydanie — zawiera głośne procesy kryminalne z lat 1873—1914 oraz nie publikowane dotąd najciekawsze rozprawy, jakie toczyły się w Warszawie w latach 1916—1918, za okupacji niemieckiej.

Akcja tych wszystkich spraw wykracza daleko poza sale sądowe, pozwala zajrzeć zarówno do nędznych mieszkań robotniczych, jak i do salonów arystokracji, do buduaru świetnej aktorki czy młodziutkiej adeptki sztuki teatralnej, do gabinetów lekarzy i adwokatów, do prywatnych lecznic i do koszar.

Książka ta zawiera więcej niż zapowiada tytuł. To nie tylko historia „ponurych spraw" Warszawy, lecz również codzienne życie stolicy w epoce, która minęła.

Stanisław Szenic — „Pitaval warszawski", wyd. Książka i Wiedza, cena 50 zł.

IRZYKOWSKI

Karol Irzykowski zajmuje w polskiej krytyce literackiej samodzielną i wybitną pozycję. Dociekliwy analityk i trzeźwy racjonalista, walczył bezkompromisowo o swoją własną wizję literatury, dopatrując się jej samoistnych i podstawowych walorów w rzetelnej treści intelektualnej, ujętej w przemyślany i wewnętrznie konsekwentny kształt artystyczny.

Zaczynał co prawda jako poeta, potem napisał dwie powieści, obie na owe czasy prekursorskie i — oczywiście — zlekceważone przez krytykę i czytelników. Dopiero po latach zaczęto doceniać odkrywczość i oryginalność jego prozy.

Prekursorem był również jako krytyk. Był bodaj pierwszym w Europie, który dostrzegł i wizjonersko przewidział estetyczne możliwości i szanse filmu. O zagadnieniach estetycznych kina wydał książkę już ponad czterdzieści lat temu, gdy film był jeszcze sztuką jarmarczną.

Właśnie niedawno ukazał się bardzo interesujący wybór pism krytycznych Karola Irzykowskiego. Znajdziemy tu najcenniejsze, najbardziej żywe i aktualne szkice wielkiego krytyka — o zdobnictwie w poezji, o treści i formie o kinie i literaturze... Wybór pism opracował i ciekawym wstępem opatrzył Wojciech Głowala.

Karol Irzykowski — „Wybór pism krytyczno-literackich", Ossolineum, cena 85 zł.

DAWNY KRAKÓW

Pamiętniki Witolda Zechentera są lekturą pasjonującą — nie tylko dlatego, że napisane są żywo i pięknie, ale przede wszystkim, ze względu na niezwykłe bogactwo materiału poznawczego. Wydaje się zresztą, że autorem powodowało całkiem świadome dążenie do ocalenia od zapomnienia dziesiątków postaci z drugiego i trzeciego planu literackiego. Zechenter przywołał pamięci i utrwalił w swoim pamiętniku dosłownie setki osób, spraw, wydarzeń...

We wspomnieniach „upływa szybko życie" Witold Zechenter pomieścił spory kawał swego życia, ale równocześnie historię krakowskiej kultury, a także tragiczne meandry naszego losu narodowego, który takim ogromnym przemianom ulegał od początków wieku.

Do najciekawszych partii pamiętnika zaliczyć należy portrety wybitnych ludzi środowiska dziennikarsko - artystycznego, głównie z lat międzywojennych, dzieje koncernu prasowego IKC, wreszcie opis tragicznej atmosfery Krakowa w latach okupacji. Z tym, że okupacji w Krakowie poświęcono wiele książek (choćby „Kronikę okupowanego Krakowa" Tadeusza Wrońskiego, czy „Nasz łup wojenny" Adama Włodka) — natomiast dzieje, charakterystyka i ocena koncernu IKC jest pierwszym i jedynym — jak dotąd obiektywnym i rzetelnym opisaniem tego wydawniczego ewenementu międzywojnia.

Witold Zechenter — „Upływa szybko życie", Wyd. Literackie, tom I i II, cena 75 zł.

JERZY WILMAŃSKI

WIECZÓR OPOWIEŚCI

Kiedy już towarzystwo przy stole opowiedziało sobie najnowsze dowcipy, kiedy opróżniono kieliszki, a pani domu zaserwowała kawę, gwar jakoś opadł i zrobiło się nagle ospale. Na pobudzenie towarzyskiej aktywności najlepszy jest — jak powszechnie wiadomo — stosowny cytat z Wańkowicza, więc opowiedziałem historyjkę a'propos biesiadnego stołu, bodaj z „Zupy na gwoździu".

Biesiada opowiedziana przez Wańkowicza odbywała się w jakimś paryskim domu, na tych wysokich towarzysko piętrach... Pani domu, wytworna dama, bodaj pianistka, pan domu wydawca, nie pamiętam zresztą szczegółów. Dziś mógłbym sięgnąć do książki, ale opowiem rzecz tak, jak ją pamiętam i jak wówczas opowiedziałem:

Oto pierwsze lata po wojnie — przyjęcie niesłychanie wytworne, ową wytwornością rekompensującą lata biedy.. Goście także międzynarodowi: artyści, pisarze, wydawcy — wśród nich Polak, konwersujący swobodnie po francusku z panią domu na temat Chopina.

W tą wielkoświatową konwersację wchodzi pan domu taką uwagą, skierowaną do małżonki: „Kochanie, przecież ty świetnie znasz polski, poznałaś przecież Polki, byłaś z nimi w Ravensbrück".:

Wytworna dama, przechodząca z niebywałą łatwością z oxfordzkiej angielszczyzny na francuski czy hiszpański, uśmiecha się swobodnie i rzecze:

„Ależ tak, mon cher — Les Polonais sont de bons gars. Chacun d'eux chaque mauvais sujet meme, meme le criminal.. — i zaraz przechodzi na polski, przechylając się przez paterę zastawy:

Polenki są fajne — każda jeden, niech to będzie frajer czy jakiś zakichany łobuz, czy w dechę kizior — jak kumpel wpadnie, to raban zrobi, a do wiatru go nie wystawi...

Moi słuchacze ożywili się, a inżynier S. powiedział:

„Wierzę, że to nie jest zmyślona historyjka. Takie rzeczy się zdarzały po wojnie i jeszcze dziś się zdarzają".

Inżynier odstawił filiżankę z kawą, popatrzył na piękne panie i dodał:

„Jeżeli to nie będzie nietaktem, opowiem coś a'propos, tylko, że słowa paść muszą dość mocne, ale — przysięgam — autentyczne".

Panie nie protestowały, więc inżynier podjął opowieść.

„Oto zakończyliśmy budowę fabryki w pewnym kraju afrykańskim. Była to duża inwestycja, dlatego też rozruch odbywał się z ogromną pompą — na bankiet przybył miejscowy minister, przedstawiciele naszej ambasady, no i oczywiście my wszyscy — budowniczowie, ma się rozumieć z małżonkami również.

Po wygłoszeniu oficjalnych formułek wstał ów minister i rzekł po francusku, że jego znajomość Polski i Polaków datuje się od czasów wojny, poznał bowiem jako młody chłopak polskich żołnierzy, którzy nauczyli go staropolskiego toastu, używanego w dalekiej Polonii przy uroczystych okazjach...

Też byłem w wojsku — ciągnął inżynier — więc mnie zaniepokoił ów wstęp, ale słuchałem z rosnącą ciekawością. Minister natomiast przeprosił za — być może — nie najlepszy akcent, ale przy takiej okazji nie chce ani sobie, ani drugim polskim gościom odmówić wzniesienia tego staropolskiego toastu.

Po czym wolno akcentując słowa, rzekł:

„Pod szledżyka najlepszy jeden głębszy — pij p...*) beduinie!"

Tak oto perfidna pomysłowość polskich żołnierzy znalazła swój finał po latach. Na pomysłowość rodaków zresztą narzekać nie możemy i dziś.

Prokurator B. pokiwał głową i rzekł:

„Pomysły istotnie rodzą się u nas niezłe, szkoda tylko — że często muszę się nimi zajmować. Otóż pewna huta ogłosiła przetarg na usunięcie hałdy żużlu. Przypuszczano, że znajdzie się jakieś przedsiębiorstwo budowlane, które za niewygórowaną opłatą zabierze ów żużel, oczyszczając miejsce potrzebne hucie na rozbudowę zaplecza. Przetarg wygrał jednak facet, który zaoferował za wywiezienie hałdy cenę konkurencyjnie niską, nie było więc powodu pytać, czemu mu się to opłaca. W grę wchodziło jakieś 100 tys. złotych, czyli daleko mniej niż opiewały kalkulacje przedsiębiorstw transportowych i budowlanych.

Niebawem okazało się, dlaczego Ów prywatny przedsiębiorca nie dysponował żadnym transportem, nie miał nawet ludzi do pracy — nie ponosił żadnych kosztów, a więc mógł przedstawić ofertę najkorzystniejszą dla huty.

Przedsiębiorca miał tylko pomysł, który go nic nie kosztował. Po wygraniu przetargu wsiadł w taksówkę i odwiedził okoliczne wsie, gdzie zareklamował żużel po cenie — właściwie — symbolicznej, jakieś 20 zł od tony.

Dwa tygodnie później hałda zniknęła, rozwieziona chłopskimi wozami po wsiach.

Kiedy go pytałem — mówi prokurator — czemu nie poprzestał na godziwym przecież zarobku od huty, czemu się połakomił na owe grosze od chłopów, odpowiedział:

„Proszę pana, to też było wkalkulowane w pomysł. Na darmochę żaden chłop się nie nabierze. Gdyby im ten żużel ofiarował darmo, pies z kulawą nogą nie zabrałby mi ani jednej tony. A tak, to brałem te grosze i wydawałem kwity — a kwit to dla chłopa rzecz święta i urzędowa".

— No, cóż — wzruszył ramionami prezes K. — pomysł nie był opracowany do końca.

— Ja patrzę na to z innej strony — westchnął prokurator — pomysł nie był zły, szkoda tylko, że nie wymyślił tej historii na przykład dyrektor huty.

— Upieram się jednak — ciągnął prezes — że pomysł nie był opracowany w szczegółach. Pan Lelek, który handlował butelkami, miał lepszą strategię...

Wszyscy zamienili się w słuch.

„Pan Lelek — mówił prezes K. — miał koncesję na produkcję soków owocowych. W związku z tym mógł kupować butelki bezpośrednio z huty szkła — a więc po cenach hurtowych, czyli kilkanaście groszy za sztukę. Pan Lelek jednakże soków nie produkował, tylko butelki sprzedawał od razu składnicom po złotówce za sztukę. Interes nie milionowy, co prawda, ale pewny. Zwłaszcza, że pan Lelek był przewidujący i wiedział, że koledzy mojego szanownego sąsiada — tu ukłonił się prokuratorowi — prędzej czy później zainteresują się nim. Więc zatrudnił — fikcyjnie rzecz prosta — chemika, który mu sporządził ekspertyzę, że w sezonie takim i takim, na skutek wadliwej technologii sok uległ sfermentowaniu i całą produkcję diabli wzięli.

Kiedy więc z panem Lelkiem zapragnęli porozmawiać w prokuraturze, tłumaczył się logicznie — poniósł straty, zainwestował w produkcję, chciał więc przynajmniej zmniejszyć wysokość tych strat... Butelki przecież sprzedał nie po paskarskiej cenie, każde dziecko wie, że butelka kosztuje złotówkę i że jest to cena państwowa...

— No i co — zainteresował się prokurator — udało mu się wykpić?

— Niestety — westchnął prezes — jakoś tam rozwikłano tę kombinację, ale myślał dobrze...

— Co znaczy, dobrze? — zaperzył się prokurator. — To ja wolę tego mojego od żużlu...

— To prawda — przyznał dyrektor A. — Cwaniak prostolinijny, czy nawet naiwny, budzi jednak czasem sympatię, podobnie jak ów twórca afery „Argentina—Alberdi" z lat pięćdziesiątych...

— Co to za sprawa? — zainteresowali się wszyscy.

Powtórzę tu słowa inżyniera „jeśli to nie będzie nietaktem...", bowiem rzecz dotyczy pewnego artykułu, który jest, co prawda, reklamowany publicznie, ale o którym w towarzystwie raczej się nie mówi... Innymi słowy chodzi o środki antykoncepcyjne...

Otóż w latach pięćdziesiątych komisy zostały zarzucone efektownymi złotymi i srebrnymi krążkami pochodzenia rzekomo argentyńskiego, których cenę ustalono na 5 zł, a więc trzykrotnie wyższą od ówczesnych cen krajowych. Na owym złotym krążku widniał napis: „Argentina-Alberdi 1810 1884"... Zdawało się to sugerować nazwę firmy i może lata jej powstania?

Przez długi czas nikt nie wpadł na to, że krążki sztancowane są w kraju, m. in. z osłon butelek od wina — a i wewnątrz znajduje się produkt krajowy... Trzeba było dopiero przypadku, że napisem zainteresował się jakiś wykształcony muzyk, który ze zdumieniem stwierdził, iż napis „Alberdi" i data „1810 1884" to nazwisko i daty dotyczące... argentyńskiego kompozytora, Juana Babtista Alberdi... Producent tych krążków sporządził sztancę z jakiegoś pamiątkowego medalu.

— No, cóż — powiedział inżynier S. — albo liczył na małą znajomość w Polsce muzyki argentyńskiej, albo na szczególną wstrzemięźliwość polskich muzyków...

Postanowiłem i ja włączyć się do rozmowy, i to nie jedną historią, ale od razu serialem. Rozpocząłem tak...

— Mój przyjaciel wyglądał niedobrze. Kręcił głową bezustannie, oczy miał rozszerzone ze zdziwienia i powtarzał w kółko: „A to ci heca..."

— Co jest? — pytam.

— Heca, zupełna heca — mówi przyjaciel. — Odrzucili mi scenariusz.

— Zdarza się — mówię. — Żadna heca, losowy wypadek.

— Ale jak, człowieku, ale jak!

Więc opowiada. Poszedł do takiego pana od filmów animowanych, aby przedstawić propozycję kreskówki. Pan się zasępił, ale wysłuchał. Mój przyjaciel streścił fabułkę. Prostą zresztą.

„Otóż z ziemi wystaje niewielki palik. Podchodzi człowieczek i naciska ów palik, który chowa się.. Kiedy jednak człowieczek puszcza — palik wyskakuje znów do poprzedniej wysokości.

Człowieczek przynosi młotek. Wbija — palik się chowa, lecz za chwilę znów wyskakuje. Człowieczek przynosi większy młot. Potem przychodzi z kolegą. Wbijają — nie pomaga. Powoli wokół palika zaczyna powstawać jakaś maszyneria z młotem, ludzików coraz więcej, coraz większy młot. Palik daje się wbić, ale zaraz wyskakuje na powrót.

Kamera się oddala, aby objąć coraz większe zbiegowisko ludzi i maszyn wokół palika. Oddala się w końcu tak, że zaczyna obejmować początkowo horyzont, potem jego krzywiznę, wreszcie całą kulę ziemską.

Po drugiej stronie planety, na antypodach, taka sama gromada ludzi i urządzeń... wbija wystający z ziemi palik".

Pan od filmów animowanych wysłuchał tej opowieści z kamienną twarzą i rzekł:

— No, dobrze, oni tak wbijają, wbijają, i co?

Przypomniało mi to przygodę innego mojego znajomego. Oto zaproponował pewnemu wydawnictwu książeczkę o dniu powszednim Łodzi w roku 1884. Ten rok dlatego, że właśnie wtedy zaczęto wydawać w Łodzi pierwszą gazetę. Miał to być montaż drobnych informacji miejskich ze współczesnymi komentarzami, fragmentami pamiętników itp. Trochę zadumy, trochę zabawy — ot, lekka lektura o dawnych czasach, właśnie o codzienności zwykłej, szarej.

Pani redaktor powiedziała: „Dlaczego taka niepełna rocznica? 1884 to dziś 89 lat".

— No, tak — mówi mój znajomy — ale chodzi przecież o zwykły, powszedni dzień miasta, a dokumentacja prasowa zaczyna się właśnie w 1884 roku...

— Ale rocznica jakaś niepełna. Czy nie może pan podobnej historii zrobić z roku 1905?

Mój znajomy najpierw zaniemówił, a potem wstał i rzekł: „To ja przepraszam, nie było tej rozmowy — do widzenia".

Bo i o czym tu gadać.

Bardzo często zdarza się ludziom znaleźć w sytuacji, którą zwykle kończymy popularnym już dziś zwrotem — „no to nie ma sprawy".

Pewien mój znajomy, dyrektor sporej fabryki i człowiek, którego byle co nie zaskoczy, też był kiedyś zmuszony do użycia tej magicznej formułki. I to wobec kogo? Wobec własnego podwładnego.

Przychodzi oto do dyrektora komendant zakładowej straży pożarnej i rzecze: „Panie dyrektorze, niech pan coś zrobi z tym Kowalskim. Nie słucha poleceń. Kazałem mu zabezpieczyć gzyms na czwartym piętrze — inni weszli, on nie chce..."

Dyrektor wzywa Kowalskiego i zażywa go w ten sposób: „Co to jest, strażak, a boi się wejść na dach?" A Kowalski na to: „Ja się nie boję, panie dyrektorze, ale nie wejdę, bo ja jestem strażak p a r t e r o w y".

Dyrektora zatkało, ale mruknął: „No, to nie ma sprawy".

Nawet sąd nie jest wolny od takich zaskoczeń. Oto odbywa się tzw. rozprawa pojednawcza rozwodzących się małżonków. Sąd, licząc na możliwość pogodzenia poważnionej, starszej już wiekiem, pary, przemawia mężowi do rozsądku, tłumacząc, że nie warto zaczynać od nowa życia, kiedy się ma 50 lat, że wiąże ich wspólne mieszkanie, że drobne nieporozumienia nie powinny psuć dorobku tylu lat życia... Mąż wysłuchał tego wszystkiego spokojnie, a potem rzekł: „Proszę Sądu, ze mną to ona i tak nie będzie miała życia, bo ja jestem cyganeria..."

Sędzia mruknął do ławników: „no to nie ma sprawy". Była to oczywiście metafora, bo w tej sytuacji właśnie sprawa rozwodowa była.

— Wiecie co, moi drodzy — odezwała się po raz pierwszy pani domu. — Jeśli to nie będzie nietaktem, skoro już tak wszyscy odwołujemy się do słów inżyniera — to i ja chciałabym coś opowiedzieć...

— Ależ słuchamy z najwyższym zaciekawieniem — zakrzyknęli panowie.

— Otóż szłam dziś ulicą i moją uwagę przykuła pewna witryna, wyłożona barwnym, niezwykle ciekawym artykułem. Kosztuje ów artykuł tysiące razy mniej niż owa hałda żużlu z opowieści prokuratora, choć dwukrotnie drożej niż złoty krążek z opowieści dyrektora. Dodam jeszcze, że jest to przedmiot, który powinien panów — sądząc po dzisiejszej rozmowie — szczególnie zainteresować...

— Zdaje się, że wiem o jaki artykuł pani chodzi — odparłem. — Jerzy Szaniawski: „Opowieści profesora Tutki". I właśnie na 36 stronie tej książki widnieją słowa:,

„To niekoniecznie musi być prawdziwe — chodzi o to, aby było egzotyczne". Myśle więc że tymi słowami wielkiego pisarza możemy zakończyć nasz wieczór opowieści zasłyszanych.

---

*) Wrodzona przyzwoitość nie pozwala nam na zacytowanie owego słówka, które padło z ust ministra — przyp. red.

MAGAZYN
ODGŁOSY

„POLSKA ABBA"

SX 1280 — płyta, która na pewno jest największym szlagierem fonograficznym tej jesieni na naszym rynku muzycznym. I właściwie należałoby poświęcić temu longplayowi dzisiejszą rubrykę w całości, bo nie przypominam sobie, by kiedykolwiek realizacja zamierzeń P.P. „Polskie Nagrania" wypadła aż tak udanie. Wprawdzie planowano także sprowadzenie grupy „ABBA" do Polski na cykl koncertów (w grudniu br.), które byłyby jakąś tam namiastką imprez bezpośrednio związanych z wydaniem krążka, jakie praktykuje się na Zachodzie, ale — jak wynika z nieoficjalnych przecieków — ta inicjatywa spełznie prawdopodobnie na niczym. Niemniej płyta „ABBA", licencyjny longplay naszej rodzimej „Muzy" została wytłoczona u nas prawie nienagannie, a Łódzka Drukarnia Akcydensowa dodała zupełnie niezłą okładkę: wreszcie — co chyba w tym wszystkim najistotniejsze — longplay oddano do rąk melomanów (po bardzo przystępnej cenie: zł 110.) w okresie szczytowej popularności szwedzkiego kwartetu, dzięki czemu przeboje tego zespołu niewiele straciły ze swej aktualności. Trzeba więc tym razem pochwalić „Polskie Nagrania" za operatywność i za dotrzymanie obietnicy dotyczącej wydania tej płyty.

„ABBA" — o czym nie wszyscy wiedzą — jest nazwą powstałą z połączenia pierwszych liter imion czworga członków tej grupy: dwóch śpiewających dziewczyn Anny i Annifrid oraz ich mężów (!) Benny'ego i Björna, przy czym właśnie na barkach tych dwóch młodych muzyków spoczywa ciężar prowadzenia zespołu. (W tym miejscu czas nadmienić, że czteroosobowy ten zespół korzysta także ze stałej pomocy trzech instrumentalistów podczas, gdy Benny gra na instrumentach klawiszowych a głównie — fortepianie, natomiast Björn jest gitarzystą). Właśnie Benny Andersson i Björn Ulvaeus są kompozytorami i autorami wszystkich niemal piosenek znajdujących się w repertuarze grupy „ABBA" (niekiedy spółkę tę wzmacnia jeszcze Stig Anderson). O tym, **że zespół jest aktualnie jednym** z najpopularniejszych i najbardziej wziętych na świecie nie musze chyba pisać, bo o tym powszechnie wiadomo.

Zespół wyspecjalizował się w wykonywaniu prostego, bardzo komunikatywnego rocka, który z niesłychaną łatwością trafia do słuchacza. Tym bardziej, że — mimo wszystko — jest delikatny brzmieniowo, lekkostrawny dla ucha. Temu właśnie sympatyczna czwórka zawdzięczać może miliony zwolenników na całym świecie, to także stało się przyczyną wydania płyty tych wykonawców przez „Polskie Nagrania".

Longplay nosi tytuł „Waterloo" — wzięty od utworu, którym „ABBA" na ubiegłorocznym festiwalu „Eurowizji" dosłownie znokautowała rywali, zdobywając dla Szwecji pierwsze miejsce. Poza tym na płycie znalazły się inne piosenki wśród których nie brak autentycznych, i nie mniej od poprzedniego popularnych, przebojów. Melomani odnajdą tam niedawny szlagier (lubiany również w wykonaniu Anny Jantar) „H'asta manana" a także jeden z pierwszych sukcesów grupy „ABBA" — utwór pt. „Honey, honey". Pozostałe piosenki nie ustępują wcale wymienionym; są po prostu mniej spopularyzowane. Szkoda natomiast że nie zmieściły się na płycie: ostatni przebój ansamblu „I do, I do, I do" oraz aktualnie lansowana piosenka „Bumerang".

Jedyny zarzut, jaki można mieć do zespołu „ABBA", to pewna monotonia nastrojowo-aranżacyjna, która — rzecz jasna — udzieliła się także omawianej płycie. Ale radość kupujących, że wreszcie mieć będą w domowej płytotece krążek swych ulubieńców, przesłania wszelkie mankamenty, stąd też wypuszczenie na rynek „polskiej ABBY" stało się prawdziwym wydarzeniem. Zresztą nie tylko handlowym.

* * *

Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją **Henryka Debicha** uczciła 25-lecie swej pracy m.in. nagraniem longplaya pt. „String Beat", który zawiera kilkanaście utworów muzyki rozrywkowej. Są to zarówno światowe standardy Izaaka Hayesa, Johna Lennona, Paula McCartneya, Harbie Hancocha, jak i kompozycje kilku młodych muzyków łódzkich (pracujących z tą orkiestrą): Janusza Delonga, Zbigniewa Karwackiego, Jacka Malinowskiego i Andrzeja Żylisa.

Jest na tej płycie (numer: SX 1276) dużo znakomicie zaaranżowanej na orkiestrę muzyki; właściwie odnajdujemy tam elementy wielu stylów muzycznych: jazzu, rocku, popu. I ze względu na to bogactwo, jak i na znakomite walory nagraniowe (szczególnie świetnie zabrzmiała sekcja rytmiczna) long wspomniany wart jest polecenia. Odnoszę nawet wrażenie, że płyta może stać się kolejnym sukcesem łódzkiej orkiestry.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Fot. Archiwum

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

LEŚNICZÓWKA

Ulubionym miejscem niedzielnego wypoczynku i rozrywki mieszkańców Łodzi u schyłku zeszłego stulecia był lasek Milscha. Położony przy końcu dzisiejszej ulicy Kopernika, a więc niezbyt daleko od śródmieścia, wypełniał się latem gromadami ludzi spragnionych wypoczynku na łonie natury. Jednakże nie tyle sam lasek, ile sąsiadująca z nim restauracja „Leśniczówka" była owym magnesem, który przyciągał łodzian w te strony.

Lasek Milscha zaczynał się tuż za starym, na pół zrujnowanym browarem. Wyglądał dosyć nędznie i usychał powoli, gdyż pobliskie fabryki odciągały roślinności wszelką wilgoć. Właściciel jego, wykorzystując okoliczność, iż tędy wiodła droga do miejskiego lasu, chętnie odwiedzanego przez mieszkańców, na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku wystawił wśród drzew drewnianą, piętrową willę otoczoną werandami, w której otworzył restaurację z obszerną salą na zabawy. Nazwa willi „Leśniczówka" wzięła się stąd, że w pobliżu owego miejsca znajdowała się siedziba leśniczego miejskich lasów.

Ówczesny wygląd „Leśniczówki" i jej atrakcje przedstawił Wł. Reymont w „Ziemi obiecanej": „Kilkaset drzew i drzewek o liściach pożółkłych i spieczonych rzucało mizerny cień na wydeptane trawniki i na piaszczyste dróżki i alejki, dymiące tumanami kurzu, który rozwłóczył się po ogródku i opadał na drzewa i setki białych stołów, i na tłumy przy nich rozsiadłe, rozkoszujące się piwem, jakie zabrudzeni garsoni roznosili ustawicznie.

Wojskowa orkiestra na estradzie grała sentymentalnego walca, a w głównym budynku restauracyjnym, otoczonym werandami, tańczono z zapałem pomimo tropikalnego gorąca; tancerze byli bez surdutów, a niektórzy i bez kamizelek, ale tym siarczyściej bili obcasami w podłogę i mocno pokrzykiwali.

Pomagali im z zapałem liczni widzowie, cisnący się do drzwi i okien pootwieranych, przez które podawano zmęczonym piwo, a wielu niecierpliwszych tańczyło na werandzie i na trawnikach, w obłokach kurzawy i przy akompaniamencie strzałów w strzelnicy i głuchym, warczącym turkocie wyrzucanych w kręgielni kul.

Na małej sadzawce, o martwej, zaropiałej wodzie, kołysało się kilka łódek, kilka tkliwych par smażyło się na słońcu i pracując wiosłami, śpiewało bardzo czułymi głosami niemiecką piosenkę o gaju, piwie i miłości".

Lata popularności „Leśniczówki" szybko jednak przeminęły. W 1902 roku, na skutek przeprowadzenia nowej linii kolejowej z Łodzi do Kalisza, lasek Milscha odcięty został od lasu miejskiego nasypem kolejowym, a przy tym znalazł się na uboczu drogi wiodącej do Dworca Kaliskiego, która podówczas biegła ulicą Karolewską.

Jeszcze w 1907 roku w „Leśniczówce" odbywały się zabawy, organizowane przez związki zawodowe. Później w pomieszczeniach willi urządzono lokale mieszkalne.

Budynek „Leśniczówki" usytuowany był — jak to zaznaczono na planie Łodzi z 1887 roku — w miejscu użytkowanym obecnie przez Wytwórnię Papierosów. Poważnie nadgryzione zębem czasu zabudowania rozebrano na początku lat dwudziestych, przypuszczalnie w związku z budową wspomnianej Wytwórni.

WACŁAW PAWLAK

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

Rysował JACEK BROMSKI

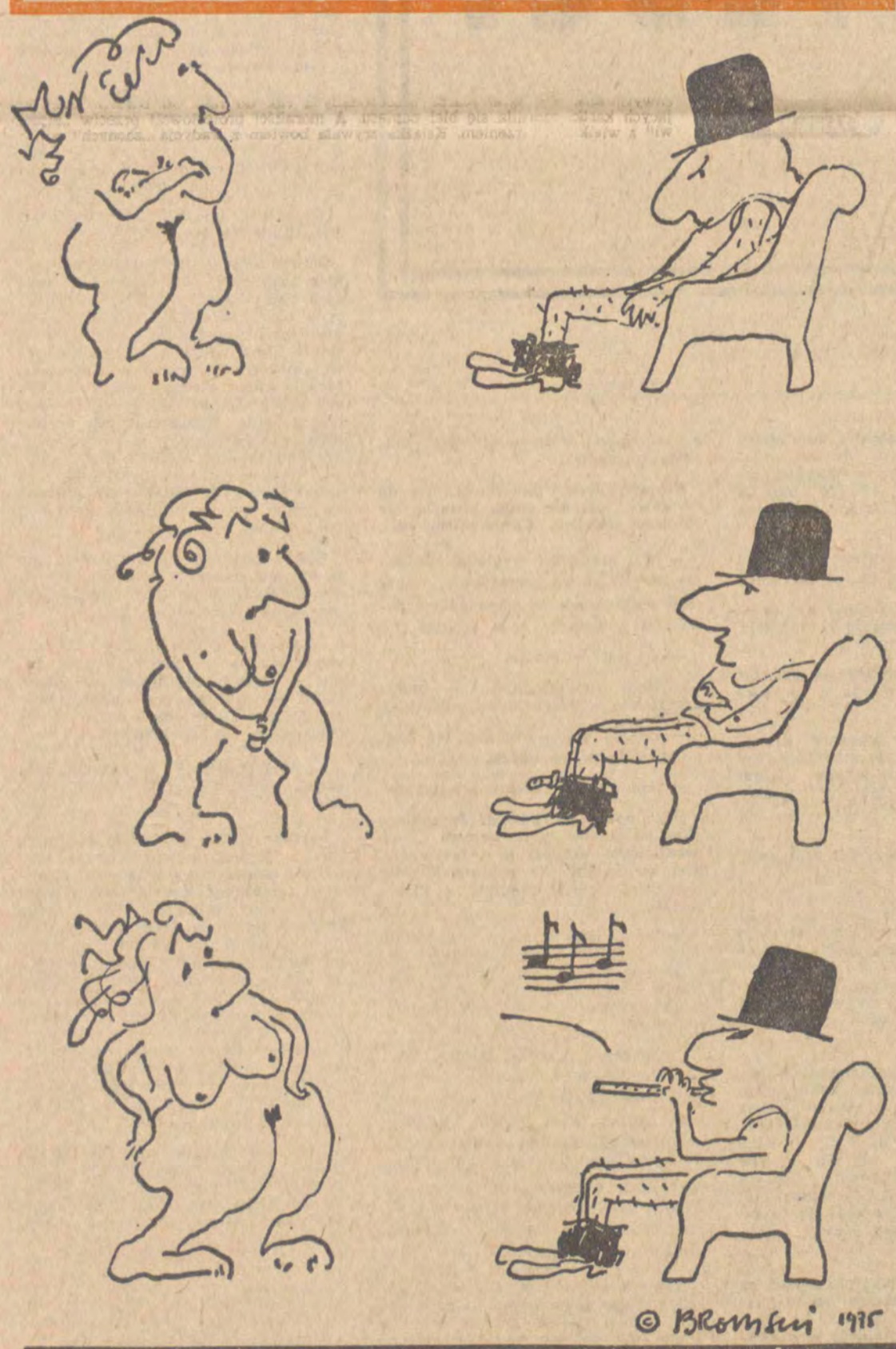

POWIĘKSZENIA

POLSZCZYZNA

Wylano już morze atramentu na temat polszczyzny telewizyjnych prezenterów. Najczęściej ofiarą kpin padają sprawozdawcy sportowi, ale przecież nie tylko oni obrażają język polski. Ich zresztą stosunkowo najłatwiej usprawiedliwić — emocja, nerwy, napięcie — są to czynniki sprawiające, że poprawność językowa idzie, choć nie powinna, w kąt.

Ale oto mamy spokojną i nobliwą audycję niedzielną „Tydzień" — w samo południe, gdy cała Polska, spożywając obiad, spogląda w szklany ekran.

I co się wyrabia? Pani (bardzo sympatyczna zresztą) prowadząca program mówi sobie gwarą z tzw. zanikaniem nosówki. Mówi więc: **„Ludzie robio, śpiewajo, mówio"**, albo **„nie dbajo, uśmiechajo"**.

Słowem, jak „gadajo" w kabarecie „Elita" — zupełne „jajo".

LODY

Pani Irena Babel z Katowic wyreżyserowała (bardzo pięknie) „Starą cegielnię" Jarosława Iwaszkiewicza. Spektakl, naprawdę wzruszający, nieco zakłócił drobny takcik. Rzecz się dzieje w czasie okupacji — bohaterowie jedzą lody na majówce w Podkowie Leśnej. Lody są współczesne.

Drobna rzecz, ale wówczas lody były albo w „stożkach", albo w muszelkach", nigdy w płaskich wafelkach, jakie znamy z lat siedemdziesiątych.

No cóż — okupacja to już historia. Pani Babel musi być bardzo młoda. Albo przynajmniej tak się czuje.

OGŁOSZENIE

Nasz ulubiony (rog) z „Przekroju" zajął się ostatnio akwizycją. Niedawno ogłosił na łamach swego pisma, co mają do sprzedania spadkobiercy pewnego poznańskiego kolekcjonera.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"
KJG

DONIESIENIA MAGISTRA.

Magister Bolski donosi nam, iż po dokładnych studiach i rozeznaniach opracował szereg niebłahych usprawnień. Oto niektóre z nich. Wprowadzenie obrotowych foteli na sale kinowa znacznie uprości widzowi kontakty z partnerką po lewej i prawej stronie. Ale nie koniec na tym. Krytyk filmowy określi teraz bezbłędnie stopień powodzenia filmu. Nastąpi to przez prosty zabieg podliczenia widzów siedzących tyłem do ekranu i pomnożenia wyniku przez odpowiedni mnożnik. A jaka radość dla staruszków wiercipiętów, których nie brak wszak w żadnej rodzinie! Magister Bolski kończy obecnie obliczenia i wkrótce już w przybliżeniu ogłosi, ile półgodzinnych filmów telewizyjnych można by uzyskać adaptując grubsze powieści J. I. Kraszewskiego.

WIECZNE NIEPOKOJE

W Nowej Walii grupa oportunistów ogłosiła Manifest, w którym publicznie stwierdza, iż pragnie schlebiać widzom, kręcąc miłe, ciekawe, wesołe i wybitne filmy. Jednak olbrzymia większość widzów nie dała sobie schlebić i oportuniści stulili uszy. Zaś w Szkocji grupa Nieprzejednanych zażądała podwyższenia okienek kasowych, nie chcąc przed nikim schylać głowy w dniu wypłat.

ECHA LEŚNYCH DNI

W zeszłą sobotę wieczorem Nasz Szwagier wspominał. Wspomnienia dotyczyły okresu bytności Naszego Szwagra w partyzantce. Jakże często musiał wtedy wysyłać do narzeczonej telegram: „Dziś do ciebie przyjść nie mogę stop twój Stefan". Jakże rzadko mógł obejrzeć wtedy wraz z leśną bracią naprawdę wartościowy film.

NIEROZUMNE OKRUCIEŃSTWO

W Stanach Zjednoczonych część kapitalistów, usposobionych sadystycznie, z radością ogląda film pt. „Trzysta na godzinę". W filmie tym ukazano, jak grupa nagich dzieci obrywa nóżki trzem rosłym stonogom. Postępowa część krytyków przypomina słusznie, że istnieje przecież wiele zwierzątek, bez porównania szkodliwszych dla naszych płodów rolnych. Nimi przede wszystkim należałoby zainteresować ubrane dzieci.

WESOŁY KIEROWNIK

Do Kierownika kina wiejskiego w Pionkowie zgłosiła się rosła blondynka proszac o oględziny węzłów chłonnych i innych organów. Nieco po dyletancku Kierownik oględzin dokonał, po czym ze śmiechem wyjaśnił „pacjentce", iż afisz przed kinem z napisem „Doktor Judym" to tytuł filmu a nie tabliczka lekarza. Film „Doktor Judym" pomimo niskiej frekwencji i protestów żony kierownika kina, utrzymuje się nadal na ekranie kina wiejskiego w Pionkowie.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2416, U-12. Nr indeksu 37006/26762.